

# KULTURA

*Szkice • Opowiadania • Sprawozdania*

**PARYŻ**

**Nr 11/554**

**1993**

---



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

SMECZ: **Z UKOSA**

L. UNGER: **„POLSKA DLA POLAKÓW”**

I. TATARZYŃSKA: **AZJA ŚRODKOWA**

**I ZAKAUKAZIE**

Zb. Wł. FRONCZEK: **CZŁOWIEK NA WIETRZE**

B. OSADCZUK: **ROSJA, POLSKA, UKRAINA...**

J. KUBOWSKI: **REWIZJA CZARNOBYLA**

## SPIS RZECZY

SMECZ:	<i>Z ukosa</i> .....	3
Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Dziennik pisany nocą</i> .....	18
—	<i>Komunikat Funduszu Stypendialnego im. Jana i Suzanne Brzękowskich</i> .....	31
Jan Amos Komeński:	<i>Panegiryk Karolowi Gustawowi (Wstęp i opracowanie P.W.)</i> .....	32
<b>WIERSZE</b>		
Mieczysław Jackiewicz:	<i>Nieznany wiersz Jerzego Pietrkiewicza</i> .....	44
Joanna Kurowska-Młynarczyk:	<i>Pomyłka</i> .....	46
<b>ARCHIWUM POLITYCZNE</b>		
Irena Tatarzyńska:	<i>Azja Środkowa i Zakaukazie</i> .....	47
Mirosław Filipowicz:	<i>Konferencja w Lille</i> .....	57
<b>WYWIADY „KULTURY”</b>		
Zbigniew Wł. Fronczek:	<i>Człowiek na wietrze</i> .....	60
<b>KRAJ</b>		
Leopold Unger:	<i>Widziane z Brukseli i Warszawy</i> .....	73
Krzysztof Wolicki:	<i>Nie najlepiej, ale nieźle</i> .....	90
Ewa Berberysz:	<i>Kartka ze skażonej strefy</i> .....	95
<b>SĄSIEDZI</b>		
Adam Kruczek:	<i>Notatki rosyjskie</i> .....	103
Bohdan Osadczyk:	<i>Rosja, Polska, Ukraina w nowej sytuacji politycznej</i> .....	108
Leszek Szaruga:	<i>Niebezpieczna faza</i> .....	112
Lesław Gruszczyński:	<i>Białoruskie impresje</i> .....	115
Andrzej Romer:	<i>Litwa: rok 1993</i> .....	122
<b>NOTATKI REDAKTORA</b> .....		
<b>KSIĄŻKI</b>		
Andrzej Dobosz:	<i>Granice literatury</i> .....	136
—	<i>Nadestane nowości wydawnicze</i> .....	141
<b>POLEMIKI</b>		
Jerzy Kubowski:	<i>Rewizja Czarnobyli</i> .....	143
•		
—	<i>Wydarzenia miesiąca</i> .....	153
•		
<b>Z OSTATNIEJ CHWILI</b>		
(Z)	<i>Rozgłosnia Polska RWE rozwiązana?</i> .....	155
•		
K. Romanowicz, Szczecinianka, A. Durlik, Apel Polskich Partii Politycznych:	<i>Listy do Redakcji</i> .....	156
—	<i>Odpowiedzi Redakcji</i> .....	159

# KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Listopad/Novembre 1993

INSTYTUT  LITERACKI

## WPLĄTY NA FUNDUSZ «KULTURY»

Dr W.S. Adamus, Ingelheim (Niemcy) — DM 100,00 .....	F.	340,00
Wiesław Brodowski-Prus, East Flack Rock, NC (USA), po raz 6-ty — dol. 34,00 .....	F.	190,50
Andrzej Brzeski, Davis, CA (USA) zamiast kwiatów na grób prof. Jerzego Lerskiego — w rocznicę Jego śmierci — dol. 100,00 .....	F.	560,00
Ilse Maybach, Heilbronn (Niemcy), po raz 3-ci .....	F.	380,00
Pamięci Męża, Aleksandra Kotlickiego, zmarłego 23 września 1993 r. po długiej i ciężkiej chorobie — Zona .....	F.	300,00
Edward L. Salamoński, Saint Petersburg, FL (USA), po raz 33-ci — dol. 20,00 .....	F.	112,00
Wojciech Skalmowski, Bruksela — zamiast kwiatów na grób śp. Tadeusza Lewickiego z Krakowa, w pierwszą rocznicę Jego śmierci .....	F.	300,00
Zamiast kwiatów na grób naszego Przyjaciela, dr. Łukasza Hirszowicza, zmarłego w Londynie 21 września 1993 — Maria Strelczyn z rodziną .....	F.	150,00

### DZIĘKUJEMY

Bezimiennie z Paryża dla Fundacji Archiwum Wschodniego, na polskie podręczniki szkolne .....	F.	1.000,00
--	----	----------

## Z ukosa

Zatłoczony autobus staje zablokowany przy Belwederze. Złuszczę się, że tracę czas. A to przecież rosyjscy oficerowie przybyli do Prezydenta, by ostatecznie pożegnać się z Polską. Jest 17 września. W ten symboliczny dzień ostatni żołnierze zdruzgotanego imperium opuszczają Polskę. Ale tłum zgromadzony w autobusie jest przede wszystkim niecierpliw, każdy się gdzieś śpieszy, i właściwie nikogo ta uroczystość nie dotyka inaczej, jak w kategoriach straconych kilku minut. A przecież czekaliśmy na to niemal pół wieku.

Oglądam potem w telewizji byłego ministra spraw zagranicznych ZSSR, Szewardnadze, jak na obrzeżach dawnego imperium, broni się w Suchumi z topniejącą garstką gruzińskich obrońców, kiedyś jeden z najpotężniejszych tego świata, teraz malutki, zakurzony, w samym środku jakiegoś niepojętego lokalnego konfliktu. W pewien czas potem, właściwie bez ciekawości rzucam okiem na moskiewski dramat Jelcyna i parlamentu, który za Boga nie chce dać się rozwiązać, siedzi obwarowany w „białym gmachu” przy świecach ze starym kałasznikowem w rękę, gardłuje, a czasami słucha recytacji patriotycznej poezji. Zauważyłem z przerażeniem, że właściwie w ogóle mnie to nie interesuje, że nikogo w Polsce to nic nie obchodzi, chociaż Moskwa jest na krawędzi wojny domowej. Kątem oka widzę koncert na Placu Czerwonym, surrealistyczną orkiestrę złożoną z mundurowych żołnierzy, którzy dmą w trąby, gdy obok okutani w płaszcze muzycy grają na skrzypcach, a wiatr historii rozwiewa siwe włosy dyrygenta, słynnego Rostropowicza, a poły jego fraka zdają się owijać wokół kolorowych bulw kremlofskich cerkwi. To wszystko na progu jakiejś tragedii, dziwnie niski był ten próg. Ale do czasu.

Nagle próg urósł, słowa straciły znaczenie, a wydarzenia zaczęły mówić za siebie. Okolice Kremla stały się krwawą sceną wielkiego teatru. Tłum szturmował telewizję, potem armia szturmowała Biały Parlament. Jakaś wielka Rewolucja Październikowa koślavo i na odwyrtkę, ale tak samo bałaganiarsko, tylko że na arsenał atomowym zdolnym wysadzić w kosmos naszą planetę. Parlamentarzyści sowieccy, zdawało się pozbawieni chirurgicznie organu buntu, gotowi są nagle umierać za swoją sprawę. To znak jak wielka jest siła nienawiści w postkomunistycznym świecie, jak w mgnieniu oka przerabia ona wałachy w ogiery.

A cały spektakl pod czułym nosem i okiem kamer telewizji, oglądałem go jak wielu, od Afryki po Manhattan, gryząc cukierki i orzeszki, sącząc przez słomkę poczucie absurdu, spokojnie do chwili gdy w twarzy młodego żołnierza, który biegł kłasnany przez osy pocisków ujrzałem oczy mojego syna.

Kompleks mniej zdolnych ma swoją wielką rolę w wielkiej i małej historii. Tego nie wybaczała nam oficerowie na studenckim studium wojskowym, nie wybaczała tego elita PZPR polskim intelektualistom, policja opozycji, a teraz tego nie wybaczą sobie nawzajem dawni koledzy, którzy tłoczą się ku władzy. Wielki sukces *Gazety Wyborczej*, jest przede wszystkim wynikiem talentów ekipy, która ją redaguje. Przy wszystkich krzyczących wadach tego pisma, jest to wybitne dzieło nowych czasów, i jeden z nielicznych przykładów prawdziwego sukcesu. Obserwując pracę innych redakcji, bynajmniej nie mam poczucia, że oni zostali na starcie upośledzeni, czym się tłumaczą. Przegrywają bo są amatorami, którzy nie potrafią się uczyć. Nie tylko w Warszawie powstają dzienniki i tygodniki, które łączy żenująco słaby poziom. Szybko zdychają, lub są na marginesie, bo nie potrafią. Ale właśnie tego się nie wybacza. Istnieją ludzie, którzy dostali od tego prawdziwej wściekłości. Niedawno powstały tygodnik *Gazeta Polska* toczy z ust krwawą pianę. Piotr Wierzbicki, który kieruje tym oszalałym z nienawiści tygodnikiem, był kiedyś utalentowanym publicystą opozycji. Dzisiaj po kłęsce wyborczej, pisze na pierwszej stronie swego organu, wałąc patetyczny tytuł. „Polska się na to nie zgodzi! Polska powstanie”. I dalej...

„Wygrali te wybory. Podział łupów dokonany w roku 1989 przy okrągłym stole, a przypieczętowany 4 czerwca zeszłego roku, potwierdzony został jeszcze raz. Ale nie bądzmy zlej myśli, Polska jeszcze nie zginęła.

Michnik, Kuroń, Cimoszewicz, Kwaśniewski, Geremek są niezłymi propagandystami. Potrafili jeszcze raz przekonać Polaków, że powinni zacisnąć pasa i czerpać osobistą satysfakcję z kontemplowania fortun działaczy PZPR i funkcjonariuszy SB. Ale na tym oszustwie już daleko nie pojadą. Zaproponowana Polakom przez SLD, UD, BBWR strategia dalszego rozkradania Polski ma krótkie nogi. Liczenie na to, że ludzie obłupieni ze skóry przez Mazowieckiego, Bieleckiego, Suchocką bardziej niż to się udało zrobić Jaruzelskiemu, Gierkowi i Gomułce razem wziętym, będą w nieskończoność znosić poniewierkę tylko po to, aby móc obejrzeć Wachowskiego na Wawelu czy Geremka z fajką, jest śmieszne.

Cierpliwość Polaków kończy się. (...)

Kończy się też cierpliwość Wierzbickiego, który z rozkoszą wieści nadejście narodowego gniewu. „Polskę czeka antykomunistyczna rewolucja”. Przypominam, że to pisze, jak twierdzi prawica, najwybitniejszy publicysta polskiej prawicy, przypominam, że ten wybitny, jeszcze wczoraj wielbił Wałęsę, napisał o nim apologetyczną książkę promując go, jak widać skutecznie, na Prezydenta.

Teraz wszystkie wzięte reżimy komunistyczne są dla Wierzbickiego lepsze od Wałęsy, od Michników, Geremeków, Mazowieckich. Na pociechę rzecz można, że dla tych polityków, dawni komuniści są też lepsi od Wierzbickiego, Kaczyńskiego, czy Macierewicza. Nie inaczej myśli Prezydent.

Nie tylko dla nich to jest mniejsze zło, bo okazało się, że dla milionów Polaków też. A kiedy zajrzę w mroczny głąb swojej własnej duszy, z niemym przerażeniem — jak żabę ze studni — wyjmuję myśl, że ja z dwojga złego też wolę wygraną postkomunistycznych SLD i PSL, od wygranej post-solidarnościowej PC. Gdy pytam licznych moich znajomych, po chwili bolesnego zadumania, wyjmują taką samą ropuchę ze swojej studni. Do tego nas doprowadzono, nie do wiary!

Na pierwszej stronie *Gazety Polskiej* jest karykatura naszych polityków, rysownik odmalował profil Geremka, wzorując się na hitlerowskich gadzinówkach, gdzie przedstawiano upiorne karykatury Żydów. Jako, że karykatura nie jest bynajmniej podobna do profesora, wsadzono jej w usta wielką fajkę, by jednak było wiadomo, że to on. Rysownik wiedział co robi, wie co robi redaktor naczelny.

Do polskiego języka weszło na stałe nowe słowo „oszołom”. Używane powszechnie wobec oszalałych polityków tak

zwanej prawicy, umościło sobie już stałe miejsce w naszym leksykonie. Prawica rozżalona, że jej to przylepiono. Sama za to przylepia innym wszystkie możliwe paskudztwa. Liberałom przylepiono, że złodzieje. Ale tu jak się zdaje najbardziej napracował się KPN. Nikt jeszcze nie potrafił udowodnić, że politycy Kongresu coś konkretnego nakradli, ale tyle o tym gadano, że się przylepiło, i nawet rozsądni, a nie łatwowierni, kiedy mówią o liberałach, to mówią — „mają wiele zalet, chociaż złodzieje”.

Spisek okrągłego stołu rośnie z każdym rokiem, i coraz więcej podziemnych komór mają piwnice Magdalenki. Jak tak dalej pójdzie to się dowiemy, że w piwnicach Magdalenki do dziś pobiera się krew dzieciom na macę. Ten Okrągły Stół prawica winna powielić w miniaturze i kolportować, jako uprzedmiotowanie zdrady, zaś drzazgi z okrągłego stołu niech zmieniają się w złowrogi relikwie.

Obserwuję jak zagubieni artyści oraz intelektualiści przylepiają się do rozmaitych partii politycznych. Poeta Krzysztof Gąsiorowski zawsze imponował giętkim kręgosłupem, ten kręgosłup mu się wyginał w pożądane figury w czasach PZPR. A teraz jest rzecznikiem prasowym „Samoobrony” Leppera. Schłopiał jak widać zupełnie. Ale nie tylko on. Oto reżyser teatralny Kazimierz Dejmek — jak sam teraz przyznaje dosyć przypadkowy bohater słynnej inscenizacji „Dziadów” w roku 68 — teraz wspiera postkomunistycznych chłopów z PSL, więc pewnie zostanie Ministrem Kultury. Historyk Andrzej Micewski też zupełnie schłopiał, jest w tym samym PSL, a oczkiem łypie na MSZ. Słynny lotnik wojny światowej generał Stanisław Skalski wspiera „Samoobronę” a mówi takie rzeczy, że aż dziw bierze, że strzelał kiedyś do faszystów. Obecność tam Bohdana Poręby — niegdyś reżysera filmowego i komunistycznego faszysty, bo była taka formacja — jest wielce znamienne. Frakcja faszystujących komunistów znajduje sobie dzisiaj bez trudu miejsce, jak nie u Leppera to w Partii X. Ale i partia Olszewskiego, która jako swoje hasło wybrała czystość, „partia czystych rąk”, gdzie na dodatek tej czystości pilnuje szlachetny lustrator Macierewicz, nawet oni jakimś cudem wpuścili w swe szeregi dawny PAX. Innym nie wybaczą w oku postkomunistycznego źdźbła, a sami przyjmują ludzi z najbardziej perfidnej kolaboracyjnej organizacji dywersyjnej, która walczyła z Kościółem, a na czele której stał człowiek złamany przez rosyjski wywiad i UB. Tłumaczą się na publicznych spotkaniach — „bo

byli tam jednak uczciwi narodowcy i szczerzy prawicowcy”. Owszem, zapach narodowy w tej organizacji bardzo pokracznie związał się ze zdradą sprawy wolności i niepodległości. Dla Koalicji ta woń jest jednak przepustką do raju ludzi czystych rąk. Czyste ręce, owszem, a co z resztą? Oni też epatują katastrofą — „Polska jest w stanie chaosu i rozpadu, to raj dla oszustów”.

W PC Kaczyńskiego i w Koalicji byłego Premiera Olszewskiego, co chwila pojawia się pojęcie „instynktu narodowego”. Albo, że „naród nie pozwoli, bo naród odnajdzie prawdę i właściwą drogę”. Naród jako zbiorowy szlachetny organizm, o czułym sercu i o bezbłędnym nosie.

Ale to naród zupełnie zbłądził i wybrał postkomunistów. Dlaczego? Bo oszukali, rzucili narodowi ochłap lewicowy, a on od tego zgłupiał, stracił węch, padając ofiarą perfidnego podstęp. Więc jak to jest z tym instynktem?

Byłem na dwóch wiecach wyborczych, które odbywały się w dwóch warszawskich kinach, wiece dwa, a w swojej istocie jeden. Wiecowała „Koalicja dla Rzeczypospolitej”, czyli partia Olszewskiego, Macierewicza, gdzie indziej wiecowała PC z Kaczyńskim i Parysem. Publiczność nakręcała się powstając z miejsc i śpiewając, ale ani Olszewski ani Kaczyński nie potrafili odpowiedzieć na pytania, czemu nie idą razem do wyborów, przy identycznym programie, a po tych spotkaniach jestem pewien, przy identycznej chemii psychicznej. Ich publiczność, to ludzie, którym trudno, którym w życiu nie wyszło i już raczej nie wyjdzie, którzy byli raczej związani z „Solidarnością”, ubrani raczej skromnie, można zaryzykować określenie, „zaściankowa inteligencja”. Spotykam tam kilku znajomych, wszyscy potłuczeni przez życie, jakby mieli porcelanowe wnętrza.

To na nich szczególnie działa hasło lustracji. Wielu ludzi prawie dożyło swoje życie i nie mają nic, oprócz tego że nie byli agentami. Więc jak im się taki kasek podsunie, to wsuwają aż im się uszy trzęsą. Wystarczy nie być byłym agentem, a ma się przepustkę do klubu ludzi czystych rąk. To nic, że inne organy brudne, że żonę bije, dzieci męczy a na dodatek kradnie. Ręce ma czyste. Co za żalność budować na tych bidakach partię polityczną.

Mamy też oto nowe formy konformizmu i karierowiczostwa, do których nie sięgała nasza wyobraźnia w czasach niewoli. Młody dziennikarz Jacek Kurski stał się konferansjerem „Porozumienia Centrum”. Kurski, który nagle odkrył że ma taki zmyślny cynizm, co dotykany publicznie niebywale roś-

nie, więc wystawia go na widok powszechny szczęśliwy, że takie robi na widzach wrażenie. Ten młody człowiek uprawia publicznie ekshibicjonizm cyniczny, a robi to ze swadą godną ucznia Jerzego Urbana.

Nazajutrz w tym samym kinie, obejrzałem nowy polski film „Porwanie Agaty”. Pomysł wzorowany na fakcie autentycznym, słynnej ucieczce córki naszego bardzo katolickiego posła i marszałka sejmu Kerna, którego potem Anastazja P. oskarżyła o gwałt — to dla dopełnienia groteski. Córka uciekła z kochankiem, który był wedle posła złą partią. Kern w pościgu za córką poruszył niebo i ziemię, a również sfery dzisiejszej władzy. Film jest dosyć zgrabną komedią, ale niewiele więcej. Nasz film się miota, tworzy zadatki, zapowiedzi, zlepki scen, nie dając ważnego współczesnego obrazu. Uderza drastycznie ostry portret naszych polityków. Nasi politycy przedstawieni są jako podłe bałwany, kryminalista jest natomiast sympatyczny, policja groteskowa i przekupna, a jak się znajdzie dwóch uczciwych policjantów, to muszą wiać za granicę. Rzesze popadłych w nędzę Polaków koczując w trakcji sieci ciepłowniczej, jakże podobni do nowojorskich włóczęgów i słuchają przez radio przemówienia Wałęsy, który plecie zupełnie jak Gomułka. Zaś na samym końcu dobry przestępca zostaje zamordowany przez snajpera z oddziału antyterrorystycznego. Rzeczywistość jest nie mniej groteskowa, ale nie tak okrutna, bo w życiu dramat skończył się ślubem i filmem.

A tłumy na ten film wałą i pokładają się ze śmiechu, policzkując w ten sposób naszych polityków, wykpiwając cztery lata wolności.

Wojna haseł i plakatów wydała mi się teraz bardziej cywilizowana niż przed trzema laty. Wtedy portretom polityków wylupywano głównie oczy, dzisiaj na ogół tylko wyrzywa się usta. To jednak bardziej humanitarne. Poza tym ja rozumiem, że ktoś może mieć dosyć gadania naszych polityków.

Najskromniejszy plakat — Jan Parys (PC) w ubogim bereciku, podpisuje się — „43 lata skromności”.

KPN natomiast postuluje rzeczy oryginalne — „dość bezrobocia, biedy, bandytyzmu, bałaganu”. A co z chorobami, czemu nie ma — „dość z chorobami”, pytam.

„Solidarność”, która tyle lat walczyła o demokrację, czyli też o istnienie partii politycznych, dzisiaj zmieniła zdanie. Głosi: „Nie daj się oszukać partiom politycznym. Głosuj na

mnie”. Potem wymienia wszystkie dobra duchowe i materialne, które te partie chcą człowiekowi zabrać, a dosłownie; „Które chcą ci zabrać inni”. Oni, czyli „Inni”.

Czasami jakiś oszalały z biedy emeryt dopisze przy głowie jakiegoś polityka słowa wyjęte spod serca: „świnia u koryta, co okradła emeryta”.

Ktoś znakomicie podsumował tę wojnę na hasła, osadził ją na właściwym surrealistycznym miejscu, postulując na murze: „Ziemia dla ziemniaków”.

Programy wyborcze w telewizji wydały mi się jednak nieco mniej szalone niż wtedy. Oczywiście, uderzało zupełne wymóżdżenie Partii X, i nosowe bredzenie jej „kanadyjskiego” przywódcy. Ja do dziś nie mogę pojąć jak miliony ludzi mogły chcieć wybrać tego osobnika na Prezydenta. Polska stałaby się wtedy najbardziej groteskowym państwem świata. Dzisiaj ta partia dostała tylko ochłapy głosów, więcej głosów dostała „Samoobrona” Leppera, który jest chłopskim Tymińskim. Ale za nim stoi autentyczna rozpacz polskich chłopów, szczególnie tych, którzy ni w ząb nie pojmują co się w tym kraju wyrabia, skoro państwo nie chce kupować ich produktów, a kupuje słynne kanadyjskie kurze udka, oraz izraelskie jaja. (Jak sprowadzono te izraelskie jaja, to od razu można było spodziewać się jakiegoś nieszczęścia). Populizm i demagogia tej partii również czasami zmienia się w groteskę. I ciekawe, że największa nawet głupota zawsze znajdzie jakiegoś usługowego artystę.

W swoich programach „Samoobrona” użyła do walki głównie dzwonów, te dzwony biją na trwogę a słowa krzyczą „Polska ginie”, skrzypią okrutnie sznury, na ekranie przesuwają się obrazy kolejnych narodowych nieszczęść i zmasakrowane zwłoki ofiar. I znowu słowa „Stałaś się łupem między-narodowej finansjery. Jesteś rządzona przez jej komorników”. Bezzębny ekonomista Balcerek, nie mylić z Balcerowiczem, wymienia żydowskie nazwiska amerykańskich bankierów, którzy łupią dzisiaj Polskę. A reżyser Poręba, co wczoraj wiernie służył komunistom, dzisiaj w „Samoobronie” mówi o duchowym rozbiorze narodu. Kiedy pytają Leppera skąd weźmie pieniądze dla wszystkich, ten ma prostą odpowiedź. „Pieniądze są i będą”.

„Ojczyzna”, czyli koalicja partii katolickich epatuje hasłem: „świat prostych wartości”. I pokazują drogi polne, płaczące wierzby, wiejskie dzieci, i słodką kapliczkę z Matką Boską w szczerym polu. Ta kapliczka nawet mi rozmiękczyła na chwilę serce. A jednak nic nie pomogło. Ludzie odrzucili

świat prostych wartości, narazili się na grzech z którego trudno się będzie wypowiadać, i głosowali na to co uznali za świat wartości realnych. W ramach świata prostych wartości, katolickie partie na swych plakatach wymalowały ruskie kobiety z gwiazdami na czołach i słowa: „Wizy dla mieszkańców byłego ZSSR”. Oto duch Ewangelii potrząsa łańcuchem, a myślał, że jest wolny.

Unia Demokratyczna wystąpiła niestety znowu bez energii, bo witalność Kuronia nie wystarczy. Dlatego prawie wszyscy moi znajomi głosowali na Unię becząc wewnętrznie nad swym losem, ja też łkałem bezgłośnie gdy w pobliskim przedszkolu głosowałem na Unię. Arogancja, brak energii, oraz amorficzność tej partii jest łzawogenna. Ta partia uosabia los upadłych inteligentów, ich skrzydła podcięte przez wolny rynek, i to rozdarcie między światem myśli, a światem pieniędzy, bez których dzisiaj myśl zupełnie podupada.

Najlepsze wydały mi się programy liberałów, ale jak widać to też im nie pomogło. Bo złodzieje. Na pociechę, ze statystyk widać, że głosowała na nich młodzież, czyli mają przed sobą przyszłość.

Unia Pracy przechyla się coraz bardziej na stronę socjalistyczną, czy oby trochę nie za daleko? W każdym razie Unia Pracy była znakomitą alternatywą dla postkomunistów, i chociaż są na czwartym bardzo wysokim miejscu, to jednak przygnębia, że nie ona jest na miejscu pierwszym, skoro ludzie chcieli programu socjaldemokratycznego, mogli ich śmiało wybrać, a nie głosować na postkomunistów. Jak nasza ekonomia wyszłaby na ich programie, to już inna sprawa.

Druzgocące zwycięstwo dwóch partii wywodzących się z korzeni PZPR i ZSL, to efekt zdyscyplinowanego elektoratu tych partii, który częściowo przetrwał czasy wolności. To skłócenie i rozbicie głosów prawicy. A przede wszystkim fakt, że nasze społeczeństwo zostało doprowadzone do rozpacz, do wściekłości, do desperacji, trudnymi warunkami życia, utratą poczucia bezpieczeństwa, aferami, naporem klerykałizmu, surową ustawą antyaborcyjną, żalonymi kłótniami naszych polityków, bredzeniem parlamentu. Symbole zbudowane przez ostatnie lata leżą w strzępach, a przy okazji zbrukano symbole stare o które nowe się wspierały. Żle się teraz w Polsce mówi o Kościele, o politykach, o ekonomistach, o „Solidarności”, generalnie wszyscy o wszystkich mówią źle. Jak ktoś o kimś dobrze mówi, to mam ochotę od razu ten fakt sfotografować, jakbym zobaczył w Himalajach Yeti.

Ludzie stracili grunt pod nogami, a tylko nieliczni go odzyskali. Głosowali więc na tych, którzy mówią o ich biedzie, niepokoju, i obiecują pewne zabezpieczenia socjalne. Głosowali rzadko na programy, często by nie weszli do sejmu jacyś gorsi. To wszystko jest właściwie dosyć proste. Ale jak już pisałem, przecież była do wyboru Unia Pracy, czyli partia nie zbrukana przeszłością. Wielu wybrało postkomunistów, tworząc dzisiaj symbol zasypania przeszłości, zasypania pamięci. Nie potrafię mistyfikować grubej kreski, oraz myśleć tu w kategorii spisku. Rozumiem Mazowieckiego, podejrzewam, że na jego miejscu, każdy wrażliwy inteligent poszedłby podobną drogą. Ale jednak był to błąd. Nie myślę o pokazowych procesach, ale o stworzeniu kilku symbolicznych rozliczeń, nie o oddzieleniu starego i nowego grubą kreską, ale o zakreśleniu grubą kreską co było zbrodnią dawnych czasów. Nawet nie pomstuję na gesty pojedynania z dawnymi naszymi oprawcami, ale przeciw włożeniu im do łóżka. Tak oto nobilitowano relatywizm moralny. Na obecny wynik wyborów zapracowała skutecznie oszałała prawica, która żądając lustracji, tropienia, dekomunizowania przeraziła miliony ludzi, co czują w sobie grzechy dawnych czasów. Zapracował Kościół swoją arogancją, włożeniem do małżeńskich łóżek, do konstytucji i telewizji. Zapracowała Unia, swoimi błędami, brakiem energii oraz arogancją. Arogancja i jeszcze raz arogancja nowych ekip, jest powodem obecnej klęski formacji postsolidarnościowej. A nie brakło też prywaty, hipokryzji, gigantycznego amatorstwa, koleżeństwa najgorzej pojętego.

Wydaje się, że zamyka się brama dawnych symboli i miar. Że w grze jest już nie przeszłość, lecz dzisiaj i jutro. Kto teraz będzie grał przeszłością, przegra.

Słuchając ludzkiego gadania nafaszerowałem się jak indyk nadzieją, tak ludzkim rozsądkiem jak i głupotą, a często jednym i drugim naraz. Bo z logicznej konstrukcji czasami wykwita jakiś zdumiewający wniosek. Pewien człowiek w rozmowie ze mną, logicznie i mądrze przeanalizował nasze życie polityczne. Pytam go na kogo głosował? Mówi, że na „Samoobronę” Leppera. To jakby dokonać precyzyjnie rachunku dodawania, po czym pomnożyć go przez kompletny nonsens. Ale jak tu się dziwić, skoro intelektualiści, też się poczuli zagubieni, mało kto wiedział jak głosować.

W sklepie warzywnym przedstawiciel klasy robotniczej pomstuje na nasze partie prawicowe, na ich szaleństwo, ale nie

oszczędzi też Wałęsy ani byłych komuchów.

— A Unia Demokratyczna? — pyta jakiś młody.

— Proszę zajrzeć do angielskiego słownika, tam UD czyta się „jude”. I Oni ciągną przeciw w swoją stronę.

— A kto tam jest Żydem? — pyta zdziwiony młody człowiek.

— Mazowiecki — mówi bez wahania robotnik.

— Ale jego rodzina od powstania styczniewego legitymuje się dobrym pochodzeniem — upiera się młody.

— A ja słyszałam, że nawet od XVII wieku ma dokumenty — zauważa nieśmiało sprzedawczyni.

I tak rozgorzał na całego spór w sklepie warzywnym. A ja mam ochotę krzyknąć — ludzie, czy Polska nie ma teraz nic innego do roboty? A ustawy norymberskie? Przynajmniej stosujcie się do nich, a wy idźcie do króla Popiela, toż tak udowodni się złe pochodzenie całego narodu, i będzie jak z lustracją, każdy agent i każdy Żyd na dodatek, nic tylko naród musi się samospalić w celu ostatecznego oczyszczenia i lustracji ostatecznej.

Obserwuję wielkie zbiorowisko naszych polityków, na przyjęciu w redakcji pewnego dziennika, śledzimy razem wyniki wyborów napływające z prywatnej agencji, która w Sopocie bada na żywo stan rzeczy. Są tu prawie wszyscy politycy, nie ma tylko ugrupowań skrajnie skrajnych. Ale jest KPN, bardzo miły i rozważny w kontakcie osobistym. W kontakcie osobistym nasi demoniczni politycy, chowają swoje demony, i wydają się normalni. Scena ich demonizuje i wzajemne widzenie. Kiedy wchodzi Mazowiecki, ktoś mówi „mumia przyszła”. Tak w środowisku przeżywa się dawnego premiera, ale to się też odnosi do całego ugrupowania. „Mumia”, czyli „Unia”.

Na tablicy nanoszone są przewidywane wyniki wyborów, przesyłane przez Pracownię z Sopotu. Jest wielki reżyser, pewien naszej klęski, ale przyszedł, może jakąś scenę do filmu wypatrzy. Mówi, że w tym całym nieszczerściu pocieszająca jest tylko ta Pracownia Badań z Sopotu, że gdzieś w dalekim małym Sopocie są w tym najlepsi. Czyli w Polsce jak po deszczu rosną różne inicjatywy. Znajomy biznesmen opowiada mi jak nasza prowincja nieustannie produkuje geniuszy przedsiębiorczości. Czyli Polska już rośnie niezależnie od polityki, pocieszamy się.

Przybywa znany dziennikarz i szeptem, że trudno mieć pretensje do Prezydenta o głupstwa, które czyni, bo to wszyst-

ko wina cukrzycy. Kiedy ma atak cukrzycy, to jest zdolny do wszystkiego, jak kiedyś tyrani rozdierani atakiem podagry.

Dyskutujemy czy sprawa majora Hodysza jest produktem takiego ataku? Hodysz był pracownikiem SB, który współpracował z „Solidarnością” i oddał jej wielkie usługi. Siedział za to przez lata w więzieniu. Jakiś czas temu przywrócono mu rangę i pracę. Dzisiaj Wałęsa każe go zwolnić z funkcji, po wywiadzie, który ten udzielił *Gazecie*. Rozeźlony Wałęsa motywuje swoją niechęć do majora: „Bo przecież to bez niego, Wałęsy, nie byłoby Sierpnia, a nie bez jakiegos tam esbeka, który zdradził MSW współpracując z „Solidarnością”. Jakby mało tego było, dodaje, że pewni opozycjoniści korzystając ze współpracy Hodysza, współpracowali z SB. To m.in. uderzenie w Bogdana Borusewicza — jak wiadomo Sierpień bez Wałęsy był możliwy, bez Borusewicza nie. W radio Prezydent mówi; „że miał wątpliwości (...) czy ludzie, którzy mają tendencje do zdrady, mogą być w pewnych miejscach”. Toż to jest horrendum! Jako inny powód gniewu Prezydenta podaje się fakt, że Hodysz pracujący w gdańskiej policji, przekazał Macierewiczowi teczkę agenta Bolka, a przecież wypełniając polecenie służbowe nie mógł wiedzieć jak te materiały będą wykorzystane. Wychodzi tu z Wałęsy nie po raz pierwszy, jakaś obezwładniająca małostkowość, a logika i moralność zderzają się gruchocąc sobie kości.

I chociaż trudno dziś nie zauważyć, że On mimo wszystko jest gotowy do upadłego bronić naszych reform, co ogromnie ważne, to jednak zgadzam się z moją znajomą, gdy podchodzi do mnie z klęską w oczach i mówi — „zobaczysz, jak teraz wolimy postkomunistów od oszalałej prawicy, tak wkrótce doprowadzą nas do tego, że znowu będziemy musieli głosować na Wałęsę, by bronić Polski przed jakimś szaleńcem. A ja tego już nie przeżyję”.

Kiedy wyniki wyborów jak jaszczurki wpęły na tablicę, najpierw wszyscy oniemieli, niby się spodziewali, ale jednak zaskoczeni. Tylko łysina Oleksego (SLD) świeciła coraz mocniej. Potem słyhać mały rumor, to przegrani osądzali się w myśli — to nie nasza wina, to oni. Całe towarzystwo wydawało się ogłuszone klęską, do tego stopnia, że zapomnieli, że była ona przewidziana.

Politycy SLD, triumfujący, ale skromnie, tylko coraz bardziej błyszczą. A ja jeszcze ciągle widzę, że leży im na żołądku jak grzech pierworodny, poczucie winy za komunizm.



Jak długo mają w sobie ten ciężar, są jak skorpiony bez jadu. Poczucie winy już przez cztery lata moderuje ich zachowania, ale to się dzisiaj kończy. Czy wynik wyborów zmaże je zupełnie? Czy poczuli, że naród wybacza? Wielu z nich nie pamięta mroków komunizmu, ich konformizm miał prawo zwietrzeć, czasami skomplikowane były drogi do PZPR w ostatnich latach. A przede wszystkim, oni mają dzisiaj swoje interesy na wielką skalę, bardzo to są drapieżno-kapitalistyczni socjaldemokraci. Zgadzą się, to żenujące, ale za to bronić będą naszego kapitalizmu równie gorliwie jak kiedyś bronili swego majątku, którym była Polska Ludowa.

Czyli — bez paniki. Rodzą się jednak szeptane pytania — czy sieć dawnej nomenklatury ożyje na prowincji? Czy obudzi się towarzysz Szmaciak? Bo jednak coraz więcej widać głów, które chociaż stosowały najbardziej jadowne szampony, to nadal są czerwone; te głowy teraz podnoszą się. Czy czerwone głowy zdominują miłego i gładkiego Kwaśniewskiego? Ta partia sama nie wie czym jest, bo nie chcąc posiadać przeszłości, nie ma dzisiaj kształtu. Ale wydaje się, że naprawdę groźna jest PSL, i gniewny chłopski tłum, który czuje, że miasto i groźni Wielcy Obcy Bankierzy o podejrzanym nazwiskach, chcą wykończyć polską wieś.

Teraz będzie wielkie lizanie ran. Przebrani wkrótce zaczną jak w bęben bić się w cudze piersi. Najwięksi wrogowie w imię jedności prawicy spróbują się znowu przytulić do Prezydenta, by ponownie przekonać się, że On jest zupełnie nieprzytulny. A zwycięzcy? Są dzisiaj prawie tak przerażeni władzą co wpadła im w ręce, jak w roku 89 była przerażona opozycja. Profesor Geremek miał wtedy powtarzać „Za wszelką cenę musimy zdławić triumfalizm”. Niestuszenie, co widać po czasie. To samo szepce się teraz w obozie SLD. Ale tym razem słusznie. Lecz bądźmy spokojni, triumf jest zawsze mocniejszy od rozsądku.

Najbardziej zadowolony jest Jerzy Urban. Poszedł do sztabu wyborczego SLD, wziął ze sobą butelkę szampana wielkości dorodnego szczupaka i wywalił język. Co pokazała prasa całego świata.

W obskurnej stołowce pewnego urzędu spotykam małego Wielkiego Pisarza, stołuje się tu, bo tanio i blisko. Poznaje mnie bez zmrużenia powiek. Jest już bardzo w latach, ale czas nie zepsuł mu myśli, a nawet słuchu. Zadzierając głowę patrzy na mnie zdziwiony, i mierząc mnie od dołu do góry, mówi

- Ale pan urósł.
- Ja? Wprost przeciwnie, ja zmalełem — protestuję.
- Jest pan pewien?
- W zupełności.

Przez chwilę przeżuwał ten problem, popił go zupą, przełknął dobrotliwie i stwierdził.

— No tak, pewnie znowu mi się to zdaje, taki już mój los.

By sprawę przenieść w wymiar duchowy, mówię, że w zasadzie w Polsce zmaleli wszyscy, zaś artyści w szczególności, są tacy, których już w ogóle nie widać, lecz i najwięksi ogromnie są mali i chudzi, takie czasy.

— To szczerą prawdą, ja też to zauważyłem — potakuję.

Więc ja nagle czuję, że jednak mi przyjemnie, że w Jego oczach urosłem. Żeby się odwdziżyć, chwalebę Jego ostatnią książkę, chociaż jej nie czytałem. A on skwapliwie wypytuje, czy mój sąd przypadkiem nie jest odosobniony, i podaje jedyną księgarnię, gdzie książkę można kupić. Takie czasy. A podczas ostatnich łyżek zupy komentujemy wyniki wyborów.

— Czy oni znowu wprowadzą cenzurę? — pyta.

Zaprzeczam, nie ukrywając, że niestety trudno mieć na to nadzieję, a szkoda, bo wprowadzenie cenzury ogromnie by poprawiło kondycję podupadłego zawodu pisarza, a i dziennikarzom by się przydało.

Ilekoć spotkam młodych ludzi, podkreślają swój dystans wobec życia politycznego. Bardzo wielu jest zajętych wirowaniem wokół własnej młodości, to normalne, ale dzisiaj to wirowanie ma oś, która jakby sama w siebie wątpi. Tak, wątpię we własną młodość, ale zarazem nie chcą być dorośli, to też nowy znak. Wątpię we własną radość, w sens życia, i zazdroszczą mojemu pokoleniu stanu wojennego, bo do powstania warszawskiego wyobraźnia im nie sięga.

Wśród tych, którzy interesują się sprawami społecznymi narasta przekonanie, że generacja „Solidarności” jest zainfekowana komunizmem, że bez zmiany generacyjnej nasze życie polityczne będzie nieuchronnie spalać się w neurotycznych skurczach.

Dostałem list publiczny podpisany przez grupę młodych ludzi z Krakowa, ich polityczne wyznanie. Piszą, „Zmiany polityczne nie są możliwe bez przesilenia moralnego. (...) Tylko zmiana pokoleniowa może doprowadzić do przywrócenia treści elementarnym pojęciom politycznym, do utrwalenia

niepodległości Polski, do zażegnania zagrożeń jakie przed nami stoją, do pobudzenia aktywności społeczeństwa. Przybliżyć nas do osiągnięcia jednego z najważniejszych celów — cywilizacyjnego dogonienia świata”. Piszą, że tylko oni nie są zsowietyzowani, że w sposób naturalny są prowolnorynkowi, znają obce języki, nowe technologie i mają jeszcze entuzjazm do budowania nowego świata.

Otóż ze wszystkim się zgadzam, ale w ten entuzjazm wątpię. Jest jakiś brak energetyczny w pokoleniu, które wstępuje, co jak mi się zdaje wypływa z poczucia absurdu świata. Tak, oni na szczęście nie zapłodnią nowego komunizmu i faszyzmu. I chyba po raz pierwszy w historii naszej planety najmłodsza generacja startuje z takim bagażem. Ten sceptycyzm to jest jakaś wielka mądrość, ale jak z tym żyć?

Z Polakami nic na siłę — mówi fryzjer — i śmieją mu się w rękach nożyczki. Jak ktoś tak tańczy wokół ludzkich głów z brzytwą w ręku, to musi stąpać mocno po ziemi, tłumaczy, a nasi politycy pofrunęli. Jako, że strzyże też polityków, to wie, że „oni nawet jak siedzą to lewitują. Myśleli, że tylko komuniści odrywają się od ziemi, że im to nie grozi. To teraz pofrunęli, jak baloniki z gazem łzawiącym. A Polska została gdzieś w dole. Bo z Polakami nic na siłę”.

Już myśleli, że Polska jest ich, a nie jest. Ludzie skupieni wokół Unii, polska liberalna inteligencja, młodsze pokolenie skupione wokół gdańskich liberałów, środowisko dawnego KOR-u, czytelnicy *Gazety Wyborczej*, myśleli, że Polska jest ich. A nie jest.

Polska prawica narodowa, i Kościół, partie wspierające się o narodową tradycję, z religijną pieśnią na ustach, oni też myśleli, że Polska powinna być ich, że prawie jest ich, a przeszkadzają jedynie perfidne spiski różowych, zgniłych prozachodnich liberałów, zarażonych zachodnim żydowskim wirusem. Ale Polska nie jest ich, i nie chce być ich. I to nie Unia zabrała im Polskę, bo Polska idzie własną drogą, czy raczej na przelaj.

Ale Polska nie jest też byłych komunistów. Dawna nomenklatura nie myślała, że Polska jest ich, oni czuli, że naprawdę przegrali, ostatecznie. To co się stało jest dla nich równym zaskoczeniem, jak dla opozycji była władza, która cztery lata temu wpadła im w ręce, nie jak misa dojrzałych owoców, a sufit walącego się domu, i ledwie uszli z życiem, właściwie bardziej uciekając od władzy niż ją biorąc. Ale gdy

opadł kurz, oni też rzucili się na władzę, bo ona jak ponętą niewiasta, uwiedzie każdego samca. Ale Polska nie należy do dawnej nomenklatury, jeśli postkomuniści stracą głowę i uwierzą, że Polska jest ich, to wkrótce stracą głowę dosłownie.

I chociaż Polska sama nie wie czym teraz jest, ale idzie na przelaj, przez gęste krzaki i kolce, klnąc i zataczając się idzie szczerym polem, w rozpacz szarpiąc szaty o krzaki dzikiej róży, złorzecząc bo spragniona, przykucając na chwilę by przeliczyć pieniądze, pomodlić się i pokłócić się. Ale idzie, i trzeba być idiotą żeby nie widzieć, że jednak idzie do przodu.

SMECZ

## Dziennik pisany nocą

Neapol, 18 sierpnia 1993

Uważnie obserwuję co się dzieje, po krachu komunizmu i „ojczyzny proletariatu światowego”, z komunistami na Zachodzie. Na zdrowy rozsądek zdawałoby się, że powinni pójść na dno w bajorku zachodniej „hańby domowej”. W rzeczywistości nie tylko nie idą, ale utrzymują się wciąż na powierzchni: we Francji z pewnym trudem, zachłystując się co pewien czas brudną wodą; we Włoszech wybornie, bijąc wszelkie rekordy pływackie.

We Francji, jak widzę z drobiazgowej analizy w *Le Monde*, odbywa się na całego flirt skrajnej lewicy ze skrajną prawicą. „Ideologicznie” więc wracamy do czasów, gdy Stalin (po podpisaniu paktu Ribbentrop-Mołotow) zalecał w tajnym okólniku partyjnym studiowanie narodowego socjalizmu, gałęzi bliskiej komunizmowi na wspólnym pniu wojny z kosmopolityczną plutokracją. W dzisiejszej Francji, wobec groźby stopniowego wiotczenia komunistycznych mas rewolucyjnych, w gasnącą iskrę rewolucji dmuchają razem „intelektualiści” spod sztandarów Le Pena (Alain de Benoist) i Marchais. Wspomina się życzliwie „nacjonal-bolszewizm” w rasistowskim sosie braci Strasser, faworytów (na krótko) Hitlera. Czynny udział w tym mariażu bierze sowiecka družba: pisarz Limonow, niegdyś pornograficzny dysydent, obecnie przedstawiciel Żirinowskiego w Paryżu.

Sytuacja włoska jest inna, podobna trochę do polskiej. Komuniści włoscy ciągną zyski z tła. Przez tło rozumiem złodziejsko-korupcyjną degrengoladę chadecko-socjalistyczną. Skompromitowane są „wartości chrześcijańskie” w polityce,

partia Craxiego leży na ziemi kopana i opluwana. Nie znaczy to oczywiście, że ex-partia komunistyczna, przemianowana na Partię Lewicy Demokratycznej (znikło nawet słowo „socjalizm”) jest czysta jak łąka. Ma swoją złodziejską „dolę”, mniejszą co prawda, w aferach korupcyjnych, nie mówiąc o solidnym niegdyś poparciu finansowym Moskwy (w pamiętniku b. komunistycznego bossa Cervettiego czytamy, jak to Ponomariow podsunął mu kartkę z pytaniem „Pięć wystarczy?”; chodziło o pięć milionów dolarów). Ale na tle bagna chadecko-socjalistycznego komuniści wypadają lepiej na tyle, na ile złodziej kieszonkowy ryzykuje mniejszy wyrok (sądu i opinii publicznej) od kasiarza. Ex-partia komunistyczna, dzięki zręcznej polityce z zakresu kosmetyki czy wręcz chirurgii twarzy, znalazła się teraz na pierwszym miejscu gradacyjnej listy popularności. Do kosmetyki czy chirurgii twarzy należy prawie całkowita amputacja przeszłości. Gramsci? Nnnno tak, ale... Togliatti? Lepiej za dużo nie mówić. Longo? Jedyna jasna plama: protest przeciw inwazji Czechosłowacji. Berlinguer? Główna zasługa: refleksja o wyczerpującym się „impulsie rewolucyjnym” w ZSSR. I chirurgia twarzy i przywrócenie błony dziewiczej. W miejscowości Butowo pod Moskwą odnaleziono ostatnio w mogile zbiorowej trupy komunistów włoskich, emigrantów w okresie faszyzmu. Partia Lewicy Demokratycznej udała, że ich nie widzi.

Podobieństwo do Socjaldemokracji R.P. jest uderzające, łącznie z nazwą Sojusz Lewicy Demokratycznej. I znowu rosnąca popularność SLD jest głównie dziełem tła: okropnej prawicy (bardziej czy mniej chadeckiej), prócz Partii Konserwatywnej Halla. Nasi ex-komuniści też są sierotkami, których przodkowie zaginęli bez śladu w mroku dziejów. Bierut? Berman? Gomułka? Moczar? Gierek? Kogo to obchodzi, kto ich pamięta? Współcześni spadkobiercy wolą występować w roli NN, podrzutków historii. Operację ułatwia bzik „wartości chrześcijańskich”, które tyle samo znaczą, gdy się o nich za często i zbyt uroczyście mówi, co „wartości ludzkie” lub „wartości polskie”. Takich mając „anielskich” i pomylnych przeciwników politycznych, ex-komuniści polscy, na wzór swoich ex-towarzyszy włoskich, dają gwarancję konkretności, roztropności i — co najważniejsze — przyziemności.

20 sierpnia

Znak przedrukował z *Kultury* fragment mojego dziennika, związany z ankietą miesięcznika krakowskiego na temat

komunizmu („co wnosi do wiedzy o człowieku?”). W obszernym dziele *Znaku* pod tytułem *Lekcja komunizmu* ukazało się kilka tekstów, z których zainteresowały mnie szczególnie dwa: *Mały traktat o przystosowaniu* Jerzego Jedlickiego, oraz dwugłos Miłosza i księdza Tischnera o „dzieciństwie diabła”.

W *Traktacie* Jedlickiego nie wszystko trafia mi do przekonania, natomiast jestem jak on przekonany o zasadniczej roli „przystosowania” w systemie sowieckim. Owo „przystosowanie” (które na własny użytek nazywałem „zachowaniem” czy „niepisanym kodeksem zachowania nieodzownym do przeżycia”) stanowiło fundament sowytyzmu, tak trudny dzisiaj do zburzenia, trudniejszy w każdym razie do zburzenia od granitowych cokołów, na których stawiano pomniki Wielkich Nauczycieli. Jedlicki ma również rację zauważając, że w Polsce (a prawdopodobnie do pewnego stopnia i w innych kadeelach) „przystosowanie” było wzajemne: rządzący narzucali „przystosowanie” rządzone, ale i sami musieli się po jakimś „przystosować” do rządzone. Taki proces nie istniał prawie w Metropoli.

Jedlicki słusznie zaprzecza jakoby „rozgościł się u nas *homo sovieticus*, ten słomiany chochoł, który dziś, w Krakowie zwłaszcza, i straszy i śmieszy”. Wyraźny adresat tej aluzji, ku mojemu zdumieniu, zapomina o swoim „homosocie” w dialogu z Miłoszem, onieśmielony jakby majestatem i poglądami noblisty. „Słomianego chochoła” zastępuje diabeł, zapewne *mielkij bies* Wata postukujący „kopytkami” na dachu więzienia moskiewskiego.

U Miłosza niebывały jest jego upór. Zdawało się, po przeczytaniu książki Ewy Czarneckiej (Renaty Gorczyńskiej) *Podróżny świata*, że herold „zniewolonego umysłu” stracił w końcu stuprocentową niegdyś wiarę w swój wynalazek. Gdzie tam. Znowu oskarża „moralistów”, że nie dojrzeli „umysłowego i duchowego wymiaru komunizmu”. Wygodne i nadużywane słówko „moralista” zmiata z pola widzenia zwykłą, elementarną wrażliwość moralną, zdolność odróżniania dobra od zła, wprowadzając intelektualne wygibasy wszędzie, gdzie mogą zaciemnić i zamącić prosty stosunkowo obraz.

Książka Tischner w paru słowach streszcza sens *Głównych nurtów marksizmu* Kołakowskiego: „Wygląda na to, że komunizm był jedną wielką pomyłką, rodzajem farsy odtączonej na cmentarzu”. Miłosz protestuje: „Nie wiem, czy Kołakowski ma rację. Wydaje mi się, że wszystkie „izmy”, których jesteśmy dzisiaj świadkami na Zachodzie, powstały w

umysłach ludzi wytrenowanych na marksizmie. Śledziłem na Zachodzie stopniowe mody. Najpierw była moda na marksizm, potem na strukturalizm, teraz panuje moda na dekonstrukcjonizm (co to za nowe zwierzę filozoficzne? żyrafa, która ma „wyłącznie” szyję? — przyp. mój) — i wszystkie one posiadają wspólne korzenie. Może się okazać, że wszystkie te pochodne są tak samo jak marksizm farsą”. Nie tylko może się okazać, ale okazuje się. Dziedzictwo „izmów” przygniotło filozofię kamieniem grobowym, uczciwy filozof (nie szalbierz) zajmuje się dziś tylko historią filozofii.

(A *propos* Kołakowskiego. Dziesięć dni temu w *Corriere* ukazała się rozmowa z nim, zatytułowana *Tylko Stalin mógł ocalić komunizm*. Na benefis admiratora i ucznia *honoris causa* Kołakowskiego w Warszawie, jako też adwokata generała Jaruzelskiego, wypisuję z tej rozmowy zdanie: „Nie wierzę, że doszłoby do interwencji sowieckiej, nawet gdyby Jaruzelski wybrał czekanie zamiast puczu”. Jerzy Giedroyc i ja twierdziliśmy zawsze to samo, wyszydzeni przez naszych domorośłych „realistów”).

27 sierpnia

Zapomniano całkowicie o Amalriku, z ogromną szkodą dla obrazu ruchu demokratycznego w ZSSR. Przyjechał z Moskwy do Holandii w roku 1976, w praktyce wyrzucony przez KGB jako *tuniejadec*, „darmozjad”, godny kontynuator „zbrodni” Brodskiego. W roku 1970 w Amsterdamie, w Fundacji Herzena, wyszły dwie jego książki: niewielki esej *Czy Związek Sowiecki przetrwa do roku 1984?* i opis zesłania *Niechciana podróż na Syberię*, najprawdziwszy chyba od Rewolucji opis wsi rosyjskiej. Z wykształcenia historyk, zapowiadał się jako gwiazda pierwszej wielkości wśród rosyjskich emigrantów. Niestety, wkrótce po osiedleniu się w Holandii zginął w wypadku samochodowym. Był prekursorem diagnozy bankructwa systemu sowieckiego (w eseju) i wybornym znawcą rzeczywistości sowieckiej (w książce i w wywiadach dla prasy zachodniej). Gdyby śmierć nie przecięła tak tragicznie i tak przedwcześnie jego życia, stawiano by go obok Sacharowa i Solżenicyna; bliżej pierwszego, niż drugiego.

Z Sacharowem łączyła go próba racjonalistycznego spojrzenia na świat i na swoją ojczyznę. Nie zdradzał natomiast skłonności Solżenicyna do apokaliptycznych tonów w ocenie Zachodu. Nie wiem, czy Solżenicyn zdaje sobie sprawę, jak nie-

bezpieczna (choć w wielu punktach słuszna) jest ta jego Apokalipsa Zachodu. Solżenicynowską mowę w Harvard (i jej liczne pochodne) wolno zestawić ze świeżym wystąpieniem Jana Pawła II w Denver. Mają obaj bardzo dużo racji, a przecież... A przecież zdają się nie widzieć, że odmalowana przez nich w czarnych barwach ciężka choroba duchowa Zachodu, pławiącego się dość bezmyślnie w materialnym dobrobycie, może z winy jej lekarzy doprowadzić u nas do dwóch fatalnych zjawisk. Po pierwsze, w naszej, wschodniej części Europy może wywołać wrażenie, że jesteśmy mimo wszystko lepsi; co jest po prostu bałamuctwem, a nawet fałszem, jeśli się bierze pod uwagę jedną tylko różnicę, a mianowicie fakt, że środki naszej duchowej dezorientacji i degradacji, naszego kryzysu wartości, są chwilowo o wiele uboższe od bogatych środków materialnych na Zachodzie. Czego doprawdy nie powinniśmy sobie życzyć, w morzu problemów i kłopotów, to rozhuśtanej megalomanii narodowej: Apokalipsa rosyjskiego proroka i polskiego papieża musi się z tym liczyć. Po drugie, nie stać nas (i nie stać, tym więcej, rodaków Solżenicyna) na ciągoty misjonarskie. Daleki był od nich Sacharow, zresztą admirujący bardzo Jana Pawła II i Solżenicyna. Podobną mentalność wyczuwa się w tym, co zdołał napisać i powiedzieć młody historyk rosyjski, Andrej Amalrik. Poznałem go w Paryżu, niebawem po jego przyjeździe do Amsterdamu. Godzinna rozmowa pozostawiła mi w pamięci wrażenie splotu — jakże naturalnego! — trzeźwości i wyobraźni. Tak, wyobraźni, której nie uraczysz na lekarstwo u spadkobierców komunistycznej „dyktatury ciemniaków”.

1 września

Głośny wybuch Gombrowicza *Przeciw poetom* można uznać albo za jeszcze jeden dowód jego upodobania do prowokacji, albo za wypowiedź zupełnie szczerą, tyle tylko że dla niepoznaki lekko zawoalowaną wyzywającym dyszkantem. Wybieram drugą ewentualność, niewątpliwie gorszą dla Gombrowicza, bo na drogę nonsensów wiedzie pisarza mądrego i inteligentnego. Poeci są „bezsilni wobec rzeczywistości”, „tracą związek z jednostką ludzką”, nie potrafią „wypowiadać i wyrażać siebie”, uprawiają „sztukę świecąca się w próżni”, nasyconą „fikcją i ceremoniałem, a nie prawdziwym obcowaniem człowieka z człowiekiem”, lekceważą „autentyczność i

wagę naszego istnienia”. Jakby tych głupstw było za mało, w bukiet wpleciony jest kwiatek o nie o wiele lepszej od poezji „prozie poetyckiej”. Gombrowicz zalicza do niej, z grymasem niesmaku na ustach, Brocha, Joyce’a i Kafkę...

Po poetach kolej na malarzy, a raczej miłośników malarstwa. Dowiaduję się o tym z bardzo ładnej książeczki Herberta *Martwa natura z wędzidłem* (o malarstwie holenderskim). Po co pan się zajmuje malarstwem?, pyta Herberta zgorszony Gombrowicz. Herbert: „Gombrowicza drażniła, jak się zdaje, przyrodzona „głupota” sztuk plastycznych. Istotnie, nie ma obrazu, który by w sposób popularny wykladał filozofię Kanta ani także Husserla i Sartre’a, dwu ulubionych myślicieli pisarza, służących mu do intelektualnego unicestwiania rozmówców, poddanych uprzednio starannym zabiegom upupienia. Ale mnie właśnie owa „głupota” — lub delikatniej mówiąc, naiwność — wprawiała zawsze w stan szczęścia. Za sprawą obrazów doznawałem łaski spotkania z jońskimi filozofami przyrody. Pojęcia kielkowały dopiero z rzeczy. Mówiliśmy prostym językiem żywiołów. Woda była wodą, skała skałą, ogień ogniem. Jak to dobrze, że zabójcze abstrakcje nie wypłyły do końca całej krwi rzeczywistości”.

Zastanawiam się, czy Gombrowicz wybrzydający się na poetów i miłośników malarstwa, zakochany w filozofach i muzyce, był (jako pisarz) krwio pijącą rzeczywistości. Chyba był. Jego proza ma wiele uroków, ale nie należy do nich z pewnością fascynacja wielokształtną Naturą, „pojęciami kielkującymi z rzeczy”. Rozgrywał jak wielki szachista swoją partię z życiem, z otaczającym go światem, z dorobkiem myśli ludzkiej, nie podnosząc najczęściej głowy znad szachownicy. Z trójki „wariatów”, był bardziej opancerzony emocjonalnie od Witkacego i Schulza.

4 września

Raito koło Salerno, uroczę miasteczko na wzgórzu, z widokiem na Zatokę Salernitańską i na stolicę regionu. Góruje nad nim trochę z boku wyniosły *Palazzo Raffaele Guariglia*, niegdyś letnia rezydencja ambasadora włoskiego w Madrycie (za czasów faszyzmu) i ministra spraw zagranicznych w rządzie Badoglio, obecnie dar dyplomaty-syna Raito zapisany w testamencie władzom municypalnym i regionalnym. Na piętrze Muzeum Ceramiczne, na dole sala konferencyjna Ośrodka Studiów Salernitańskich. Byłem tam dziś,

historycy omawiali pięćdziesięciolecie lądowania Sprzymierzonych w Salerno. Chociaż Polacy nie brali w nim udziału (zaczęliśmy dobijać do włoskich brzegów z Egiptu dopiero pod koniec 1943 roku), zaproszono mnie do wygłoszenia „świadczenia osobistego” o „Polakach w włoskiej kampanii wojennej 1943–1944”.

Opowiedziałem o tym czym był 2 Korpus i o naszych wielkich bitwach (Monte Cassino, Ancona, Bolonia), po czym przeszedłem do gorzkawej epoki powojennej. Chciałem słuchaczom włoskim, odrobinę zakłopotanym lecz serdecznym i „owacyjnie” usposobionym, uprzytomnić naszą sytuację w atmosferze niechęci i pragnienia, aby jak najszybciej „polscy oswobodziciele oswobodzili nas od swojej obecności”. Znikły nazwy dwóch „polskich” ulic: Ulanów Karpackich w Anconie, generała Klemensa Rudnickiego w Bolonii. Rosnąca w siłę partia komunistyczna szerzyła, zgodnie z logiką komunistyczną, wieść że jesteśmy wojskiem faszystowskim, skoro byliśmy sowieckimi więźniami. Rzecz jasna, praktycznie nie miało to większego znaczenia, 2 Korpus liczył przeszło sto tysięcy żołnierzy, mógł więc gwizdać na bandy Togliattiego. Ale atmosfera gęstniała. Nie można było liczyć w razie potrzeby na nikogo, nawet na przedstawicieli „wartości chrześcijańskich”, którzy robili jak inni w portki ze strachu, mając do czynienia z potężnymi komunistami i z ich potężnym sowieckim protektorem. Jeden był tylko człowiek, gotowy zawsze do interwencji, Randolfo Pacciardi, minister obrony w pierwszym koalicyjnym rządzie rzymskim, republikanin (centro-lewica), pułkownik w wojnie domowej w Hiszpanii, wstawiony swoją osobistą odwagą i polityczną prostolinijnością. Po raz pierwszy poszedłem do niego z Czapskim, potem zachodziłem już sam do jego gabinetu ministerialnego. Komunistom przyjrzał się w Hiszpanii, miał dla nich formułę *Mascalzoni, anzi banditi*, „dranie, więcej — bandyci”. Wspominam go ze wzruszeniem, umarł niedawno po dziewięćdziesiątce.

Opowiedziałem też słuchaczom w Raito o problemach, jakie stanęły przed polskimi żołnierzami po zwycięstwie, z którego nas wyłączono. Wracać, nie wracać? Dowódca pierwszego transportu repatriacyjnego pułkownik Janusz Gaładyk, wybitny i mężny oficer, nie ukrywał za nadto swoich lęków przed wyjazdem. Mianowano go co prawda po powrocie generałem, dano mu niezłą posadę, ale wkrótce znikł bez śladu w dość zagadkowych okolicznościach. Żołnierze 2 Korpusu byli w „wyczekującej ich z miłością Ojczyźnie” do tego stopnia

szykanowani, że jeszcze w roku 1991, podczas mojej podróży do Polski, spotkałem bliskiego mi towarzysza broni spod Monte Cassino, który odruchowo oglądał się z poplochem w oczach na wszystkie strony, ściskany przeze mnie publicznie po kilku dziesiątkach lat rozłąki.

Nikczemny, łotrowski ustrój. Dostaję gęsiej skórki na myśl, że w razie sukcesu we wrześnieowych wyborach pogrobowcy PZPR staną się co najmniej główną podporą koalicji rządowej, albo nawet pupilkami prezydenta Wałęsy w jego nieudolnej grze politycznej. „Nie ma zwycięzców i zwyciężonych”, powiedział dziś w Wilnie papież do Brazauskasa. Lekomyślnie słowa, za które kiedyś słono zapłacimy.

8 września

Zygmunt Kubiak przytacza fragment listu Keatsa do brata: „Każde w jakimkolwiek stopniu wartościowe życie ludzkie jest nieustanną alegorią”. I dalej: „Szekspir wiódł życie alegoryczne; jego utwory są komentarzami do takiego życia”.

Rzecz w tym, żeby z alegorią nie przesadzać, żeby (jak Keats) nie doszukiwać się jej nawet tam, gdzie jej istnienie jest naciągane, spycha rzeczywistość do roli pretekstu jedynie, na podobieństwo wszechwładzy metafory. Giorgione, na przykład. Wspaniały malarz, który uchodzi za „alegorystę” *par excellence*. Jego *Burza* jest przez „alegorycznych” komentatorów objedzona jak kość do nagiej białości. Od wielu lat jej doskonała reprodukcja wisi na ścianie nad moją malarską niszą, więc podczas moich nałogowych „podróży dokoła własnego pokoju” (na wzór François-Xavier De Maistre’a) wpatruję się w nią często, mrużąc pod nosem: „Jakaż to alegoria!” Kto widział *Burzę*, w reprodukcji czy w weneckiej Akademii, pamięta scenę namalowaną przez Giorgione: po lewej stronie stoi żołnierz oparty o wysoką tyczkę czy dzidę, po prawej siedzi naga cyganka z niemowlęciem przyszanym do jej piersi; żołnierz stoi na tle złamanej kolumny, cyganka siedzi pod drzewem; w powietrzu wisi burza (z błyskawicą między chmurami), za mostem na rzece lub strumieniu widać zabudowania — wieżyczki i kopułę. To wszystko, oczywiście w skrócie. Giorgione świetnie uchwycił ciemnozieloną tonację kolorów przed burzą.

Wybitny historyk sztuki Edgar Wind poświęcił *Burzy* esej-analizę alegorii. Podkreśliwszy (słusznie) „tajemniczą harmo-

nię między pejzażem i figurami”, roztoczył małą galerię symboli, jakimi posługiwano się w okresie Renesansu. Złamana kolumna oznacza Moc (słabo reprezentowaną przez chuderlawego żołnierza o drobnej twarzy), burzę uważano za Fortunę (także burzę niszczycielską), figury przedstawiają *Virtus* i *Amor*. Szkic Winda kończy się jednak melancholijnym zdaniem: „Giorgione, ukazując nam burzę, cygankę i żołnierza, tworzy nie tyle opowieść co szaradę”.

A może nie jest to żadna „alegoryczna szarada”, ale właśnie opowieść? Może ma rację inny wybitny historyk sztuki Kenneth Clark, który *Burzę* Giorgione uważa za „czystą fantazję” i przypomina, że za życia malarza nazywano jego obraz po prostu *Żołnierz i cyganka*? Ostrożnie z nadużywaniem „alegorii”. Wyprostowany żołnierz dumny jest ze swojej kochanki (naprawdę pięknej) i ze swego dziecka, oboje czekają na nadciągającą burzę, jak zawsze czekało się i czeka nadal na obmycie szczęścia strugami wody.

13 września

Gdybym był „watykanistą” jak Dominik Morawski, poświęciłbym sporo czasu na napisanie książki pasjonującej i pouczającej (przy tym w stylu „dreszczowca”) na temat Jana Pawła I: jego wyboru, jego 33-dniowego pontyfikatu, jego naszkicowanego pobieżnie i dość wyjątkowego wizerunku Ojca Świętego, jego nieoczekiwanej i zagadkowej raczej śmierci. Albino Luciani, Patriarcha Wenecji (jak przed nim Roncalli czyli Jan XXIII), był na watykańskim nieboskłonie meteorem, zgasł lewie zdążył zabłysnąć. Pełno tu sprzeczności, niejasności, ciemnych plam, dziur, jak przystało na „dreszczowiec” właśnie. W piętnastą rocznicę wyboru (26 sierpnia 1978), intronizacji i błyskawicznego pontyfikatu znajduję sporo ciekawego materiału w żywym tygodniku katolickim *Sabato*. Rozszerza, potwierdza, wikła wszystko, co było już częściowo wiadome: w wyobraźni ludu rzymskiego od pierwszej chwili powstały podejrzenia śmierci nie naturalnej (ogłędnie rzecz określając), czarna arystokracja wznosiła obłudnie i znacząco oczy ku niebu, w kurii rzymskiej każde niezbyt delikatne pytanie zbywano gniewnym ofuknięciem.

Wkrótce po śmierci Jana Pawła I poznałem cenionego lekarza, profesora De B., którego przed wyborem wezwano raz na konsylium do Wenecji. Oczywiście (i słusznie) nie chciał w pogawędce wnikać w szczegóły, ale jedno zdanie wy-

cedził: „Nie widziałem nigdy tak chorego człowieka, dziwiłem się że żyje”. Natomiast w *Sabato* brat zmarłego papieża, Eduardo Luciani, wystawia mu świadectwo „żelaznego zdrowia”, jakkolwiek dodaje, że Albino przeczuwał bliską śmierć po rozmowie z jedyną „jasnowidzącą z Fatimy”, siostrą Łucją (lipiec 1977). Na *conclave* jego kandydatura zdobyła szybko i bez trudu większość, lecz należy pamiętać, że przewodził jej kardynał Benelli, b. watykański minister spraw wewnętrznych, którego przed rokiem wygrzono z kurii rzymskiej. W samej rzeczy Jan Paweł I nie cieszył się w kurii szczególną sympatią. Brano mu za złe „przesadną (czyli autentyczną) pokorę”, predylekcję do wyłącznej roli pasterza, społeczny radykalizm (był synem robotnika-socjalisty), a już wyjątkowo drażnił kurialnych dygnitarzy jego uporczywy zwyczaj zwracania się do wiernych: „Módlcie się za tego biednego Chrystusa”. W dniu swojej śmierci przyjął kardynała afrykańskiego Gantina, który natychmiast po audiencji powtórzył pożegnalne słowa papieża: „Winniśmy światu ciągle pokazywać Jezusa Chrystusa, poza Nim niewiele mamy argumentów na porządku”.

Jest prawie pewne, że jeszcze przed elekcją doszło kilkakrotnie do zatargów Patriarchy Wenecji z Marcinkusem. Dużo wskazuje na to, że nie był przeciwnikiem dopuszczalności środków antykoncepcyjnych (zwłaszcza pigulek), mimo że nie ośmielił się krytykować encykliki *Humanae vitae*.

Śmierć. Leży w łóżku i przy nocnej lampce czyta. Co? W komunikacie radia watykańskiego podano, że *Nasładowanie Chrystusa*. Ale w wywiadzie udzielonym *Sabato* przez ówczesnego dyrektora radia, jezuitę Farusi, ta podniosła wersja została skwitowana słowem „bzdura”. „Dostałem tę informację od sekretarza papieża, nadałem ją, nazajutrz musiałem ją zdementować. Miał w rękach jakieś papiery, proszę mnie jednak nie pytać jakie. Dla mnie pozostało to do dziś tajemnicą”.

15 września

Przeglądając w poszukiwaniu starego zapisu mój dziennik, natknąłem się w pierwszym tomie, pod datą 12 sierpnia 1972, na dragonejski fragment: „Katastrofalne letnie pożary lasów tłumaczy się bądź działalnością piromanów, bądź nieostrożnością piknikowych komityw, bądź zawieruszoną szkiełkiem, które w wyrębach między drzewami ogniskuje żar

śłońca w jednym punkcie suchego poszycia. Przyznaję, że podoba mi się szkiełko. Jest trochę jak powieszony wróbel w „Kosmosie”.

Zamierzczę, idylliczne czasy! W sierpniu 1972 można było pisać o mieszance piromanów, pikników i szkiełek. W sierpniu 1993 trzeba było skreślić pikniki i szkiełka. I mówić wyłącznie o piromanach, a raczej podpalaczach, których udział w fali letnich pożarów oblicza się na 95 procent. W sierpniu tego roku Włochy płonęły od północy do południa. Na południu do tego stopnia, że płomienie docierały na przedmieścia Neapolu, obracały w popiół ogromne płaty lasów kalabryjskich, wybuchały na Capri i na Ischii, zagrażały szosom i torom kolejowym. Nie chodzi już o dawnych piromanów dwójakiego rodzaju: igrających z ogniem dla zabawy, lub liczących na zatrudnienie przy zalesianiu spalonych obszarów. Nie widzę większej przesady w używaniem ostatnio zwrocie „pożarowy terroryzm”. Jakby szczyła się zaraza („czterwony kur”!) niszczycielskich zamachów na własny kraj. Na własne kraje, dla ścisłości, gdyż może się poszczycić znacznymi postępami pożarowe zjednoczenie Europy...

#### 17 września

Wciąż większym i większym podziwem (i zdumieniem) napęlnia mnie bogactwo archiwów sowieckich. Nauczony przez Silonego (a on przez Togliattiego), że ważne i „delikatne” sprawy nie zostawiają u władców Kremla śladów na piśmie, przez lata żyłem w głębokim przeświadczeniu, że w epokowym dniu rozpadu ZSSR powieje od archiwów nudną pustką. A tymczasem są pełne i zadziwiająco drobiazgowe.

W roku 1974 *wierchuszka* sowiecka w komplecie dyskutuje godzinami problem pierwszorzędnej wagi państwowej: aresztować Sołżenicyna za *Archipelag Gulag*, czy wygnać z ojczyzny (Brandt gotów jest go przyjąć)? Breżniew, Andropow, Susłow, Kosygin, Gromyko, Podgorny, Kirilenko, dostojne gremium senilnych durniów, rajców miejskich z Głupowa Sałykowa-Szczedriny, rozważa wszystkie niuanse, plusy i minusy, decyzji która będzie miała historyczne znaczenie. Aresztować i wtrącić do więzienia? Wykopać w ręce zachodnich zgniłków? Wykopać, wykopać, po krótkim okresie sensacji zapomną o nim na Zachodzie, zdechnie pod płótem na emigracyjnej pustyni. Co postanowiwszy, całe pokazne *dossier* głupowskich obrad trzeba odesłać do archiwum,

wraz z trzema fotografiami Sołżenicyna (zrobionymi z ukrycia przez agenta KGB) na pogrzebie Twardowskiego.

Sołżenicyn opisał swoje utarczki z władzą sowiecką w książce *Bodło cielę dąb*. Dąb? Przecież to jest już spróchniały pień, który rozsypuje się po trochu nawet od ciosów znarowionego cielaka. Jaruzelski nie mógł nie wiedzieć, że ma do czynienia z próchnem, jeździł często do Moskwy, wisił na kremłowskim telefonie, wpijał się namiętnie w starcze usteczka sowieckich wodzów, więc czemu tak trząśł generalskimi bryczesami w momencie swojej „historycznej próby”? Papiery Susłowa, przywiezione ostatnio w prezencie przez Jelcyna do Warszawy, są dobrą ilustracją rozgadanego, bezzębnego próchna, niezdolnego już do powtórzenia *geroiczeskich podwígów* na Węgrzech i w Czechosłowacji.

#### 19 września

Do rozlicznych polskich „linii podziału”, liczniejszych niż gdziekolwiek na świecie, przybywa obecnie nowa. Prezentuje ją zrównoważony zazwyczaj i rozumny *Tygodnik Powszechny*, nieoczekiwanie teraz „tracony psychicznie” (jak mawiał nieboszczyk Gałczyński). Rzecz ma posmak swoistego szantażu patriotycznego, chodzi mianowicie o linię podziału między tymi co używają słowa „naród” (lepszymi) i tymi którzy posługują się słowem „społeczeństwo” (gorszymi, z lekka podejrzanymi). Czwórka pracowników *Tygodnika* bierze w obroty Michnika, pod koniec długiego wywiadu. Dlaczego przestawiłeś się ostatnio z terminu „społeczeństwo” na termin „naród”? Dlaczego w latach siedemdziesiątych ty i twoi przyjaciele w KOR-ze mówiliście „społeczeństwo, społeczeństwo”, a Macierewicz trzymał się „narodu”?

Pewnie, „naród” jest słowem odświętnym, z wysokiego diapazonu, „naród” określa się na ogół jako „szlachetny, dzielny, niezłomny, bohaterski, nieśmiertelny”. Naród polski odzyskał niepodległość w roku 1918, pobił bolszewików w roku 1920, w latach rozbiorów trwał i dawał o sobie znać powstaniami. A co ze „społeczeństwem”? Niestety, członkowie pewnych warstw „społeczeństwa” (chłopi) wylapywali w roku 1863 powstańców i oddawali ich w ręce Rosjan (*Wierna rzeka*). Niestety, członkowie innych warstw „społeczeństwa” (głównie drobne mieszczaństwo) witali śmiechem pierwsze kadrowe drużyny strzeleckie, nie wierzyli w Piłsudskiego i jego towarzyszy. Łatwo tę listę wydłużyć. Więc co, nie należe-



li do „narodu”? Bywali do niego włączani lub włączali się sami od wielkiego dzwonu, gdy skruszeni dawali dowód swych narodowych uczuć, gdy (jak Michnik, Kuroń i inni korowcy) porzucali termin „społeczeństwo”.

Te niedorzeczności nie zasługiwałyby na szczególną uwagę (temat raczej dla pisarzy w rodzaju Witkacego i Gombrowicza, niż dla mnie), gdyby indagowany i przypięrany do muru wykpił soczyście całą czwórkę indagatorów. Ale nie. Michnik wije się jak piskorz, jest wyraźnie zbity z tropu, tłumaczy się, zapewnia „mówiliśmy również naród”. I to jest upokarzające, to świadczy że nawet w *Tygodniku Powszechnym* sięga się po płaskie i niemądre metody wytykania grzechów „dewiacji narodowej”, a „dewianci” rumienią się ze wstydu, usiłując wypłatać się z sieci kto wie czy nie cięższych jeszcze pomówień.

A ja przeszło rok temu ogłosiłem bezkarnie w *Tygodniku Powszechnym* list do Jerzego Turowicza zatytułowany *Społeczeństwo*, w ramach serii *Ojczyzna*. Ciarki przechodzą po skórze. Czas najwyższy prosić w modlitwie o zmiłowanie nad moją zabląkaną i grzeszną duszyczką.

20 września

Wyniki wyborów w Polsce.

Jeżeli ma rację Jan Paweł II, że po upadku komunizmu „nie ma zwycięzców ani zwyciężonych”, to trudno się dziwić że b. zwyciężeni zaczynają się przesiadać na miejsca b. zwycięzców. Trudno się dziwić, ale nie można powstrzymać ogromnego niepokoju. Wybory dowiodły, że w cztery zaledwie lata po odzyskaniu niepodległości zaciera się nieodzowna cezura między PRL i Trzecią Rzeczpospolitą. Ja osobiście uważam to za ciężką i bolesną porażkę. Istnieje coś takiego jak psychiczna i moralna świadomość społeczeństwa, dla której konieczne jest poczucie przedziału między ustrojem który upadł po dokonaniu wszystkich swoich niegodziwości, i ustrojem który dźwignął się na jego gruzach. Tak było we Włoszech po upadku faszyzmu, gdzie ta cezura trwała kilka dziesięcioleci. Przywódca SLD Kwaśniewski ma jednak czelność twierdzić, że „PRL to było *całe* społeczeństwo”.

Powstaje naturalnie pytanie jak wyglądać będzie polska tzw. „scena polityczna” po wyborach, jak potoczy się proces przygotowań b. zwyciężonych do zastąpienia b. zwycięzców. Można jeszcze w teorii liczyć na jedyną sensowną koalicję

centro-lewą PSL, UD i UP. Można dla pocieszenia wymienić dość licznych ludzi zasłużonych i zasługujących wciąż na szacunek i zaufanie. Ale czytając przedwyborczą rozmowę dziennikarza *Rzeczypospolitej* z Andrzejem Olechowskim, szefem BBWR, który zapewnia że Prezydent Wałęsa jest najwybitniejszym Polakiem od kilku stuleci, a jego nazwisko zaćmi kiedyś na świecie nazwiska Kopernika i Chopina, wolno niestety zastanawiać się czy aby nasza „scena polityczna” nie zmierza wielkimi krokami do przestoczenia się w ośrodek psychopatologii politycznej.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

## KOMUNIKAT

KOMISJA FUNDUSZU STYPENDIALNEGO IM. JANA I SUZANNE BRZEKOWSKICH (siedziba w Bibliotece Polskiej w Paryżu) zawiadamia o stypendiach, które przyznawane będą w r. 1994.

Stypendia przeznaczone są dla osób prowadzących badania w dziedzinie historii Polski, historii literatury polskiej, dla których pobyt w Paryżu jest niezbędny, aby korzystać z tutejszych archiwów i bibliotek, a w szczególności ze zbiorów Biblioteki Polskiej Towarzystwa Historyczno-Literackiego.

Mieszkańcy Paryża i okręgu paryskiego nie mogą być kandydatami do stypendium.

Stypendium wynosi 5.000 Fr.

Fundacja ani Towarzystwo Historyczno-Literackie nie pokrywają kosztów podróży stypendysty, ani nie zapewniają mu mieszkania.

W podaniu o stypendium sprecyzować należy temat pracy oraz podać, z jakich dokumentów oraz publikacji kandydat zamierza korzystać.

Podanie kandydatów mających mały dorobek w postaci publikacji, winny być poparte opinią profesora lub innej osoby będącej uznanym autorytetem w dziedzinie prowadzonych przez kandydata badań.

Do podania dołączyć należy życiorys. Można również załączyć opublikowane przez kandydata prace.

Podanie o stypendium należy wysłać na adres Towarzystwa Historyczno-Literackiego: Société Historique et Littéraire Polonaise, 6, Quai d'Orléans, 75004 Paris, France.

Ostateczny termin: podania powinny nadejść najpóźniej 2 stycznia 1994 r.

Przewodniczący Komisji Funduszu Stypendialnego  
IM. JANA I SUZANNE BRZEKOWSKICH  
Tadeusz DOMAŃSKI

## Panegiryk Karolowi Gustawowi

### ZWYCIĘZCY SARMACJI\*

Wśród znacznych postaci XVII wieku — a wiek ten obfitował w wybitne osobistości — Czech, a właściwie Morawianin, Jan Amos Komenský (1592-1670) znany również pod łacińskim nazwiskiem Comenius i spolszczonym Komeński, zasługuje na szczególną uwagę. Pedagog i autor prekursorskich dzieł, mających światowy zasięg, o nowoczesnych metodach nauczania, filozof, językoznawca, kartograf, pisarz, ostatni biskup czeskich braci czyli tzw. Jednoty Brackiej, Komeński był głęboko zaangażowany w konflikt między czeskimi stanami a Habsburgami. Widział go jako starcie między absolutyzmem i kontrreformacją z jednej a protestantyzmem i parlamentaryzmem z drugiej strony. Innymi słowy jako walkę tyranii z wolnością.

Kłęska poniesiona przez Czechów pod Białą Górą w 1620 roku, której następstwem było narzucenie katolicyzmu i znieszenie ustroju opartego o sejm stanowy zmusiła Komeńskiego do opuszczenia ojczyzny. Znalazł on schronienie w Lesznie, należącym do wojewody bełskiego Rafała Leszczyńskiego jednego z przywódców polskich protestantów. Tam spędził z przerwami dwadzieścia lat oddając się głównie pracy dydaktycznej i podnosząc lokalną szkołę do bardzo wysokiego poziomu.

Tak ze względów religijnych jak też widząc w Szwedach głównego wroga Habsburgów, Komeński opowiedział się po stro-

\* „700 lat myśli polskiej: filozofia i myśl społeczna XVII wieku”, cz. I; wybrał i oprac. Zbigniew Ogonowski (W-wa, PWN, 1979). Podstawa: *Panegyricus Carolo Gustavo, magno Suecorum Vandalorumque Regi, incruento Sarmatiae Victori et quaqua venit liberatori pio, felici, Augusto*, b.m. 1655. Przełożył T. Włodarczyk.

nie Karola Gustawa z chwilą gdy jego wojska wkroczyły do Wielkopolski. Jak wiemy dobrze nie był od odosobniony w tym względzie, a czytając jego Panegiryk trudno określać go jako wroga Polski, odpłacającego się niewdzięcznością za azyl, który w niej otrzymał. Gdy w 1656 r. wojska Czarnieckiego wyparły Szwedów z Leszna, miasto zostało spalone a Komeński stracił dom wraz ze swymi zbiorami i rękopisami. Emigrując raz jeszcze osiedlił się w Holandii, gdzie przeżył resztę swego życia. W historii czeskiej Komeński jest często przedstawiany jako ogniwo w ideowym łańcuchu, który zaczyna się od Husa a jest kontynuowany przez Palackiego i Masaryka.

Koncepcje rozwijane przez Komeńskiego w Panegiryku, zapewne z inspiracji Leszczyńskiego, nasuwają różne refleksje a nawet pewne analogie. Jak wiemy Potop nie wpłynął na rewizję ustroju, którego brak spójności, *liberum veto*, pozycja chłopów i brak mechanizmów obronnych wymagały przynajmniej głębszej refleksji. Ocalenie Polski przypisywano wstawiennictwu Najświętszej Panny i szablonem szlacheckim broniącym złotej wolności. Z udziału chłopów w walce przeciw Szwedom nie wyciągnięto żadnych konsekwencji. Śluby Jana Kazimierza nie przyczyniły się do poprawy ich losu. Słynną dywizję Czarnieckiego wybito w bratobójczej bitwie pod Mławami. Król po nieudanych i niezręcznych próbach reform abdykował. Jak gdyby pokrywając własne przewinienia i kolaborację ze Szwedami — a kolaborował w pewnym momencie nawet późniejszy król Jan III — sejm uznał arian czyli najbardziej „lewicową” z grup protestanckich za głównych winowajców i wygnał ich z kraju. Innym, nawet takiemu Bogusławowi Radziwiłłowi darowano winy. W kontekście tych wydarzeń myśli Komeńskiego zasługują chyba na przypomnienie.

P.W.

Dokąd pędzisz, groźna potęgo Północy? Czy deszcz, czy też grad zwiastujesz? Czy Polska pierwsza uległa twym gromom? Na zgubę swą czy też na zbawienie? Sama rzeczywistość zaczyna o tym mówić, a my zwracamy się do ciebie, wodzu tych północnych nawałnic, Karolu Gustawie! Do ciebie, powtarzam, o którym wyłącznie w ciągu ostatnich trzech miesięcy mówi cała Europa, gdyż staje pełna podziwu i zdumienia wobec twych czynów, których sława lotem błyskawicy ogarnęła świat cały. Dotychczas świat nie znał cię, nie wiedział, kim jesteś, ani do jakich zadań przeznaczony cię losy; te-

raz zarówno przyjaciele, jak i wrogowie zaczynają zdawać sobie sprawę, Ty zaś, który stałeś się grozą dla narodów zaprawionych w wojnie, zacznij być nadzieją dla świata, który się od wojny odwraca. Wolnym nie będziesz mógł rozkazywać inaczej, jak tylko w sposób godny ludzi wolnych. „Wszystko, co tylko jest wymuszone siłą, nie trwa długo; albowiem strach jest złym strażnikiem trwałości”. Dążyć należy do tego, by nas kochano, a nie do tego, aby się nas bano. Owo zaś powiedzenie: „Niech nienawidzą, byleby się bali”, należy pozostawić Neronom, Domicjanom, Karakallom i innym małej miary bożyszczom.

Wprawdzie niektórzy z Polaków stawiają ci opór albo co najmniej niechętnie poddają się twemu berłu: nie znają bowiem twych cnót ani zbawiennych zamiarów. By więc je zrozumieli, staraj się dodawać cnoty do cnót, łaskawością przewyciężając ich niechęć. Powiedział kiedyś Liwiusz: „Barbarzyńcy lub ludzie miernej wartości stają się zwykle groźni, skoro pojawi się swoboda; sprawiedliwi natomiast, szlachetni tak z rodu, jak i z charakteru, zachowują się w tych warunkach spokojnie”. Oba te rodzaje ludzi pokazuje ci Polska: zarówno groźnych i niespokojnych, dusze miernej wartości, podskakujących, by ukąsić, i znowu odskakujących — na podobieństwo psów, jako też sprawiedliwych i łagodnych, krew szlachetną i heroiczną, dotrzymujących wiary i trwale pomny danego przyrzeczenia. Bądź przekonany, że jeśli zajdzie konieczność uśmierzenia tych pierwszych, to w sposób najbezpieczniejszy dokonasz tego opierając się na radach tych drugich. Żeby bowiem jad trucizny, jaka tkwi w ciele zatrutego zwierzęcia, nie zniszczył jego organizmu, najskuteczniej się go neutralizuje własną kojącą mocą tego zwierzęcia. Słyszę wprawdzie głosy niektórych zgorszonych zuchwalstwem tych, co nadużywają twej łagodności: „Polacy, zarówno szlachta jak i plebejusze, mają usposobienie niewolnicze, nie potrafią korzystać właściwie z jakiegokolwiek wolności, nadużywają jej raczej do wszystkiego, co niedozwolone; należy ich zatem traktować bez różnicy jak niewolników, by pozbyli się swej dzikości. Swobód nie należy im pomniejszać, ale je całkowicie im zabrać”. Tu jednak, kimkolwiek jestem, opowiadam się za zdaniem zupełnie przeciwnym, a mianowicie: Ani ty, wspaniałomyślny królu, nie powinienesz, z racji na głupotę innych, wyzywać się cech tobie właściwych, ani też nakazywać, by opuścił Polaków ich wspaniałomyślny duch. Albowiem ani to pierwsze, ani to drugie nie da się zrealizować. Znane jest owo powiedzenie Pyrrusa o Rzymianinie Fa-

brycjusza, naówczas jego wrogu: „Łatwiej słońce zepchnąć z jego orbity, niż Fabrycjusza odwieść od jego prawości”. Ufamy, że również i heroiczną wzniosłość twego usposobienia nie łatwiej jest odwieść od właściwych jej dróg, niż bieguny niebios ruszyć z właściwego im miejsca. Bądź więc nadal sobą i nie próbuj stać się niepodobnym do siebie, a przyrzekam, że wszelkie trudności przewyciężysz łagodnością. Daremnie też oczekiwać, że wszystko to, co w polskiej krwi tchnie szlachetnym duchem, w jednej chwili obróci się w nicość. Siła natury, jeśli się jej zabroni przejawiać w jednym miejscu, gdzie indziej przejawia się o wiele silniej; i więcej uczyni szkody otwierając sobie drogę niedozwoloną. Nie będziesz też przeciw pragnął, by rozkazywać oślom: przystojniej jest ludziom. Lecz człowiek o znieprawionej duszy i wyzuty ze szlachetności czymżeż różni się od dzikiego i małodusznego osła? Sam Bóg, aby nie rozkazywać istotom zniewolonym dał aniołom i ludziom wolną wolę, by dzięki niej jego władanie stało się bardziej szlachetne i wzniosłe. Czyż zresztą zasługiwałyby na miano wielkiego ten, kto by rozkazywał istotom zniewolonym strachem na wzór dzikiego bydła? Nie daj się przekonać, wielki królu! Staraj się naśladować Boga, którego obraz nosisz w sobie, tak by twoje królestwo upodobniło się do królestwa Boga! Zarówno w dobrowolnym świadczeniu ci posłuszeństwa, jak i pełnią twego majestatu! Polacy więc — ludzie hardzi — niech pozostaną Polakami! Niech tylko gwałtowność zostanie usunięta z ich dusz nieujarzmionych, by złagodniejszy w sobie, równą dzielność mogły one przejawiać na zewnątrz, dla poskromienia wrogów zarówno swoich jak i twoich! Chemicy, których tajemnice nie są ci zupełnie nieznane, potrafią swym kunsztem tak obchodzić się z właściwościami minerałów, przejawiającymi nie tylko wielką moc, ale i groźną siłę, iż pozbawiają je cech groźnych i szkodliwych, a mianowicie śmiercionośnej siły szkodenia, nie zmniejszając jednak ich mocy działania, lecz tylko ją oczyszczając i w ten sposób zwiększając. A czyżbyś ty, artysta w manipulowaniu umysłami zarówno ci wrogimi, jak i przyjaznymi, nie potrafił ciepłym płomieniem swej wzniosłej łaskawości tak uszlachetnić ludzkich usposobień, by po wypaleniu i usunięciu żużla polskiego nieokiełznania ostała się sama tylko polska cnota, to jest owo szlachetne poczucie godności nie umiejącej ustąpić przed niczym, co nie jest wznioślejsze? Prawda, niepodobna zaprzeczyć, podupadli co nieco Polacy i oddalili się od dawniejszej powagi swych przodków. Ale przecież jeszcze się jej

nie wyzbyli. Miłość wolności przechowują z największą stałością, gotowi raczej umrzeć, niż dać się jej pozbawić. Jednakże swego rodzaju opieszałość doprowadziła ich do tego, że owej wolności odziedziczonej po przodkach dłużej już omal nie byłiby w stanie bronić bez nadejścia jakiejś pomocy z zewnątrz. Wszelako jeśliby pojawiło się niebezpieczeństwo grożące im z którejkolwiek strony jarzmem niewoli, z pewnością do serc ich, choćby zostali pokonani (a przecież pokonani jeszcze nie są) powróci cnota, która uczyni twoje zwycięstwa wątpliwymi.

Cóż więc pozostaje? Przywrócić im wolności! Ale powiększone przez rozszerzenie ich i ulepszenie. A to w jaki sposób? Przez rozciągnięcie wolności na wszystkich, na wszystko i pod każdym względem. Na wszystkich, to jest nakazując, by wolnymi byli wszyscy i każdy z osobna bez żadnego wyjątku: magnaci królestwa, szlachta niższa, miasta i osiedla, a nawet sam stan wieśniaczy na swój sposób i w odpowiednim stopniu. Niech będą wolni nie tylko niektórzy członkowie tego narodu, ale wszyscy; tak mianowicie, by każdy, od najwyższych do najniższych, bezpiecznie posiadał to, co do niego należy; by żaden niewinny nie obawiał się ucisku (wyrządzonego czy to jawną przemocą, czy też pod osłoną prawa); by każdemu było wolno żyć i umierać na swoim miejscu. Twierdzę dalej, że wolne powinno być wszystko: ciała, umysły, sumienia, tak by nikt nie narzucał drugiemu kajdan pod tym lub owym, lub innym jeszcze względem. Ponad wszystko, by swobodnie mogły się wznosić ręce do nieba, nawet tych, którzy posiadają inne przekonania o Bogu; byleby tylko czcili Boga, a nie bluźnili mu. Zakazana niech będzie tylko bezbożność i (niestety!) rozpowszechniona samowola bluźnienia przeciwko Bogu oraz przywodzenie go do gniewu grzechami. Również pokój i wolność przyznawane być winny pod każdym względem, tj. sprawiając, aby zaistniał pokój prawdziwy i prawdziwa wolność, a nie tylko nazwa, cień, maska, obłudny pozór pokoju i wolności. Stanie się to jedynie wtedy, gdy już nigdy swoboda bezkarnego grzeszenia i prześladowania innych nie będzie nazywana wolnością, ale ohydny nadużyciem wolności, i okiełznana zostanie również ohydny karami, tak by nikt, żywiąc błędne wyobrażenia o wolności, nie sądził, że nie jest zobowiązany do przestrzegania prawa.

Z tym wiąże się również i to, abyś pouczał swych ludzi, że mają budzić szacunek i uznanie dla siebie i dla ciebie, a to w ten sposób, że mają iść za twym przykładem, który po-

kazuje, iż „należy oszczędzać zwyciężonych, a zwalczać pysznych”; i że mają naśladować nie tylko twą skromność i łagodność, ale i energię. Jest to wielką niesławą płamiącą wojско, jeśli żołnierze nieznacznie tylko czynią różnicę pomiędzy przyjaciółmi i wrogami i dewastują prowincje, dla których uwolnienia lub obrony zostali przywiezieni. By nie wspominać o tym, że żądza łupów opóźnia, a czasem wręcz zapraszcza zwycięstwo, a w każdym przypadku z całą pewnością pomniejsza chwałę zwycięzcy. Niech więc twój żołnierz pełni służbę wojskową, a nie dokonują gwałtów! Niech nowi goście nie plugawią Polski nie przywykłej do gwałtów, aby nie można było mówić, że czynisz Polskę gorszą, niż ją otrzymałeś. A ponieważ zauważono, że to nie tyle twoi Szwedzi, ile raczej dołączone oddziały innych narodów zohydzają twe tryumfy niszcząc Polskę nieumiarkowanymi grabieżami, zmusz ich, by walczyć pod wodzą króla Szwedów, naśladowali nie tylko męstwo Szwedów, ale również i ich umiarkowanie. W przeciwnym razie zniszczą karność w twych zastępach (a z ustaniem karności ustana też zwycięstwa) oraz zdeprawują twych ludzi. Ale nie pozwalaj również, królu najłaskawszy, by i owi, których postawisz na czele prowincji w celu utrzymania porządku, byli krwiopijcami, w przeciwnym razie ci, którzy modlą się do Boga za ciebie, już jako za danego im przez niebiosy króla, doprowadzeni nadmiernymi kontrybucjami do granic wytrzymałości i przyparci do muru, będą pragnienia swe, zamiast ku tobie, kierować przeciwko tobie. Spraw, najlepszy królu, błagam cię o to, by wszyscy zrozumieli, że przybyłeś w celu ratowania Polski, a nie jej zniszczenia! Niech zrozumieją to również i ci, którzy kierują twymi sprawami! Jeśli zaś rozumieją, niech jednocześnie pamiętają, że zadaniem dobrego pasterza jest strzyżenie owiec, a nie ich łupienie. A jeśli nie baczą na to oni, to bacz na to ty, któremu jak najbardziej zależy winno, by otrzymać królestwo jak najmniej osłabione i nastawione jak najbardziej przychylnie wobec ciebie. Oby zaczęli cię wszyscy kochać, a nie bać się ciebie lub nienawidzić, albowiem jedynie miłość poddanych może stanowić mocną podporę dla berła królów. „Miłość zaś ogółu — powiedział Cycero — wzbudzona jest najbardziej wieścią o szczerości, dobroczynności, dotrzymywaniu obietnic, sprawiedliwości oraz innych cnotach dotyczących łagodności i przystępności”. Gdy wieści tej zabraknie, odwraca się również miłość. Jest to tak pewne, iż nawet słońca pragniemy tylko dlatego, by udzielało nam swych promieni, i to w celu pokrzepienia nas, a nie palenia.

I tak jak szala wagi ku tej stronie się przechyla, z której otrzymuje więcej, tak również życzliwość ludzka zwraca się w tym kierunku, skąd spodziewają się oni więcej otrzymać. Aby więc życzliwą ci była cała Polska oraz byś mógł rządzić ku powszechnemu zadowoleniu wszystkich, broń jej całej tarczą łaskawości i sprawiedliwości. I staraj się nie tylko o to, abyś oddalał od niej nieszczęścia, ale również i o to, byś pod każdym względem powiększał jej dobra, tak abyś uczynił ją lepszą, niż otrzymałaś. Naśladując Augusta, który „Rzym ceglany przemienił w marmurowy”, daj również i ty, władco, do tego, by z Polski potężnej zrobić potężniejszą, z bogatej bogatszą, ze sławnej bardziej sławną. Zdobyłeś słynną Spartę; niech do sławy twej zaliczy się to, iż wspaniałe ją przyozdobiłeś. Wyniesiony na ów szczyt, nie co innego winienesz czynić, jak, naśladując umieszczone na niebiosach słońce, dbać o korzyści poddanej ci ziemi; byś ją całą oświecał, ogrzewał i wzbogacał. Jedynym zadaniem władcy jest troska o popieranie dobra powszechnego; jeśli poświęcisz się tej świętej sprawie, będziesz prawdziwym obrazem Boga. „Królowie wtedy służą Bogu”, powiedział Augustyn, „jeśli nakazują w swym królestwie rzeczy dobre, a zakazują złych”. Zakaz więc gwałtów, grabieży, kradzieży, zabójstw, rozruchów, rozpusty oraz tego wszystkiego, co niegodziwe, barbarzyńskie, sprzeczne z cnotami, a nakaz ład, pokój, bezpieczeństwo, czyste i szlachetne obyczaje, a reszcie pobożność, a pozyskasz sobie wszystkich. Inni śmiertelnicy przemyślują o tym, co mogłoby przynieść korzyści dla nich; przeznaczenie władców jest inne: wszelkie zamysły (jeśli widzialnie chcą przypominać niewidzialnego Boga) winny się kierować tylko ku dobru państwa, gdyż na tym stanowisku znajdują się nie dla własnego pożytku, ale dla pożytku innych, podobnie jak kapitan statku na okręcie. Nie byłby dobrym żeglarzem ten „kto bardziej starałby się o ocalenie siebie niż okrętu. „Na pożytek dany jest Duch”, powiedział Apostoł. A przecież tobie dano wiele duchów: mądrości i rozumu, rady i męstwa, wiedzy i pobożności, a więc na wszelki pożytek i na pożytek wielu. „Ludzie niczym bardziej nie zbliżają się do Boga, jak dając zbawienie innym” — zauważył Cyncero. [...]

Pragniemy witać cię w pełni majestatu, gdyż chcemy, byś państwo, ugruntowane przez naszych przodków, mógł, umiał i chciał nie pomniejszać, ale powiększać. Stać się to może nie przez utratę prowincji, ale przez odzyskanie utraconych; nie w ten sposób, że się pozwoli na dewastację, ale w ten, że prowincje dewastowane przywróci się do stanu świetności i że

wszystko podniesie się na wyższy poziom. Doskonałą okazję dają tu nie zamieszkałe dotychczas, rozległe okręgi Ukrainy, bogate w żyzną glebę, obfitujące we wszystkie dary natury, nie mniej godne do zakładania w nich kolonii, niż Indie wschodnie czy zachodnie, które zdały się takie Holendrom; a pewniejsze z racji na bezpośrednie sąsiedztwo. Byleby tylko nie zabrakło sposobów do zabezpieczenia się od napadów sąsiadującego barbarzyństwa. Ufamy jednak, że tobie tych sposobów nie zabraknie. [...]

Trzeba też, byś stale był mężny i wielkoduszny, tak by nie było niczego, co mogłoby odciągnąć cię od zbawczych myśli dotyczących pożytku publicznego; jak również, by nic nie mogło złamać twego ducha, jeśliby nie wszystko przebiegało zawsze zgodnie z zamiarami lub gdyby niewdzięcznymi okazali się ci, którym starałeś się przyjść z pomocą. Któż wyświadcza ludziom więcej dobrodziejstw niż Bóg? I któż spotyka się z większą niewdzięcznością? Próżno oczekiwałbyś, najjaśniejszy królu, i w żaden sposób nie osiągniesz tego, byś podobał się wszystkim: zwłaszcza w tym narodzie, gdzie wszyscy mają tak bardzo różne, a wielu wypadkach zniekształcone podniebienia. Wystarczy, iż podobać się będziesz Bogu oraz tym, którzy w swym sercu posiadają Boga i cnotę. Inni z dala tylko postępować będą za tobą, aczkolwiek nie wszyscy wzniosą się do tego wspaniałego, wzniosłego, umiłowanego przez Boga, blasku twej cnoty. [...]

A ponieważ „w postępowaniu królów” (jak powiedział Grzegorz Wielki) „najwyższym dobrem jest pielęgnować sprawiedliwość oraz przestrzegać praw należnych każdemu; i nie pozwalać, by manifestowała się tylko władza, lecz także strzec tego, co sprawiedliwe” — więc i ty, jako najwyższy strażnik sprawiedliwości w tym królestwie, w najwyższym stopniu starać się będziesz o to, aby nigdy żaden niewinny nie został pokrzywdzony, by nikomu nie udzielano tego, co mu się nie należy, by wszystko — obojętnie, czy będzie to coś dobrego, czy też coś złego, działa się nie inaczej, jak tylko zgodnie z zasługami poszczególnych ludzi. Również gdy chodzi o rozdzielanie dóbr i zaszczytów, będziesz powodował się nie czym innym, lecz tylko zasługami, nie kierując się żadną stronniczością. Nie ludziom będziesz przydział urzędy, lecz urzędom — ludzi. Jeśli przywrócony zostanie do życia mądry obyczaj przodków, utwierdzony prawem, będziesz miał w tym królestwie bardzo daleko sięgającą możliwość obdarzania dobrodziejstwami ze środków publicznych; możliwość taką, jakiej nie posiada prawie żaden inny król w Europie.

Powiedział Tacyt, że władca powinien wspomagać pieniędzmi uboższą szlachtę, a to dlatego, by domowe kłopoty nie stały na przeszkodzie ujawnieniu się cnót; i żeby ci, którzy swą dzielnością mogliby oddać ojczyźnie znaczne usługi, nie zawiedli wskutek niedostatku zachęty. Rozważyli to dokładnie ci, którzy kształtowali Rzeczpospolitą Polską, rozdzielając co najmniej szóstą część posiadłości ziemskich królestwa na poszczególne starostwa, przydzielając je i przeznaczając na przydzielenie (wraz z płynącymi z nich dochodami) tym, którzy wedle oceny samych królów jako strażników dobra publicznego — zasłużyli się jak najlepiej Ojczyźnie lub o których sądzono, że się w ten sposób zasłużą. Zaiste, bardzo chwalebnie. Ale chwalebny ten środek mający na celu nagrodami pobudzać obywateli do cnoty przekształcił się, jak i inne, w źródło ohydnych nadużyć. Albowiem nagrody te otrzymali nie ci, którzy na nie zasłużyli, ale ci, którzy je kupili czy to za pieniądze, czy też pochlebstwami. Rzecz stała się powodem nie kończącego się zamieszania, któremu ty, królu, w sposób najmądrzejszy i najsprawiedliwszy możesz położyć kres, jeśli postarasz się o to, by te dobrodziejstwa Rzeczypospolitej rozdzielane były jedynie zgodnie z zasługami; by otrzymywał je nie ten, kto pierwszy po nie przybiegnie, ale najgodniejszy, bez względu na to, czy będzie obecny, czy też nieobecny, czy będzie się o nie ubiegał, czy też będzie się krępował chęć taką objawić. W tym celu byłoby dobrze, abyś, jako najwyższy w twym królestwie sędzia cnót oraz szafarz wszystkich publicznych dóbr i zaszczytów, posiadał sporządzony wykaz publicznych beneficjów, w którym byłoby wymienione zarówno to, co zostało rozdane, jak i to, co ma być rozdane, wraz z listą tych, co żyją z beneficjów Rzeczypospolitej bądź też z beneficjów takich korzystać są godni, a to by tym łatwiej na potem uniknąć popełniania błędów.

Ważnym także niezmiernie zadaniem sprawiedliwości niech będzie to, by przyobiecanych lub może nawet zaprzysiężonych wolności strzec i każdemu je zachowywać, zwłaszcza wolności religijnych. Poprzestań więc na tym, by być królem ludów, i zgódź się, by królem sumień był Chrystus; podobnie jak poprzednicy twoi, Zygmunt August, Stefan i wszyscy, którzy szczęśliwie panowali, zadowoleni z własnego stanu i nie usiłujący wdzierać się na tron Boga. Zauważ (a jest to rzecz, którą trudno nie zauważyć), że Polska, już twoja, nigdy dotąd nie zbroczyła się braterską krwią chrześcijańską, przelewana na skutek waśni religijnych; że nie naśladowała pod tym względem niemądrej gorliwości innych. Prze-

ciwnie, już dawno ustanowiła dla swych obywateli różniących się w sprawach religii wzajemną tolerancję, zabezpieczoną zaprzysiężonym układem. Tego świątobliwego układu i sam przestrzegaj, świątobliwy królu, i innych zmuszaj, by go przestrzegali, i zakaż, by go łamano. [...]

Zaakceptuj dalej także i to, dzięki czemu Polska może witać cię jako swego wybawcę: bądź królem zwiastującym pokój. Znane jest owo powiedzenie: „Dobro państwa oparte jest na prawach”, a także i to drugie: „Wśród walk milczą prawa”, którego prawdziwości doświadcza biedna Polska, trapiąca od tak wielu lat szczękiem broni własnej i wrażeń i na skutek tak licznych gwałtów narażona na całkowite zniszczenie. Ty więc, królu najlepszy, przywróć pokój, by można było Rzeczypospolitej przywrócić zdrowie. Aby zaś mógł być przywrócony pokój, nakaz, by uciął szczeń oręża, a jednocześnie spraw, aby zdruzgotana została broń przeciwstawiająca się twojej potędze. Polska nie chce mieć w tobie Eola, przerzucającego się z jednej wojny do drugiej (biedna, ustawicznie ich doświadcza), ale chce w tobie widzieć słońce rozpraszające chmury i przywracające pogodę jej sprawom. Dość już doświadczyła na sobie gromów zagniewanego Boga, wyracających góry i kruszących skały, wstrząsających ziemię i niszczących ogniem. Z utęsknieniem już wypatruje podmuchów łagodnego wiatru. Niech umilkną pod twym panowaniem, skoro masz być władcą pokoju, huragany i burze tak wewnątrz kraju, jak i na zewnątrz; niech ustaną, skoro masz być rozjemcą sporów i nauczycielem zgody, wzajemne prześladowania i udręczenia czy to z powodu różnic religijnych, czy też z racji na jakiegokolwiek inne różnice. Grzegorz z Nazjanzu powiedział, że lud, choćby nawet na pewien czas powstrzymał swą gwałtowność, to jednak, jak ogień tający się w drewnie lub jak rzeka opanowana siłą, skoro nadarzy się okazja, znowu się rozpłomienia i rozrywa tamy. Aby nie zdarzyło się to z twoim ludem, staraj się, by ogień wzajemnych nienawiści nie tylko został przytłumiony, ale by wygasł całkowicie. Przeto nie wspieraj namiętności, które rozbijają na przeciwstawne sobie grupy lud, ani też nie staraj się okiełznać ich siłą, jak rwącą rzekę, ale roztropnie kieruj je w inną stronę, gdzie nie będą mogły spowodować szkody dla nikogo. [...] Polska życzy sobie również, byś był wspaniałomyślny, szczery, otwarty, a więc posiadał właściwości, które i ją cechują, a nie był skryty, tajemniczy, podstępny — których to cech nienawidzi. Nie dopuszczaj więc do siebie makiawelistów, którzy chcieliby ci wpoić podstępne sposoby ujarznienia

narodu. Wszystko, co trąci podstępnością, ma posmak diabolizmu. [...] Ty więc, dokonując zbawczego dzieła, jakie zapoczątkowałeś z tym narodem, działaj jawnie. [...]

Upadły nie może podnieść upadłego; podobnie i upadłego narodu nie może podnieść nikt, jak tylko władca twardo stojący na nogach, wzniosły, dzielny. Bądź więc, o królu, przekonany, że dopiero wówczas będziesz zarówno wielki i silny, jeśli już teraz usilnie starać się będziesz być prostolinijnym, wzniosłym, dzielnym. Dopiero wtedy potęga twoja nie będzie górskim potokiem, powstającym z nagłych deszczów i wnet zanikającym, ale rzeką wypływającą ze stałych źródeł i płynącą dla dobra narodów tak długo, jak długo zechce tego Bóg. [...]

Po szybkim dokonaniu dzieła zwycięstwa przystąp już, wielki królu, do szczęśliwego realizowania w tym królestwie dzieła powszechnego pokoju. Powtarzam: dzieła powszechnego pokoju, gdzie by działa się dobrze wszystkim, we wszystkim, i pod każdym względem. Oby Polska zaczęła na nowo i wreszcie w całym tego słowa znaczeniu zapominać, czym są rozboje, a zarazem — czym są niezgody, zawiści, podstępne knowania na wzajemną zgubę. Oby wreszcie Polacy pod twoimi rządami, prawdziwy nasz Salomonie, mogli zasiadać (daj to Bóg!), każdy pod własnym krzewem winorośli i pod własnym drzewem figowym, wolni zarówno od strachu przed barbarzyńskimi narodami jak i od barbarzyństwa umysłowego. Podobnie jak doświadczony malarz czerpie rozkosz z faktu namalowania pięknego obrazu, a rolnik, ogrodnik, rzemieślnik cieszą się z dobrego wykonania swych dzieł, tak obyś i ty również czerpał najszlachetniejszą rozkosz z tego, że po doprowadzeniu wszystkich spraw w tym nowym królestwie do zgodności z najlepszymi prawami (starymi lub nowymi) sprawisz, że Rzeczpospolita Polska rozkwitać będzie w sposób najdoskonalszy i znowu zajaśnieje, po niedawnych ciemnościach, w oczach narodów prawdziwym pokojem i prawdziwie złotą wolnością.

Jeśli by zaś przypadkiem losy zechciały, by dzielność twa nie zatrzymała się na granicach samej tylko Polski, i zawezwą cię, pogromco bestii, gdzie indziej — a takie właśnie okazje stwarza zwykle wola przedwiecznej Opatrzności — pójdiesz walczyć dla królestwa Chrystusa Króla, który ciebie ustanowił również jednym ze swych pomocników oraz strażników i obrońców swego królestwa; i nie zabraknie ci odwagi, by wszcząć walkę z tymi, którzy w swej pysze wzbraniają się uznać go swym królem: Tatarów, Turków i innych niewiernych,

gdziekolwiek tylko odważą się podnieść głowę. Dotychczas bowiem nie pokonałeś jeszcze ani wszystkich jego wrogów, ani swoich. Nieporównanie większe jeszcze żniwo pozostało dla twej chwały, jeśli śpiesznie zabierzesz się do uwolnienia nieporównanie większej liczby ludzi gnębionych jarzmem podwójnej tyranii. Miej odwagę śpiesznie zabrać się do dzieła! Miej odwagę spełniać wyroki losów (gdyż w pewnym sensie zostałeś już dopuszczony do ich tajemnic). Miej odwagę przypomnieć nam Karola Wielkiego, odnowiciela imperium rzymskiego, oraz Gustawa Wielkiego<sup>1</sup>, odnowiciela królestwa Gotów! A ponieważ losy zechciały, aby złączył się w tobie te znamienne imiona (Karola i Gustawa), łącz z sobą, wielki królu, wszelkie wielkie rzeczy, jakie się dadzą pomyśleć, skoro losy następują ci tak wielkie sposobności. Z pewnością jest to swego rodzaju omen, że sława twych błyskawicznych zwycięstw dotarła aż na wschód i grozą napełniła Konstantynopol. Miej jednak odwagę zaprowadzić ład najpierw w samym świecie chrześcijańskim! Miej odwagę napominać królów w Europie i pouczać ich swym przykładem, jak kładzie się kres wojnom i jak wszędzie ustanawia się ową najlepszą z rzeczy, które człowiekowi dane było poznać: pokój. Pokój, mówię, który sam jeden jest bardziej cenny niż niezliczone triumfy; pokój, który jest mocen zapewnić pomyślność państwową oraz zrównać obywateli; pokój, którego budowanie jest dziełem pełnym męstwa i najważniejszą z prac; pokój, który jest jedyną i najlepszą zapłatą za skończenie wojny. Ustanów pokój, by nauczyli się go ustanawiać wszyscy. [...]

Do tych publicznych życzeń dodaję moje własne: Oby Bóg, tak jak rozpoczął, tak w dalszym ciągu obdarzał cię bezkrwawymi zwycięstwami; oby sprawił, byś mężnie korzystał z twego szczęścia, byś w sposób umiarkowany rozkoszował się zwycięstwami, byś wykorzystywał je zawsze mądrze do rzeczy wyższych, byś służył jako obrońca uciśnionej wolności narodów i wolności umysłów i obyś w ten sposób był wielkim narzędziem jego chwały, a ozdobą rodzaju ludzkiego.

Jan Amos KOMEŃSKI

1. Gustaw Wielki, odnowiciel królestwa Gotów — oczywiście Gustaw Adolf II.

## Wiersze

### Nieznany wiersz Jerzego Pietrkiewicza

O tym, że istnieje nigdzie nie publikowany wiersz Jerzego Pietrkiewicza dowiedziałem się od Witolda Sirijosa Giry, pisarza litewskiego, syna Liudasa Giry, znanego poety i działacza państwowego litewskiego.

Jerzy Pietrkiewicz był uczestnikiem pierwszej wycieczki literatów polskich na Litwę w dniach 24.VII-1.VIII.1939 roku. Wycieczkę zorganizował Związek Zawodowy Literatów Polskich w Warszawie, a w Kownie byli oni gośćmi Stowarzyszenia Pisarzy Litewskich. Na Litwę w ramach tej wycieczki wyjechali Adrian Czerwiński, Stanisław Ryszard Dobrowolski, Halina Maria Dobrowolska, Józef Aleksander Gałuszka, Edyta Gałuszkowa, Ferdynand Goetel, Konrad Górski, Karol Irzykowski, Antoni Kawczyński, Walentyna Kawczyńska, Elżbieta Kiewnarska, Franciszek Jalu Kurek, Leopold Lewin, Aleksander Maliszewski, Józef Maśliński, Władysław Mergel, Jan Nepomucen Miller, Zygmunt Nowakowski, Stella Olgierd, Stanisław Piasecki, *Jerzy Pietrkiewicz*, Kazimierz Pluciński, Stefania Podhorska-Okołów, Stanisław Rembek, Maria Morozowicz-Szczepkowska, Melchior Wańkowicz, Zofia Wańkowiczowa, Stanisław Wasylewski, Wiesław Wahnout, Wanda Wahnoutowa, Julian Wołoszynowski, Leonard Życki-Małachowski.

Zgodnie z programem wycieczki w dniu 25 lipca, we wtorek, goście mieli zorganizowaną przejażdżkę po Niemnie do Kołotuwy (Kalautuva), Wielony (Veluona), Raudonian (Raudone) i Gielgudziszek (Gelgaudiškis). Podczas tej przejażdżki Jerzy Pietrkiewicz napisał wiersz „Do Litwy”:

*Przez kroplę mojej litewskiej krwi  
na Niemen patrzę — i Niemen drży!  
Brzegi osłabły w słońcu, choć zieleń  
szarpie obłoki coraz to śmielej.  
Ten wiatr jak gdyby z kart poematu  
rutę przesiewa przez wonie kwiatów:  
— Rośnij że, rośnij — ruto wysoko! —  
Do Litwy słowo, ten tklivy pokłon  
zostanie tutaj, zastygnie w fale,  
gdy wiosna przyjdzie — brzegi zapali,  
rutą przeleci ogień skrzydlaty,  
jasne dziewczyny wyrwie z bławatów,  
skusi i w Niemnie serce napoi —  
aż księżyc wyjdzie z wodnych podwoi,  
z szumu zbuduje jasną świątynię  
— i w kruchcie kłątwa spróchniała zginie,  
i kadzidlane na dłoniach ruty  
uplotą słodkie słowa pokuty.  
Wiatr jagielloński woła i drży  
przez kroplę mojej litewskiej krwi!*

27 lipca, we czwartek, podczas obiadu w „Metropolu”, zorganizowanego przez Polskie Towarzystwo Kulturalne „Pochodnia”, Jerzy Pietrkiewicz wiersz „Do Litwy” wpisał do albumu pani Girowej. Pod utworem zanotował: „Pisane na Niemnie. 25.VII.39”. I niżej: „Na pamiątkę kochanej Litwy. Także kochanym Państwem Girom”.

Album pani Girowej po jej śmierci złożono do Muzeum Maironisa w Kownie. O albumie i wierszu Pietrkiewicza powiedział mi p. Witold Sirijos Gira podczas naszej rozmowy o tej pierwszej wycieczce pisarzy polskich na Litwę. Pojechałem później do Kowna i dzięki uprzejmości dyrektor-ki Muzeum Maironisa p. Aldony Ruseckaite otrzymałem kserokopię tego wiersza.

*Mieczysław JACKIEWICZ*



Joanna KUROWSKA-MŁYNARCZYK

## POMYŁKA

Pomyłko jakżebyś śmiała  
 przemówić do ciebie wprost  
 gdy występujesz w purpurze  
 i kroczysz z wielowiekową godnością  
 Ręce twoje białe pachnące mydłem  
 mówiąc używasz słów tajemnych  
 zaczerpniętych z Summa Theologiae  
 i Rzymskiego Mszału  
 Wieczorem układasz na krześle  
 stułę albę sutannę  
 wieszasz na wieszaku biret  
 i siwe włosy zaczesane do góry  
 odkładasz na nocną szafkę  
 ręce pachnące mydłem  
 nagle masz postać  
 małego mokrego ptaka  
 drżącego ze strachu.

Joanna KUROWSKA-MŁYNARCZYK

Polnische Buchhandlung  
**KSIĘGARNIA POLSKA**  
 Burggasse 22, A-1070 Wien, Austria  
 Dojazd: 13A, 48A, 49, metro U2 i U3 stacja Volkstheater  
 Tel. i fax: (1) 52 63 114  
 Konta pocztowe  
 Frankfurt/M. 300340 605, Wien 7227.556  
 Książki w języku polskim, polonica w językach obcych.  
 Bezpłatne katalogi na żądanie

Archiwum polityczne**Azja Środkowa i Zakaukazie**ZAGROŻENIA ORAZ RYWALIZACJA POMIĘDZY  
TRADYCYJNYMI I NOWYMI UCZESTNIKAMI  
WIELKIEJ GRY O WPLYWY

Tak szybki i niespodziewany upadek ZSSR zaskoczył cały świat. Nie przewidzieli go politycy ani sowietolodzy. O ile jednak Rosja i europejskie republiki ZSSR były mniej lub bardziej przygotowane na niepodległość, podobnie zresztą jak Zakaukazie<sup>1</sup>, to dla pięciu republik Azji Środkowej suwerenność i niepodległość okazały się darem tyleż nieoczekiwanym, co kłopotliwym. Ogłoszenie niepodległości przez władze republik Azji Środkowej — wedle relacji naocznych świadków

1. Wśród republik Zakaukazia istniały tradycje niepodległości sięgające nie tylko odległej przeszłości, ale i czasów rewolucji 1917 r. Traktat z Sevres (sierpień 1920 r.) uznawał Armenię za wolne i niepodległe państwo. Niepodległość tę, zdobytą w 1918 r. Armenia utraciła 29.XI.1920 (ustanowienie Sowieckiej Republiki Armenii). Ponownie Armenia ogłosiła swoją niepodległość i przyjęła oficjalną nazwę Republika Armenii 23.VIII.1990 r.

Niepodległa Republika Azerbejdżanu została proklamowana w maju 1918 r. i trwała do 28.IV.1920 r. Azerbejdżan ponownie zadeklarował suwerenność 23.IX.1989 r. i niepodległość 30.VIII.1991. Oficjalna nazwa Republika Azerbejdżanu została przyjęta 5.II.1991.

Niepodległe państwo gruzińskie powstało 26.V.1918 i zostało uznane nawet przez Rosję sowiecką w maju 1920 r. Tym niemniej wojska sowieckie wkroczyły do Gruzji na początku 1921 r.; 25.II.1921 w miejsce niepodległego państwa została proklamowana Sowiecka Republika Socjalistyczna. Gruzja zadeklarowała swoją suwerenność 9.III.1990 r. i niepodległość 9.IV.1991 r. Oficjalna nazwa Republika Gruzji została przyjęta 14.XI.1990 r.

Jeśli chodzi o Azję Środkową, to jedynie Kazachom udało się

— nie wywołało fali radości i entuzjazmu mieszkańców. Ulice wyglądały tak samo jak zwykle. Bierny tłum przyjął tę niezwykłą decyzję władz z taką samą obojętnością jak każde inne odgórne zalecenie. Dla rdzennych mieszkańców Azji Środkowej, poza nieliczną opozycyjną elitą intelektualną, słowo niepodległość i wolność brzmiało abstrakcyjnie i niezrozumiale. Tę postawę tłumaczy nie tylko brak przygotowania psychologicznego, ale przede wszystkim specyficzna struktura społeczeństwa muzułmańskiego, miejsce w niej władzy oraz lojalność. Ponad tożsamością narodową i przywiązaniem do niej — zjawiskiem tutaj stosunkowo nowym — obowiązuje lojalność wobec rodu i klanu. Czynnikiem spajającym poszczególne rody i klany jest wspólna religia. Komunizm był tutaj zawsze zjawiskiem powierzchownym, pod którym toczyło się tradycyjne życie z zachowaniem obyczajów i religii muzułmańskiej. Również dla miejscowych władz komunistycznych oficjalna ideologia stanowiła jedynie parawan dla kontynuowania tradycyjnych struktur klanowych. Gdy religia została zakazana, a meczety zburzone bądź przekształcone na inne cele użyteczności publicznej, np. kawiarnie, magazyny itd., miejscowa ludność muzułmańska ugięła się jak

ustanowił w 1918 r. rząd autonomiczny, który przetrwał do 1920 r. Kazachstan zadeklarował ponownie swoją suwerenność 25.X.1990 r. a niepodległość 16.XII.1991 r. Oficjalna nazwa Republika Kazachstanu została przyjęta 10.XII.1991 r. Suwerenność pozostałych narodów Azji Środkowej sięga czasów znacznie odleglejszych. Władza sowiecka najwcześniej ustanowiona została na obszarze współczesnego Uzbekistanu, w listopadzie 1917 r. W kwietniu 1918 powstała tu Turkiestańska Autonomiczna Republika Socjalistyczna, do której dołączył obecny Kirgizystan (wcześniej, część Chanatu Kokandu, od 1876 należąca do Rosji) i płn. Tadżykistan (zaanektowany przez Rosję w 1868 r.). Pd. część Tadżykistanu wchodziła w skład Chanatu Buchary, który w 1920 r. przekształcił się w Ludową Republikę Buchary.

Uzbekistan zadeklarował suwerenność 20.VI.1990 r., a niepodległość 31.VIII.1991 r. Oficjalna nazwa Republika Uzbekistanu przyjęta została 1.IX.1991 r.

Kirgizystan zadeklarował suwerenność 15.XII.1990 r., a niepodległość 31.VIII.1991 r.

Tadżykistan zadeklarował suwerenność 24.VIII.1990 r., a niepodległość 9.IX.1991 r. Oficjalna nazwa Republika Tadżykistanu została przyjęta 31.VIII.1991 r.

Co się tyczy Turkmenistanu, który wszedł w skład Rosji w 1881 r., to Armia Czerwona uzyskała kontrolę nad Aszchabadem w 1920 r. Jednak opór Turkmenów trwał aż do 1936 r. Turkmenistan zadeklarował swoją suwerenność 22.VIII.1990 r., a niepodległość i nową oficjalną nazwę państwa 27.X.1991 r.

zwykle pod jeszcze jednym despotycznym zarządzeniem nowych władz, ale nie zaprzestała praktyk religijnych. Z braku meczetów i miejsc modlitw gromadziła się w domach prywatnych bądź też — gdy nie było niepożądanych świadków — w kawiarniach (zwłaszcza w byłych meczetach), gdzie modliła się pod wszechobecnymi portretami klasyków marksizmu-leninizmu. Stąd, wraz z *piestrojką* i zwiększeniem swobód obywatelskich nastąpiła prawdziwa eksplozja uczuć religijnych, manifestujących się m.in. w tysiącach odbudowywanych i budowanych od podstaw miejscach modlitw i meczetów.

We wszystkich republikach Azji Środkowej, poza Kirgizystanem, władzę sprawują byli komuniści — przedstawiciele określonych klanów. Walka o władzę w nowych republikach przebiega głównie na poziomie klanów i rodów, na który dopiero nakłada się walka ideologiczna, tzn. walka opozycji demokratyczno-muzułmańskiej z komunistami i ich zwolennikami. Tak więc źródłem konfliktu w Tadżykistanie jest przede wszystkim rywalizacja pomiędzy klanami — uprzywilejowanym: chodżenckim (w zamożnej północnej części kraju zamieszkaną głównie przez Uzbeków) sprawującym władzę od 70 lat, a ubogimi klanami z południa kraju (góry Pamir). Obecne władze komunistyczne popierane są nie tylko przez określone rody, klany, ale również przez oficjalny kler muzułmański. Podobne zjawisko występuje w innych nowych państwach Azji Środkowej. W opozycji do nich znajdują się niewielkie liczebnie ugrupowania demokratyczne, które w poszukiwaniu sojuszników zjednoczyły się z ugrupowaniami muzułmańskimi.

Zjawiskiem wywołującym lęk na świecie jest fundamentalizm muzułmański w wydaniu irańskim bądź saudyjskim, który może pojawić się w Azji Środkowej jako alternatywa komunizmu. Mając na względzie realia w tym regionie jest to lęk raczej nieuzasadniony. Odrodzenie religijne — po 70-letnim ucisku — odbywa się tu w sposób równie naturalny, jak w Rosji. Wobec ogólnego kryzysu wartości, załamania się dotychczasowych struktur oficjalnych islam wypełnia pustkę, stanowi swoisty azyl, miejsce schronienia rdzennej ludności w sprawdzonym, stabilnym systemie wartości. Do tych wartości odwołują się przywódcy partii demokratycznych w Azji Środkowej. Odrodzenie tożsamości narodowej widzą oni w powrocie religii muzułmańskiej i jej podstawowych wartości. Ich zdaniem, jednak, ten powrót nie oznacza wcale bezgranicznego pogrążenia się w religii. Stanowić on ma jedynie część

procesu odradzania się tożsamości narodowej<sup>2</sup>. Budowanie nowej państwowości, stanowiące obecnie kontynuację ewolucji przerwanej przez rewolucję bolszewicką, winno odbywać się — zdaniem demokratów — z uwzględnieniem miejscowych uwarunkowań tzn. ma łączyć „najlepsze” wartości islamu z uniwersalnymi wartościami demokracji zachodniej, np. poszanowaniem praw jednostki. Powrót do islamu odbywa się różnie w poszczególnych krajach Azji Środkowej. Tradycyjnie jest on najslabszy w koczowniczych kulturach Kazachstanu i Kirgizystanu. Można się jednak spodziewać, że wszystkie partie opozycyjne, w niepodległych obecnie krajach Azji Środkowej zaczną sięgać coraz częściej po islam jako narzędzie walki z utrzymującą się władzą komunistyczną. Ta zaś, oskarżana o zaniechanie interesów rdzennej ludności w obawie o utratę władzy zmuszona zostanie do przejścia ich nacjonalistycznych haseł w stopniu znacznie większym niż obecnie. Proces ten spowoduje z pewnością zwiększenie napięcia etnicznych. To one stanowią obecnie największe zagrożenie stabilności w tym regionie. Jego przywódcy w pełni zdają sobie sprawę z tego faktu. Toteż dokładają starań aby utrzymać względnie poprawne stosunki interetniczne.

Pojawienie się radykalnego islamu w Azji Środkowej jest mało prawdopodobne. Odrzucają go zarówno komunistyczni przywódcy<sup>3</sup> jak i opozycja demokratyczno-religijna. Znane są np. oświadczenia cieszącego się ogromnym autorytetem wśród społeczeństwa a nie uznawanego przez władze świeckie, przywódcy duchownego Tadżykistanu, Kazikołona Turadzonzodego. Odrzucił on ideę państwa religijnego. Tadżykistan, wedle niego, powinien być państwem laickim, w którym każda religia znajdzie miejsce dla siebie, a jej wyznawcy wolność. Nie można jednak całkowicie wykluczyć fundamentalizmu muzułmańskiego. Może się on pojawić (choć z pewnością w innej postaci, aniżeli w Iranie), w przypadku np. dojścia do bezpośredniej konfrontacji z Rosją, na zasadzie — co może zabrzmieć anachronicznie na progu XXI wieku, lecz jest prawdopodobne — wojny religijnej „chrześcijańsko-muzuł-

2. Poglądy opozycji demokratycznej w krajach Azji Środkowej są mi znane m.in. z rozmów przeprowadzonych podczas pobytu w Azji Środkowej na przełomie 1989/1990 r. oraz w 1991 r.

3. Pomimo coraz ściślejszej współpracy z Iranem i Arabią Saudyjską, np. Turkmenistanu wraz z jego komunistycznym przywódcą Nijazowem, uprawiającym kult jednostki. Nijazow stwierdził publicznie, że pragnie czerpać również z doświadczeń Iranu w dziedzinie budowy niepodległego państwa.

mańskiej”, gdy Zachód wraz z Rosją będą systematycznie odpychały od siebie te kraje — jako kategorię obcą, muzułmańską, niższą. Taka postawa Europy z pewnością wpłynie na radykalizację nastrojów religijnych.

Pojawienie się fundamentalizmu muzułmańskiego jest również możliwe w przypadku osiągnięcia przez poszczególne kraje dna kryzysu gospodarczego, objawiającego się np. masowym głodem przy utrzymującej się wciąż autorytarnej władzy byłych komunistów, nieusankcjonowanej przez islam nieoficjalny. Można ponadto przypuścić, że z czasem nastąpi jeszcze większe wzmocnienie więzi lokalnych — niezalegalizowanych do tej pory — partii religijnych<sup>4</sup> z ruchami muzułmańskimi za granicą. Ten fakt, jak również możliwość wystąpienia wspomnianej wyżej klęski głodu przy zachowaniu dotychczasowej struktury władzy, może spowodować ogromne zagrożenie stabilności w całym regionie. Obecnie można temu jeszcze zapobiec. Państwa Azji Środkowej znajdują się w okresie przejściowym, w fazie poszukiwania właściwego modelu rozwoju. Bogate państwa Zachodu winny dołożyć wszelkich starań dla propagowania modelu tureckiego i wspierania Turcji w jej dążeniu do przewodniej roli w regionie. Mimo wcześniejszych deklaracji, składanych przez przywódców środkowoazjatyckich o preferowaniu wzoru tureckiego, pojawiły się inne możliwe drogi rozwoju. Prezydent Uzbekistanu np. zadeklarował chęć powtórzenia modelu chińskiego lub indonezyjskiego. Praktyka stosowana przez przywódców, zwłaszcza Turkmenistanu i Uzbekistanu, świadczy wyraźnie o ich niechęci do systemu wielopartyjnego i demokracji. Demokracja — ich zdaniem — sprzyja pogłębianiu chaosu, który może zaprzepaścić szansę niepodległości. Nie należy zapominać, że partia komunistyczna wraz z całą dawną strukturą utrzymała się u władzy we wszystkich republikach, poza Kirgizystanem, pod zmienioną nazwą i zmienionymi hasłami (z marksistowsko-leninowskich na umiarkowanie nacjonalistyczne).

Potencjalnie największe zagrożenie stabilności w regionie, a zwłaszcza w Kazachstanie stanowi ogromna mniejszość rosyjska. W państwie tym rdzenna ludność stanowi zaledwie 41 %, a

4. Władze postkomunistyczne nie zgodziły się na rejestrację partii religijnych w żadnym z państw Azji Środkowej. Największą siłą nielegalnego islamu w tych państwach stanowi brak powiązań ze strukturami władzy komunistycznej. Najslabszym punktem islamu oficjalnego, sponsorowanego przez państwo, jest fakt współpracy z komunistami.

przy tym w znacznym stopniu zrusyfikowana<sup>5</sup>. Świadomość tych faktów, jak również silne poczucie krzywdy dziejowej, trwającej dziesiątki lat kolonizacji rosyjskiej — o sile niespotykanej nigdzie na świecie, utrata 1/3 narodu podczas sztucznie wywołanego głodu w 1933 r., wzmagają ostrą krytykę działalności prezydenta Nazarabajewa przez opozycję. Jest on oskarżany o zaniedbywanie interesów narodowych, niekiedy wręcz o zaprzędawanie Kazachstanu zagranicą (chodzi o zobowiązania prezydenta w USA odnośnie posiadanej broni nuklearnej). O zaniedbywanie, pomijanie interesów narodowych oskarżani są również pozostali przywódcy Azji Środkowej. Kirgizi, Kazachowie i in. przez dziesięciolecia spychani do roli niewolników, obecnie — po odzyskaniu niepodległości — pragną wynagrodzenia krzywd. Polegać ma to — w ich mniemaniu — na przyznaniu im przywilejów i preferencji względem innych narodowości, np. przy zakupie bądź dzierżawie ziemi. Te tendencje prawdopodobnie będą narastały powodując wprost proporcjonalną wrogą reakcję ludności słowiańskiej. Do niej mogą przyłączyć inne mniejszości narodowe, bowiem w miarę pogarszania się sytuacji ekonomicznej w krajach Azji Środkowej coraz bardziej widoczne stają się symptomy niechęci wobec wszystkich przybyszów. W tej sytuacji np. ludność Ust Kamieniogorska obawiając się narastającego nacjonalizmu Kazachów, zagroziła utworzeniem niezależnego okręgu administracyjnego. Ewentualna dyskryminacja ludności rosyjskiej w Kazachstanie najprawdopodobniej doprowadzi do ostrej reakcji rodaków w Rosji i nacisków na parlament rosyjski w celu zabezpieczenia interesów Rosjan w Kazachstanie. Przypomnijmy nie tak dawne zaostrenie stosunków rosyjsko-kazachskich w związku z wypowiedziami Jelcyna o weryfikacji granicy rosyjsko-kazachskiej. Zagrożenie zbrojnym konfliktem rosyjsko-kazachskim na tle etnicznym, terytorialnym i gospodarczym jest całkowicie realne. Element gospodarczy w tym ewentualnym konflikcie związany jest z kontrolą zasobów mineralnych i ropą naftową Kazachstanu. Miały one ogromne znaczenie dla ZSSR, a obecnie mają dla Rosji, Kazachowie z pewnością będą chcieli zatrzymać zyski z ogromnych rezerw ropy naftowej wyłącznie dla siebie. Ta sytuacja może doprowadzić do zwiększenia napięć w stosunkach rosyjsko-kazachskich.

Dalsze pogłębianie się procesu podziałów etnicznych mo-

5. 40% Kazachów nie zna języka ojczystego. Ostatnio jednak jest tu b. wielka poprawa.

że doprowadzić do zmian granic, np. oderwania północnego Tadżykistanu i przyłączenia go do Uzbekistanu. Z drugiej strony północny Afganistan może przyłączyć się do swoich północnych sąsiadów. Rozpad Afganistanu może natomiast sprowokować walki etniczne na zachodnich rubieżach Chin, zamieszkałych przez muzułmańską ludność turańską, oraz w Pakistanie i Iranie.

Nie należy zapominać również o tym, że nowe państwa środkowoazjatyckie mogą wpłynąć decydująco na zachwianie równowagi sił w tradycyjnej rywalizacji rosyjsko-chińskiej.

Wymienionym zagrożeniom mogą pozytywnie przeciwdziałać: udział państw Azji Środkowej w organizacjach międzynarodowych oraz idee integracyjne w regionie. Wszystkie państwa Azji Środkowej — poza Kazachstanem — oraz Azerbejdżan zostały przyjęte w lutym 1992 r. do Organizacji Współpracy Gospodarczej, założonej w 1985 r. przez Turcję, Iran i Pakistan. Jednakże uczestnictwo w nich nie przyniosło spodziewanych efektów. Być może przyniesie je udział w takich międzynarodowych organizacjach finansowych jak Międzynarodowy Fundusz Walutowy, Bank Światowy oraz banki rozwoju, europejski i azjatycki.

Wszystkie państwa Azji Środkowej i Zakaukazia są członkami ONZ i KBWE.

Otwieraniu się na Europę w poszukiwaniu głównie pomocy gospodarczej, towarzyszą równocześnie inicjatywy regionalne, umacnianie stosunków bilateralnych, idee integracyjne. Najstarszą z nich jest niewątpliwie idea połączenia wszystkich narodów turkofońskich b. ZSSR w jeden organizm państwowy — Turkiestan. Idea ta nawiązuje w jakiś sposób do Turkiestańskiej Autonomicznej Republiki Socjalistycznej. Wyszła ona z kręgów opozycji uzbeckiej na długo przed rozpadem ZSSR i miała — między innymi — zapobiegać konfliktom etnicznym, będącym skutkiem sztucznego wytyczenia granic przez władze komunistyczne. Idea Turkiestanu nie znalazła jednak poparcia innych państw turkofońskich. Obawiały się one dominacji uzbeckiej.

Propozycja utworzenia WNP — w miejsce ZSSR — znalazła najgorliwszego zwolennika w osobie N. Nazarabajewa oraz innych prezydentów w regionie, obawiających się przede wszystkim ekonomicznych konsekwencji rozpadu ZSSR (zerwanie tradycyjnych więzi kooperacyjnych). Lokalna opozycja zawsze jednak przeciwna była idei odrodzenia jakiegokolwiek związku przypominającego ZSSR. Pierwszy oderwał się od WNP Azerbejdżan. Wprawdzie jego prezydent, Mutalibow zgło-

sił akces Azerbejdżanu do Wspólnoty, ale parlament azerski nigdy go nie ratyfikował. Obecne władze azerbejdżańskie, z nowym prezydentem Elczibejem<sup>6</sup> odnoszą się do idei WNP zdecydowanie negatywnie.

Podczas ostatniego szczytu w Mińsku, 22.I.br., gdy doszło do podpisywania statutu WNP, wycofał się Turkmenistan.

Prezydent Nazarbajew zniechęcony brakiem korzyści wynikających z uczestnictwa w WNP coraz wyraźniej zaczyna poszukiwać innych rozwiązań integracyjnych dla Kazachstanu. Coraz częściej spogląda ku Azji. Tuż przed szczytem w Mińsku, 3 i 4.I.br. odbyło się w Taszkencie spotkanie szefów państw Azji Środkowej, którzy zdecydowali o powołaniu Wspólnoty Państw Azji Środkowej. Za wcześniej na to by wyrokować o trwałości nowej Wspólnoty. Jednakże ogromny potencjał surowcowy w Turkmenistanie, Uzbekistanie i Kazachstanie przy pomocy z zewnątrz (nowoczesna technologia, kredyty, zagraniczne inwestycje) stanowiąc mogą gwarancję trwałości tego związku.

Obok tej propozycji integracyjnej pojawiła się perspektywa jeszcze jednego nowego związku. Z inicjatywy Kazachstanu, pod przewodnictwem A. Wolskiego doszło do spotkania producentów ropy w Tiumeniu. W najbliższym czasie może dojść do następnego spotkania na szczycie ministrów przemysłu naftowego. Zamierzeniem Nazarbajewa jest stworzenie organizacji eksporterów ropy naftowej, na wzór OPEC. Do tego potrzebna jest jednak akceptacja Uzbekistanu, Turkmenistanu oraz regionów Rosji wydobywających ropę naftową<sup>7</sup>.

Celem niniejszego artykułu było pokazanie możliwych zagrożeń w Azji Środkowej po rozpadzie ZSSR. Jak wynika z powyższego, krystalizowaniu tożsamości narodowej i kulturowej nowych państw, kształtowaniu się nowych układów sojusznicznych, poszukiwaniu priorytetów narodowych oraz własnego miejsca w radykalnie zmienionym środowisku geograficznym i

6. Ostatnio doszło do przewrotu. Do Baku wrócił z Nachiczewania Gajdar Alijew.

7. Uzupełnienie do powyższej informacji może stanowić fakt, iż sekretarz generalny OPEC Subroto i prezydent Kazachstanu N. Nazarbajew rozmawiali na Światowym Forum Gospodarczym w Davos, o możliwości przyznania republice statusu obserwatora w OPEC i o zwiększeniu wydobycia ropy w Kazachstanie.

„OPEC pragnie nawiązać współpracę z producentami ropy naftowej na obszarze b. ZSSR w celu wspólnego kontrolowania wydobycia” — oświadczył 1 lutego w Davos Subroto. (PAP, 1993.02.01.).

politycznym towarzyszyć będzie dłuższy okres destabilizacji, wstrząsów oraz zmienna polityka wewnętrzna i zagraniczna.

Najważniejszą kwestią obecnie pozostaje charakter przyszłych państw. Nikt nie jest w stanie przewidzieć czy dotychczasowy system totalitarny zostanie zastąpiony przez system wielopartyjny, demokrację zbliżoną do zachodniej, czy też przez zupełnie nowe, trudne do przewidzenia układy. Do najważniejszych nowych partnerów państw Azji Środkowej zaliczają się: Turcja, Iran, Afganistan, Pakistan, Arabia Saudyjska i Chiny. Państwa te będą miały spory wpływ na rozwój wypadków w Azji Środkowej. Najbardziej konstruktywna rola do odegrania w tym regionie przypada Turcji. Stanowi ona idealny model państwa laickiego, demokratycznego i stabilnego (pominąwszy problem kurdyjski) realizującego z powodzeniem program gospodarki rynkowej.

Tymczasem odnotowuje się nasilone kontakty Iranu z Turkmenistanem, Azerbejdżanem, Uzbekistanem, Tadżykistanem, ponadto z Gruzją i Rosją. Mimo dążeń Zachodu do blokowania wpływów Iranu w tym regionie, coraz wyraźniej widać, że postsowieckie republiki coraz częściej spoglądają ku Iranowi w nadziei napływu petrodolarów. Arabskie kraje Zatoki Perskiej obawiają się Iranu uzbrojonego w broń sowiecką, zwłaszcza że w nowym układzie geopolitycznym zniknął jego dawny przeciwnik z północy. Priorytety irańskie w polityce zagranicznej są oczywiste: osiągnięcie dominującej pozycji w Azji Środkowej i pokazanie krajom Zatoki Perskiej, że bez Iranu nie może być mowy o bezpieczeństwie w regionie. Niewykluczone, że droga do tego celu będzie wiodła przez Gruzję — klucz do pozostałych państw. Wskazywać na to mogłaby wizyta E. Szewardnadze w Teheranie 19 i 20.I.br., której irańskie *mass media* poświęciły szczególną uwagę, określając ją jako najważniejszą wizytę głowy państwa w Iranie od kilku lat. Podpisano 15 umów.

Niektórzy powiadają, że w przeciwieństwie do Turcji, Iran zdobywa pozycję w regionie stopniowo, i bez rozgłosu. Oferuje swoim nowym partnerom nie tylko znaczną pomoc finansową, lecz również dostęp do Zatoki Perskiej, nowe szlaki komunikacyjne oraz rozwiniętą technologię.

Obiecujące propozycje współpracy złożyła Turkmenistanowi i Kirgizystanowi Arabia Saudyjska. Do tej pory jednak pomoc saudyjska sprowadza się do wspierania instytucji religijnych.

Afganistan i Pakistan są również aktywne w walce o wpływy w regionie. Pakistan skoncentrował się na współpracy

gospodarczej, oferując m.in. wyjście na Ocean Indyjski przez port Karaczi, gdy tymczasem przywódcy Afganistanu dążą do umocnienia więzi politycznych z sąsiednim Uzbekistanem i Tadżykistanem.

Kontakty Zjednoczonych Emiratów Arabskich i kilku innych państw świata muzułmańskiego po zbadaniu możliwości współpracy gospodarczej z krajami Azji Środkowej są ograniczone.

Obok krajów muzułmańskich dużą aktywność w oferowaniu pomocy nowo powstałym państwom wykazuje Izrael, dla którego priorytetowe znaczenie w Azji Środkowej ma Uzbekistan ze względu na liczną wspólnotę żydowską w Bucharze i innych miastach. Izrael zaproponował Uzbekistanowi unowocześnienie systemu irygacyjnego.

Chiny, potencjalny model rozwoju dla Uzbekistanu i Turkmenistanu są dla Azji Środkowej przede wszystkim dostawcą tanich towarów konsumpcyjnych. Trwa ożywiona wymiana towarowa głównie z Kazachstanem.

Upadek ZSSR i wyłonienie się niepodległych państw Azji Środkowej i Zakaukazia najwięcej szans stworzyło jednak Turcji, otwierając przed nią nowe horyzonty w polityce zagranicznej. Azerbejdżan, Turkmenistan, Kazachstan, Uzbekistan i Kirgizystan łączy z Turcją nie tylko język i religia, ale również wspólna tradycja. Turcja w swojej walce o wpływy zaoferowała pomoc w zmodernizowaniu systemu telekomunikacyjnego w Azji Środkowej i rozbudowę sieci transportu. Rozpoczęła nadawanie specjalnych programów telewizyjnych do „bratnich krajów”, przyznała stypendia na naukę w Turcji, zaoferowała pomoc przy przechodzeniu na alfabet łaciński. Znaczny jest również udział biznesu tureckiego w przedsiębiorstwach azerskich i środkowoazjatyckich (nafta). Największe wpływy posiada Turcja w Azerbejdżanie.

Przywódcy Azji Środkowej twierdzą jednak, że pomoc oferowana im zarówno przez Turcję jak i Iran — dwóch głównych rywali w regionie — jest niewystarczająca. Toteż próbują zdać się na siebie samych i poszukują innych rozwiązań, w formie wymienionych wcześniej nowych konfiguracji ekonomicznych i politycznych. Prawdopodobnie najbliższe pięć lat pokaże które państwo zwycięży w walce o wpływy w regionie. Niewykluczone jednak, że życie okaże więcej wyobraźni aniżeli ludzie zajmujący się profesjonalnie polityką i powstanie nowy układ, którego nikt nie był w stanie przewidzieć.

*Irena TATARZYŃSKA*

## Konferencja w Lille

Polska, Litwa, Białoruś i Ukraina wciąż jeszcze zaliczane są nad Sekwaną do Europy Wschodniej, z akcentem raczej na Wschód niż na Europę. Choćby dlatego za szczególnie ważną trzeba uznać wspólną inicjatywę grupy historyków z Uniwersytetu Charles de Gaulle'a, Lille 3 oraz Instytutu Europy Środkowo-Wschodniej w Lublinie zorganizowania kolokwium poświęconego wizerunkowi Europy Środkowo-Wschodniej w myśli i historiografii europejskiej od XVIII wieku aż po czasy nam współczesne. Odbyło się ono w Villeneuve d'Ascq koło Lille w dniach 20–23 września b.r. Wyjazd grupy „środkowoeuropejskiej”, w skład której weszli historycy i intelektualiści z Polski (Lublin, Kraków, Warszawa, Toruń), Ukrainy (Kijów, Lwów), i Białorusi (Mińsk) zorganizował i koordynował wspomniany już, kierowany przez prof. Jerzego Kłoczowskiego Instytut Europy Środkowo-Wschodniej.

Nie obeszło się bez kłopotów: Polacy nie musieli się już, na szczęście, ubiegać o wizy francuskie, ale duże trudności z ich otrzymaniem mieli Białorusini i w efekcie zjawili się w pomniejszonym składzie, zaś Litwinom Francuzi wiz nie przyznali, uniemożliwiając tym samym ich udział w kolokwium. Bardzo w Lille ubolewano z powodu nieobecności na sali obrad choćby prof. J. Tumelisa z Wilna.

Do Lille przyjechali Węgrzy i — szkoda, że tylko jednoosobowo — przedstawiciele nauki chorwackiej, estońskiej i rumuńskiej. Wśród Francuzów kolokwium wzbudziło spore zainteresowanie; liczne referaty i wypowiedzi w dyskusji pochodziły nie tylko od uczonych z Lille, ale i z innych ośrodków naukowych. Warto odnotować aktywne uczestnictwo w obradach prof. Bariety z Sorbony i prof. René Remond.

W kolokwium wzięli udział także historycy z Wielkiej Brytanii i Kanady, zaś z USA przyjechał nestor polskiej historiografii emigracyjnej, prof. K. Dziewanowski.

Obrady otworzył prof. Jerzy Kłoczowski, mówiąc o Europie Środkowo-Wschodniej jako pojęciu historiograficznym (m.in. koncepcje Oskara Haleckiego) i jako o współczesnej rzeczywistości politycznej i kulturowej. Podkreślił znaczenie faktu, że w Lille, obok ludzi Zachodu, znaleźli się wspólnie przedstawiciele środowisk naukowych i intelektualnych krajów położonych między Niemcami i Rosją.

Pierwszy dzień kolokwium zdominowały analizy pism i działalności tak znanych myślicieli europejskich, jak m.in. Vol-

taire, Edmund Burke, Herder czy — wspólnie — J.P. Sartre i sposobu, w jaki widzieli oni kraje Środkowo-Wschodniej Europy. Trzeba przyznać uczonym francuskim sporo odwagi: prof. D.-Beauvois ośmielił się np. mówić bez szczególnego nabożeństwa o Wolterze i jego stosunku do Rzeczypospolitej, specyficznie powiązany z finansowym uzależnieniem od Katarzyny II. I choć wykład był zobiektywizowany, a cokolwiek ironiczny ton autora wyjątkowo przecież pasował do przedmiotu rozważań (Voltaire!), z sali w trakcie dyskusji pojawiły się głosy sprzeciwu: ktoś ośmielił się szargać francuskie świętości.

Po kilkunastu referatach analizujących twórczość czołowych myślicieli i polityków Zachodu od XVIII wieku do czasów po II wojnie światowej, nieodparcie nasuwał się jeden wniosek: kraje Europy Środkowo-Wschodniej postrzegane były w przeszłości przez pryzmat licznych stereotypów, a uwaga Europy (Zachodniej) koncentrowała się raczej na Rosji niż na ziemiach leżących pomiędzy nią a państwem moskiewskim.

Ze i wspólnie nie jest łatwo odejść od takiego zakorzenionego sposobu myślenia, widać było w kilku, skądinąd niezmiernie ciekawych wystąpieniach. Oto młody francuski badacz bardzo niezależnie i odważnie potraktował działalność i raporty dyplomatyczne Leona Noëla, ambasadora francuskiego w Czechosłowacji i Polsce przed II wojną światową. Podkreślił, że nawet tak wybitny dyplomata, jak ów Noël, zadziwiająco ulegał stereotypom, a jednocześnie pod koniec referatu powiedział, że Noël opuszczał Warszawę w czasie gdy *les lanciers polonais chargeaient avec le panache, l'efficacité et l'écho que l'on sait, les chars allemands...* Jest to wystarczającym dowodem na „długie trwanie” zakorzenionych na Zachodzie stereotypów i legend. I kolejna rzecz interesująca: z sali zaatakowano Yves'a Beauvois nie za owych polskich lansjerów lecz za krytyczne, choć przecież pełne uznania, spojrzenie na Noëla.

Szczególnie ważne było uczestnictwo w kolokwium sporej grupy uczonych ukraińskich i dwóch Białorusinów. O ile na Zachodzie Polacy zdobyli już sobie przywilej odróżniania ich od Rosjan, w przypadku naszych wschodnich sąsiadów nie jest to nadal łatwe, stąd dobrze się stało, że w Lille mogli oni bądź po francusku czy angielsku bądź też po polsku (i dalej za pośrednictwem znakomitych tłumaczy, profesorów M. Masłowskiego, M. Tomaszewskiego i H. Łaskiewiczza) mówić o własnej historii, o więzach łączących Ukrainę i Białoruś z Polską (dawna Rzeczpospolita), wreszcie o współczesnej, kształtującej się niepodległości i jej licznych, niestety, zagrożeniach.

Na podsumowanie naukowej wagi kolokwium przyjdzie ostatecznie pora po wydaniu drukiem referatów i głosów w dyskusji. Dziś można i trzeba podkreślić wysiłek prof. Yves-Marie

Hilaire'a, a także troszczącego się o stronę organizacyjną przedsięwzięcia p. Dominique Rosselle i grupy jego młodych, niezwykle serdecznych współpracowników.

Po zakończeniu kolokwium, grupa uczestników z Europy Środkowo-Wschodniej, udała się do Paryża gdzie w czasie kilku dni mieliśmy okazję odwiedzin i spotkań m.in. w Bibliotece Polskiej i w Maisons-Laffitte, u Jerzego Giedroycia. To ostatnie spotkanie, na którym obok gospodarza zasiedli uczeni z Polski, Ukrainy i Białorusi, a także ambasador ukraiński w Paryżu, p. Koczubej, może być dobrym przykładem postępującej normalizacji naszych stosunków z środkowo-wschodnio-europejskimi sąsiadami. Zresztą okazji do wzajemnych kontaktów było więcej: integrowała nas choćby wspólna, długa podróż, dostarczająca niezliczonych okazji do rozmów naukowych i bardzo prywatnych, zaś w samym Paryżu zostaliśmy serdecznie przyjęci w ambasadzie Ukrainy i w ambasadzie Rzeczypospolitej. Godna odnotowania była obecność w tym ostatnim miejscu m.in. ambasadorów Ukrainy i Białorusi.

Dla piszącego te słowa najlepszym dowodem, że wrześnieowe kolokwium nie było czasem straconym, jest zdarzenie jakie miało miejsce w merostwie Lille, w trakcie przyjęcia uczestników kolokwium przez urzędnika merostwa (P. Mauroy, mer Lille, nie był obecny). Gdy wyraził on radość ze spotkania z naukowcami „przybyłymi z Europy Wschodniej”, spotkał się z natychmiastową ripostą ze strony Francuza, prof. D. Beauvois, który pouczył gospodarza o różnicy między Rosją a Europą Środkowo-Wschodnią. Wydaje się, że po kilku dniach obrad i wzajemnych kontaktów, prof. Beauvois znajdzie we Francji więcej sojuszników i współpracowników zainteresowanych problematyką Europy pomiędzy Niemcami a Rosją.

Mirosław FILIPOWICZ

## Wywiady „Kultury”

### Człowiek na wietrze

Z GRIGORIJEM KANOWICZEM ROZMAWIA  
ZBIGNIEW WŁ. FRONCZEK

Grigorij Kanowicz urodził się w 1929 roku na Litwie. W czasie wojny znalazł się w Kazachstanie a potem na Uralu. Po wojnie powrócił na Litwę i osiadł w Wilnie, gdzie ukończył studia filologiczne. Pracował w Litewskiej Akademii Języka i Literatury. Pisał sztuki teatralne i scenariusze filmowe. Przekładał litewską prozę i poezję na rosyjski. Książki Kanowicza pisane po rosyjsku nie ukazywały się poza Litwą w innych republikach sowieckich. Najważniejsze jego powieści przełożono na 11 języków z wyjątkiem angielskiego. W Polsce opublikowano dwie powieści „Świece na wietrze” (1983 i 1987) i „Łzy i modlitwy głupków” (1989) w przekładzie Aleksandra Bogdańskiego. Tłumacz ukończył pracę nad przekładami książek „Koziołek za dwa grosze”, „Nie ma raju dla niewolników”, „Nie odwracaj twarzy od śmierci”. W roku 1991 lubelski Teatr NN wystawił spektakl „Ziemskie pokarmy” inspirowany prozą Kanowicza. Na premierze goszczono pisarza.

Zbigniew Wł. FRONCZEK: — *Jaka siła zdumiewa w Pana literaturze?*

Grigorij KANOWICZ: — *Dzięki literaturze mogę cieszyć się światem, który już nie istnieje. Mogę o nim opowiadać, zatrzymać go, a nawet przywrócić.*

Z.Wł.F.: — *Pisarz może więc pokusić się o stworzenie świata. Dlaczego tak mało prób opisania świata lepszego niż ten, który istnieje, czy istniał?*

G.K.: — *Pisarz nie może konkurować z Bogiem. Nie udoskonalam więc świata, nawet go nie upoetyczniam, jak niektórzy twierdzą. Powracam jedynie w minioną epokę, oglądam świat oczami dziecka, bo dzieciństwo to mój wielki skarb.*

Z.Wł.F.: — *W jakim środowisku Pan dojrzał?*

G.K.: — *Dziadkowie byli szewcami, ojciec krawcem. Długo byłem przekonany, że nie ma lepszego zawodu.*

Z.Wł.F.: — *Kiedy poczuł Pan smak do liter?*

G.K.: — *To przychodzi nie wiadomo skąd. Nagle stałem się Michnikiem żydowskiej ulicy. Ojca ogarnęło przerażenie. Postanowił wszystkiemu zapobiec. Wyciągnął mnie na główne ulice miasta, wskazywał wystawy księgarń, książki na stoiskach ulicznych sprzedawców i używał tylko jednego żydowskiego słowa: „kuk”, to znaczy „patrz”. A po trzech godzinach marszu zapytał wreszcie: „co można jeszcze napisać, skoro jest już tyle książek?”*

Z.Wł.F.: — *Co Pan odpowiedział?*

G.K.: — *Nic. Nie potrafiłbym ojca przekonać. Zwracał się do mnie tonem nie znoszącym sprzeciwu.*

Z.Wł.F.: — *O czym Pan później rozmawiał z ojcem?*

G.K.: — *O niedostatkach, kruchości życia, świata i przedmiotów.*

Z.Wł.F.: — *Oburzała ojca niedoskonałość świata?*

G.K.: — *Przyjmował ją z łagodną rezygnacją. Mówił: — jak można stworzyć coś doskonałego w sześć dni, skoro taki czas wystarcza jedynie na uszycie marynarki.*

Z.Wł.F.: — *W wywodach Pańskiego ojca widać skłonność do filozoficznej przekory.*

G.K.: — *Taki był w życiu. Godzinami potrafił obserwować ludzi na ulicach. Na pytanie „co robisz”, odpowiadał: „uczę się”. Śledził modę, sposób poruszania się ludzi. Czytał wprawdzie tylko po żydowsku, ale z klientami mówił we wszystkich językach świata. Natomiast nas pouczał: „nie ma złych krawców, są tylko źli klienci”.*



Z.Wł.F.: — *Chełm Lubelski zastynął z podobnych indywidualności. Zna Pan książkę o mędrkach z Chełma?*

G.K.: — Czytałem. Tacy mędracy żyli nie tylko w Chełmie. Spotykało się ich na całym świecie. Czemu cała kpina spadała na tych z Chełma? Nie wiem. Może chełmscy Żydzi zawdzięczają wątpliwą sławę jakiemuś dowcipnemu, anonimowemu, autorowi? Ale pociesznych i zabawnych ludzi nie brakowało na żydowskich ulicach różnych miast. Po codziennej pracy zaczynali odświętną, artystyczną, egzystencję w innym świecie. Powoływali, kreowali nową rzeczywistość. Barwniejszą, nieporównywalną. Z podwórka, przez płot, z otwartego okna sąsiad z sąsiadem wszczynął filozoficzną dysputę. Dysputowali o świecie, ludziach, Bogu i przyrodzie, ale i prześcigali się w stwarzaniu zabawnych czy wręcz nieprawdopodobnych sytuacji. Grali czarowne role w egzotycznym spektaklu. Tak, to był niezwykły teatr podwórkowy.

Z.Wł.F.: — *W Pana książkach dowcip jest subtelny. Liry czny. Jakby ukryty.*

G.K.: — Nie uważam się za człowieka dowcipnego. Również w trakcie pisania nie stawiam sobie zadania, aby moje książki były śmieszne. Niewiele miejsca poświęcam humorowi. A jeśli czytelnicy go odnajdują? Bo świat jest chyba także śmieszny?

Z.Wł.F.: — *Co dla Pana było w życiu najważniejsze?*

G.K.: — Dzieciństwo! Spędziłem je na Litwie w miasteczku Janowa. Mieszkało w nim pięć tysięcy Żydów i tysiąc osób innej narodowości. Dzieci rosyjskie, polskie, litewskie, żydowskie porozumiewały się w jidysz. Bywało, że ich ojcowie również. Wszyscy żyli po swojemu, ale w zgodzie. Bez nienawiści, choć nie bez zadrażeń. Z dzieciństwa utkwily mi w pamięci rozmowy dziadków, marzenia babek, święta rodzinne. Pamiętam też okolicę. Rzekę, klasztor, cmentarze, dwie duże synagogi i kilka mniejszych. A wie pan, że po wojnie ocalał jedynie kościół? Myślę sobie czasami, że to może Pan Bóg dał w ten sposób jakiś znak?

Z.Wł.F.: — *Co komentowali dziadkowie?*

G.K.: — Dziadek Dawid, ojciec ojca, był milczącym szewcem, ale niezwykłym człowiekiem i niebanalnym filozofem. Nie chodził do synagogi, na tematy wiary wiódł jedynie długie i zażarte dysputy z butami. A tak, z lakierkami, pantofla-

mi, oficerkami i najzwyczajniejszymi łapcami. Taki filozof i teolog nie mógł oczywiście wiele zarobić. Nie miałem mu tego za złe. Siedziałem w kącie i mogłem obserwować go całymi dniami. Ale było dziewięcioro dzieci! Dom spoczywał więc w rękach babki. Myślę, że w duszy dziadka rozgrywał się jakiś dramat. Dorastam, aby go zrozumieć. Aforyzmy ojca już przytaczałem. Wspomnę o jeszcze jednym, ostatnim. Przed końcem życia, ostatnimi laty, a zmarł w 1990 roku, powtórzył zdanie: „krawiec jest dobry, dopóki nie zaczyna szyć”. To był komentarz, gdy na Kremlu, w latach osiemdziesiątych, pojawiali się co chwila nowi przywódcy...

Z.Wł.F.: — *Jak daleko wybiegały marzenia babek?*

G.K.: — Babcia, którą opisałem w „Świecach na wietrze”, marzyła, abym został rabinem. To był dla niej ideał. A nikt z naszej rodziny nie trafił jeszcze do jezuiwy. Cóż, jej marzenia nie spełniały się, a prośby do Boga nie zostały wysłuchane. Mimo nieustających modłów i ofiar składanych w synagodze nie potrafiła wyrwać dziadka z jego zaczarowanego kręgu. Marzyła, aby zobaczyć Wilno, pomodlić się w wileńskiej synagodze, zobaczyć tam wreszcie grób żydowskiego mędrca. Niestety. To było tylko 130 kilometrów drogi, ale Wilno było polskie, a Janowa litewska.

Z.Wł.F.: — *Dzieciństwo — jak Pan mówi — to skarb. Ale w dzieciństwie nie brakowało pewnie dramatycznych przeżyć?*

G.K.: — Przed Niemcami uciekliśmy aż do Kazachstanu. W drodze widziałem trupy ludzi i zabite zwierzęta. Zapomniałem twarze zastrzelonych, ale pamiętam padłego konia. Śni się jeszcze po nocach. Może uwolnię się od tego koszmaru, kiedy opiszę rozwiewaną wiatrem grzywe martwego zwierzęcia i jego wybałuszone oczy? Ale ciągle brakuje mi sił, odwagi, a może i umiejętności. W Kazachstanie chodziłem przez trzy lata do kazachskiej szkoły. Rosyjska była za daleko. Pasałem bydło. Tam też poznałem Głód. Zachorowałem i zacząłem puchnąć z głodu. Matka podjęła próbę dowiezienia mnie do szpitala. Bagatela. Najbliższy znajdował się w odległości 80 kilometrów. Nie było samochodów, pociągów, nawet dróg. Była wojna i tylko rekruci zdążyli do wojskowych jednostek. Ruszyliśmy z chłopcami wezwanymi na wojnę. Jechaliśmy z nimi na drewnianym kazachskim wozie. To nie była wygodna jazda. Na wybojach, kiedy wóz podskakiwał i kolebał się, ci młodzi ludzie na żołnierskim

plaszczu unosili mnie do góry. Dzięki nim przeżyłem, ale czy oni przeżyli wojnę? Myślę o tym fakcie, o moich dobroczyńcach sprzed lat. Dzięki nim zrozumiałem jedną z odwiecznych prawd bożych, że nie ma ludzi obcych czy złych...

Z.Wł.F.: — *Skończyło się dzieciństwo. Jacy mistrzowie mieli na Pana wpływ?*

G.K.: — Matka i Marc Chagall. Matka wprowadziła mnie w życie, a Chagall pozwolił mi je powtórnie odkryć. Moja Matka Chena zmarła po wojnie. Była niezwykle zdolna, aktywna, energiczna, miała poczucie humoru, ostry język i dar pięknego opowiadania. Myślę, że mogłaby pisać powieści. W roku 1968, w Paryżu, trafiłem na wystawę obrazów. To były dzieła Chagalla. To był szok, przeżycie tak wielkie, że z niczym porównać się nie da. Patrzyłem wprawdzie na większe lub mniejsze płótna, widziałem na nich kota, koziołka, parę nowożeńców nad miastem w locie, niby nic, ale to był świat pełen miłości, muzyki, zwykłych i niezwykłych zarazem ludzi... Stałem przed jego obrazami i modliłem się najbardziej gorąco i żarliwie jak potrafiłem. Wtedy, w Paryżu, na tej wystawie stałem się innym człowiekiem. Zrozumiałem, iż moja dotychczasowa praca literacka nie miała sensu. Była bez znaczenia. Dziękowałem Bogu za tę chwilę olśnienia. Nie każdy otrzymuje podobny prezent...

Z.Wł.F.: — *Nie łatwo więc być pisarzem?*

G.K.: — Niezmiernie trudno. Przez całe lata uważałem się jedynie za człowieka piszącego. Ludzi zajmujących się literaturą dziele bowiem na piszących i pisarzy. Pierwszą moją książkę „Patrząc na gwiazdy” opublikowano w 1957 roku. Dziś wydaje mi się, że pisał ją ktoś inny, jakiś obcy człowiek. Wstydzę się, gdy myślę o sobie z tamtego okresu. Nie byłem wówczas Kanowiczem. Tamten Kanowicz, z lat pięćdziesiątych, bardzo chciał się komuś przypodobać. Wypełniałem wtedy, czy lepiej rzec: „zabijałem” czas przekładami z litewskiego na rosyjski, pracą dla kina, teatru. Pisywałem scenariusze i pomagałem pisać innym. Realizowano je w wytwórniach litewskich, łotewskich, także estońskich. Zaistniała szansa, abym został naukowcem. Ale los ustrzegł mnie od klęski. Wyrzucono mnie z instytutu. Nie ja pierwszy odkrywam, że twórczości artystycznej z nauką pogodzić się nie da. Od napisania „Świec na wietrze” uważam się za pisarza. Powtarzałem już wielokrotnie, że pisarz musi być człowiekiem nieszczęśliwym i chorym. Oczywiście nie

chorym na cukrzycę czy podagrę. Pisarstwo to choroba. Pasternak zawsze dodawał: „wielka choroba”.

Z.Wł.F.: — *A czym jest polityka? Jaką chorobą?*

G.K.: — Trudno o porównanie z literaturą. Sztuka i polityka to sprzeczne dziedziny. Polityką nie powinni zajmować się ludzie chorzy i nieszczęśliwi. Polityka to sfera lawirowania, kłamstwa, matactwa. A także okrucieństwa. Ale uwolnić się od niej nie sposób. Jest obok nas, w nas, bo przenika ludzi i całe społeczeństwa. Dobrze, jeśli pisarz pozna ją dokładnie z bliska przyjrzy się pewnym mechanizmom. Był okres w moim życiu, kilka lat temu, gdy jako deputowany ludowy do Rady Najwyższej ZSSR znalazłem się na Kremlu. Do dzisiaj połowa władzy litewskiej to moi znajomi. Spotykam jednego, drugiego i ciągle słyszę to zdanie: Grigorij, nie zrób tylko jednego wielkiego głupstwa, nie wyjeżdżaj.

Z.Wł.F.: — *Mógłby Pan wyjechać z Litwy i zamieszkać, powiedzmy, w Izraelu, Kanadzie?*

G.K.: — Pytano mnie i o to wiele razy. Jeden mój syn zamieszkał w Izraelu, drugi właśnie w Kanadzie. Odwiedzałem obu. Sam czuję się wszędzie obco. Nawet na Litwie. Mam tu piękne mieszkanie, ale nie mam domu.

Z.Wł.F.: — *Łatwo zostaje się politykiem?*

G.K.: — Trudna odpowiedź, bo nigdy się nim nie czułem.

Z.Wł.F.: — *Ale Kreml carów i sekretarzy sowieckich otworzył przed Panem swe podwoje.*

G.K.: — To nie było moje miejsce. Szybko się o tym przekonałem. Potrafiłem się szybko od polityki uwolnić. Rozumiem, że chce Pan zadać pytanie, czemu się tam znalazłem. Chciano mi wynagrodzić dawne cierpienia. Oni i ja uwierzyliśmy, że da się to zrobić. Otrząsnąłem się szybko. Pupile władzy rzadko bywają wielkimi pisarzami. Ale wielu chciało zakosztować lekkiego chleba. A socjalizm go podsuwał. Pisarz trafiał nie tylko za suto zastawiony stół, ale i na piedestał. Stamtąd nikt już nie chce schodzić.

Z.Wł.F.: — *Los pozwolił Panu wykazać się odwagą? A może zdarzały się chwile, kiedy się Pan po ludzku bał?*

G.K.: — Bałem się i nie wstydę się tego. Było to w końcu

lat czterdziestych. Na rozkaz Stalina rozpędzono Żydowski Komitet Antyfaszystowski, zgładzono uznanego żydowskiego aktora Michoelsa, przeciw Żydom przeprowadzano liczne procesy, które kończyły się wyrokami śmierci. Wśród rozstrzeliwanych nie brakowało pisarzy. Przestraszyłem się, zmieniłem kierunek marszu, zszedłem z żydowskiej drogi. Czego się bałem? Aresztowania, śmierci. Rzuciłem się w wir pracy. Odnosiłem nawet sukcesy. I to cieszyło. Byłem więc szczęśliwym pół-człowiekiem. Ale jak powiedziałem, nie byłem Kanowiczem. Ktoś obcy we mnie mieszkał. Okropność. Myślałem o samobójstwie.

Z.Wł.F.: — *Z wielkimi emocjami mówił Pan o żydowskiej wyobraźni, fantazji, skłonnościach do filozofii.*

G.K.: — Żydzi, biedacy i bogacze, chętnie uciekali w świat wyobraźni. Jedni chcieli uwolnić się od koszmarów nędzy, a drugim widocznie pieniądze nie dawały szczęścia. Zostawiali więc bazarzami lepszego świata. Opowiadali rzeczy zmyślone, ale w trakcie opowieści zapłakiwali się najprawdziwszymi łzami. Może nawet w swych opowieściach, w swych wyobrażeniach, cierpieli, rozpaczali i kochali bardziej niż w życiu? *Luftmensch* — mawiali inni Żydzi o takich. To znaczyło — powietrzny człowiek. Myślę, że nawet w Starym Testamencie znajdziemy ślady tego typu fantazji. Bo czymże jest Drabina Jakubowa wiodąca do Boga? Drogą do nieskończoności, do lepszego świata. Też jestem fantastą. W czasie podróży przez miasteczka Polski, zwłaszcza te wschodnie, zamykam oczy i odnajduję stary świat. Słyszę człapanie żydowskich butów, widzę brodatych sklepikarzy a na płocie przeciągającą się kotkę. Żydzi lubili koty. Moja babka kochała je bardziej niż swego męża. Przywołuję zapachy, wyławiam dźwięki, odnajduję tamtą egzotykę. Bruki, szyldy, schody, kamienice. Nad żydowskimi osiedlami krażyły stada gołębi. Jeszcze dzisiaj słyszę łopot ich skrzydeł. Właściciel, hodowca gołębi, był wielką personą. Nieziemską. Swe pochodzenie zdawał się wywodzić z innego świata. Miał przecież kontakt z niebem, a kto wie, może również z samym Panem Bogiem. Krawcy, zegarmistrze, szewcy, wszyscy rzemieślnicy, tamtego czasu byli ludźmi o niesamowicie surowej etyce zawodowej. Ocalał jeden, aby mi o tym fakcie przypominać. Mieszka w Wilnie, ma ponad 80 lat i nadal łąta buty. Solidnie, terminowo. Bywa, iż ktoś poruszony jego biedą nie kwapi się, aby zgarnąć rubla czy dwa ruble reszty. Nic z tego. Nie przyjmie kopiejki więcej niż zarobił. Wyjaśnia nawet, że jeśli klient chce

zapłacić więcej, to musi poszukać innego rzemieślnika. Ale jego czas minął. Mój zresztą także. Jesteśmy ludźmi z innej epoki. Woda z naszych rzek przepłynęła. A w oceanie nikt jej nie odnajdzie.

Z.Wł.F.: — *Ale Pan też czas przywraca.*

G.K.: — Lepiej może rzec, iż uciekam w inną rzeczywistość, której nie ma. I już nie będzie. Tak też dzieje się w przypadku Singera. Różnimy się, ale nasze książki zrodziła tęsknota za światem minionym. Singer opowiada o Żydach w Polsce, ja zaś o Żydach litewskich. W jego książkach jest więcej wątków erotycznych i mistycznych, bywa bardziej dosadny, konkretny, może nawet chłodny. Sam gustuję w innym języku artystycznym. Mam skłonności do poetyzowania, paraboli, niedopowiedzeń.

Z.Wł.F.: — *Jest za co podziwiać Singera?*

G.K.: — Potrafi pisać o Żydach dla wszystkich, dla całego świata, a nie tylko dla samych Żydów. To wielki walor tego pisarstwa. Nie tylko go podziwiam, ale mu zazdroszczę. Singer pisze w jidysz. Kiepsko władam tym językiem. Los pozabawił mnie języka dzieciństwa, języka moich marzeń. W czasie wojny, w Kazachstanie, posługiwałem się kazachskim. Nauczyłem się też rosyjskiego, w którym piszę. A jidysz to bogactwo. Niestety, dla mnie już niedostępne. Niestety, ten język już umiera, odchodzi. Kultura żydowska jest pożerana przez kultury prężniejsze, kultury większości. Czy diaspora ma szanse przetrwania? Może w krajach, gdzie żyje dużo Żydów, choćby we Francji, czy Wielkiej Brytanii. Może jakąś szansą jest religia? Czas płynie, co bezustannie podkreślam, społeczności, które mówiły w jidysz już nie istnieją. Singer był ostatni.

Z.Wł.F.: — *Bywa, że naród popełnia błędy. Pisarz ma obowiązek rozliczyć rodaków. Ceni Pan literaturę obrachunkową?*

G.K.: — Tak. I nie sposób się od niej uwolnić. Singer powiedział, że Żydzi zrobili wszystkie możliwe błędy, jakie można było zrobić. To trafne i bolesne określenie. Ale to nie wszystko. Bo Żydzi również za te wszystkie błędy zapłacili. I co jeszcze najboleśniej, że przyszło im zapłacić także za krzywdy, których przecież nie popełnili.

Z.Wł.F.: — *Jak Pan odbiera literaturę nieżydowską o Żydach?*

G.K.: — Nie znajduję w niej magicznej warstwy świadomości żydowskiej. To największy mankament. Żyd w takiej literaturze jest postacią stereotypową wypraną z żydowskiej poezji, fantazji, wyobraźni. To wielki bogacz, jakiś nowy Rothschild albo nędzarz. Właściciel pięciu fabryk i tyluż brzydkich córek, albo biedaczyna pędzący nędzny żywot. U wielkiego Prusa pojawiają się również jedynie zachłanni kapitaliści i ludek o lewicujących skłonnościach. To zbyt mało, zbyt ogólnikowo.

Z.Wł.F.: — *W Pańskim domu stoi rzeźba Don Kichota.*

G.K.: — Bo go kocham. Bohater Cervantesa zajmuje szczególne miejsce w świadomości żydowskiej. Wierzę, że tę postać stworzyliby Żydzi. Cervantes był jednak pierwszy.

Z.Wł.F.: — *Komu obok Cervantesa i Singera jeszcze Pan zazdrości?*

G.K.: — To nie jest zazdrość w potocznym rozumieniu. To raczej coś z nieskrywanego podziwu. Singer jest dla mnie niezwykłym pisarzem, autorem genialnej powieści „Niewolnik”, niezrównanym twórcą wybornych opowiadań, jednak ceniony w świecie, a niezwykle popularny w Polsce, „Sztukmistrz z Lublina” to jedynie sprawnie napisana książka, jego „Dwór”, „Szatan z Goraja”, „Szosza” już nie odbiegają od tego schematu.

Z.Wł.F.: — *Innych pisarzy można za coś podziwiać?*

G.K.: — Dla wielu nie kryję swego zachwytu i uwielbienia. Oczarował mnie Bruno Schulz, Julian Strykowski, Jerzy Andrzejewski i Tadeusz Konwicki. Byłem pod wrażeniem Mendele Mochera Soferina ojca literatury żydowskiej w Rosji i Icchaka Lejba Pereca klasyka literatury żydowskiej w Polsce. Zachwycali mnie Szalom Asz i Szolem Alejchem. Nie byłem jednak ich uczniem. Żydowcy mistrzowie tkwią we mnie, bo ich natchnienie, potrzeba pisania, biorą początek z tego źródła, z którego i ja czerpię. Ale nie mniejszych emocji, ośwień, odkryć dostarcza mi lektura twórców innych regionów i kultur. Bliska mi twórczość Gabriela Garcii-Marqueza i Mario Vargasa-Llosy. Rozumiem, ba, głęboko przeżywam ich realizm magiczny, to czułe, poetyckie, podobne do mojego widzenie świata.

Z.Wł.F.: — *Najważniejsze w życiu, jak Pan mówił, jest dzieciństwo. A co w ludzkim życiu jest najbardziej cenne?*

G.K.: — Każdy człowiek chce się czuć wolny i niezależny. A więc wolność. Ale z drugiej strony tak łatwo człowiek daje się zniewalać. Pragnę pisać o wolności. To mój obowiązek, bo mój naród długo nie mógł jej zaznać. Chcę zaznaczyć, że głęboko przeżyłbym zarzut, iż piszę tylko o Żydach. Interesuje mnie wymiar ogólnoludzki. Opowiadam o świecie który minął, ale piszę o rzeczach, które nie mijają: śmierci, wolności, miłości, pogardzie, smutku, rozpaczy.

Z.Wł.F.: — *A religia jaką ma cenę?*

G.K.: — Dla mnie ogromną. Moim wielkim doświadczeniem życiowym jest fakt, że stałem się człowiekiem głęboko wierzącym. Nie bywam w synagodze tak często jak rodzice, dziadkowie, dziadek Dawid bywał jedynie równie rzadko, ale tak jak on pokornie rozmawiam z Bogiem, szepczę modlitwy, zanoszę prośby i bywam wysłuchany. Myślę nawet, że wyblagałem u Boga ocalenie swych dwóch synów, kiedy otarli się o śmierć w ciężkiej samochodowej katastrofie.

Z.Wł.F.: — *Jaką popularność zdobył Pan w byłym Związku Sowieckim?*

G.K.: — Przez 25 lat moje książki nie były publikowane poza Litwą. Podejrzewam, że wiele osób zajmujących się w Rosji literaturą nic nie wie o istnieniu takiego pisarza jak Kanowicz. Skąd się wzięło milczenie wokół mojej osoby i twórczości? Rosjanie ze względu na tematykę moich książek traktowali mnie jako pisarza żydowskiego, Żydzi uważali mnie za pisarza rosyjskiego, dla Litwinów byłem jedynie mieszkańcem Wilna. Muszę wyjaśnić, że sam nie czuję się pisarzem rosyjskim, litewskim ani żydowskim.

Z.Wł.F.: — *Pisarz dokonuje wyboru nieświadomie, czerpie przeciw z jakiejś tradycji: z polskiej, litewskiej, rosyjskiej, może nawet ze wszystkich wspomnianych, ale któraś dominuje. Krytyka nie powinna mieć kłopotu z zaszeregowaniem Pana twórczości.*

G.K.: — Krytyka krytyką, a życie życiem. Może właśnie ta niejasność, to niedookreślenie mojej literackiej przynależności jest mi potrzebne? Tak sobie myślę, że moje rozdarcie ma też swoje zalety. Niewątpliwie daje mi siłę wynikającą z niezależności, z braku przywiązania. Tkwią więc sobie między ludźmi, między narodami, między niebem a ziemią.

Z.Wł.F.: — *Kim się Pan czuje?*

G.K.: — Moi bohaterowie są ptakami, bywają ptakami. Natomiast sam bywam bogiem, kaleką, grabarzem, czy jak już kiedyś zgrabnie powiedziano „dozorcą żydowskiego cmentarza”, bywam też po prostu Kanowiczem.

Z.Wł.F.: — *Lubi Pan tego Kanowicza?*

G.K.: — Zaskoczył mnie pan. Bo czy lubię? Współczuję. To jeden z wielu nieszczęśliwych.

Z.Wł.F.: — *Śmierć, samotność, cmentarz to częste słowa w Pana twórczości.*

G.K.: — Dla pisarza nie ma ciekawszego miejsca niż cmentarz. Odwiedzam więc cmentarze, pochylam się nad napisami nagrobnymi, medytuję, bo przecież na cmentarzach zbiega się horyzont życia i śmierci. Obecność śmierci czyni nas wszystkich lepszymi, może nawet zdolniejszymi. Kruchość życia, przemijanie, zmusza człowieka do intensywniejszego wysiłku. Człowiek musi siebie wiecznie kontrolować, musi lękać się kary, odpowiedzialności za zło wyrządzone innym. Nie wyobrażam sobie świadomości bycia wiecznym.

Z.Wł.F.: — *Skąd wobec tego u niektórych poczucie bezkarności?*

G.K.: — Z niewiary w Boga, z opętania ideą. Nikt się złym nie rodzi, nikt złym nie umiera. Dla każdego następuje moment, chwila szansy, by ochłonąć z zaciętrzewienia, z niewiary. O zmarłych nie mówimy źle, wspominamy tylko ich dobre uczynki, choć żal, złość na dłużej zapadają przecież w ludzkich sercach i pamięci. Mnie też nie opuszcza żal i gorycz, mam poczucie, że jestem obywatelem nieszczęśliwego narodu, jestem sam, jak już wspominałem, człowiekiem nieszczęśliwym.

Z.Wł.F.: — *Rozumiem, że pisarz nieszczęśliwy pisze dla nieszczęśliwych. Szczęśliwi nie chcą pisania nieszczęśliwych.*

G.K.: — Boję się ludzi szczęśliwych i zadowolonych. Tacy są dla mnie mało atrakcyjni, mało owocni. Tylko niezadowoleni do czegoś dążą.

Z.Wł.F.: — *Można wnosić więc, że nieszczęśliwy nawet po spełnieniu części marzeń nie zbliży się do szczęścia, nie osiągnie satysfakcji?*

G.K.: — Tak. Nieszczęście bowiem to los, przeznaczenie.

Z.Wł.F.: — *Napisał Pan „Nie ma rajy dla niewolników”. Raj jest dla wolnych?*

G.K.: — Nawet w warunkach niewoli wolny człowiek będzie czuł się wolny. Bywa również, iż w warunkach wolności wolny człowiek czuje się niewolnikiem. Nie jestem przekonany, czy wolność, beztraska, są dla pisarza lepsze niż niewola. Wolność jest jak miód. Lepka i słodka. Niewola i nieszczęścia nakładają obowiązki. Pan mnie pytał o pisarstwo, teraz mogę to lepiej wypowiedzieć: to rodzaj kapłaństwa, to powołanie. Takim ludziom bardziej przystoi asceza niż życie epikurejszka.

Z.Wł.F.: — *Co się wiąże z tym pisarskim powołaniem?*

G.K.: — Ostrzeżenie przed niebezpieczeństwami. Z moich tekstów najbardziej znany w świecie jest najkrótszy, kilkunastoricowy: „Żydowski kwiat rumianku”. Cóż to za kwiat? W Polsce wróży się z jego listków: kocha, nie kocha. Żydzi natomiast wróżą ze swego: wyjechać, nie wyjechać? Mój artykuł dotyczył Żydów w Związku Sowieckim. Co roku tysiące ich wyjeżdża w świat i szuka nowego kraju do osiedlenia. To wieczna tułaczka, wieczna ucieczka. Exodusu nikt nie powstrzyma. To bardzo bolesne. Ale czy ta ucieczka jest tylko wynikiem antysemityzmu?

Z.Wł.F.: — *A jak Panu oddycha się literwskim powietrzem?*

G.K.: — Jest coś niezwykłego w tym powietrzu, jakieś nasycenie tajemniczymi fluidami. To wynika pewnie z ziemi, nieba, całej przyrody, kultury, ludzi wreszcie. Tu wszystko jest niezwykle, konkretne lecz tajemnicze, ostre i poetyckie, bliskie i dalekie, smutne i wesołe.

Z.Wł.F.: — *Mógłby Pan porzucić takie strony?*

G.K.: — Nigdy nie wykluczam emigracji ze swego życia.

Z.Wł.F.: — *Pańskie marzenia się spełniają?*

G.K.: — Nie. Ale może spełni się jedno, bardzo małe. Może nowej polskiej wytwórni filmowej „OKA” uda się zebrać fundusze i sfilmować „Świece na wietrze”.

Z.Wł.F.: — *Serdecznie dziękuję i życzę spełnienia się wszystkich marzeń.*

# Panorama Firm

to seria  
corocznie wydawanych  
katalogów teleadresowych,  
zawierających  
pełną, sprawdzoną  
i aktualną informację  
o firmach działających  
na terenie  
poszczególnych  
województw  
Polski.



CENA JEDNEGO  
EGZEMPLARZA  
KATALOGU  
WYNOŚI  
RÓWNOWARTOŚĆ  
**10,- DM**

**NASZ ADRES:**  
02-737 WARSZAWA  
ul. Niedźwiedzia 10  
tel. (48) (22) 43 50 58  
fax (48) (22) 43 99 21

**LUSWEST<sup>®</sup>**  
**POLSKA**

**BIELSKO-BIAŁA**  
**BYDGOSZCZ**  
**CZĘSTOCHOWA**  
**GDAŃSK**  
**KALISZ**  
**KATOWICE**  
**KOSZALIN**  
**KRAKÓW**  
**LUBLIN**

**ŁÓDŹ**  
**OPOLE**  
**POZNAŃ**  
**RADOM**  
**SZCZECIN**  
**TORUŃ**  
**WAŁBRZYCH**  
**WARSZAWA**  
**WROCLAW**

**Kraj**

## Widziane z Brukseli i z Warszawy

„POLSKA DLA POLAKÓW”

**Motto:** „Niech jeszcze dobre niebo tym Polskę obdarzy,  
By miała mniej krytyków a więcej pisarzy  
Bo z naszym gospodarstwem podobieństwo mają:  
Jeszcze drzewa nie wzrosły, a już wycinają.

Antoni Górecki

### Prolog

W czasie tego co próbowano w Polsce nazwać kampanią wyborczą do Sejmu, pewna partia polityczna prowadziła akcję pod hasłem „Polska dla Polaków”. Aby zwiększyć nośność tego sugestywnego zawołania, partia ta postanowiła je zilustrować przykładami z natury. Nic to nowego. Aby wołać „Niemcy dla Niemców”, hitlerowski reżym w 1933 roku miał do dyspozycji *Stürmera*. Kolaboranckie państwo Vichy wpadło na ten sam pomysł, aby zilustrować swoje hasło „Francja dla Francuzów”. Ponieważ, w 1943 roku, Pétain nie miał *Stürmera*, więc rozwieszał afisze z fotografiami Żydów.

50 lat później pewna polska partia patriotyczna poszła z postępowaniem, albowiem miała już dostęp do telewizji. Jasne więc, że zamiast *Stürmera* czy afiszów, posłużyła się telewizją, aby pokazać kilka podobizn, mających uzasadnić aktualność i nagłość hasła „Polska dla Polaków”. W tym moja...

Skorzystałem z zaproszenia do studia w powyborczą noc i, na marginesie dyskusji o kampanii, sformułowałem przed kamerami, na żywo, jedną uwagę, że pomysł był po prostu

głupi albowiem, jeżeli sądzić po wyniku tej partii, która zdobyła tylko ok. 2% głosów, to operacja się nie opłaciła, a wpływ mojej podobizny na świadomość polityczną Polaków był znikomy. Zdjęcie było chyba niedobre?

### *Samobójstwo*

Wynik polskich wyborów 19 września 1993 roku nie stanowi sukcesu lewicy. Jest przede wszystkim klęską prawicy, albo szerzej całej klasy politycznej, która przejęła zarządzanie Polską po wyborach w czerwcu 1989 roku. W artykule w *Gazecie*, wydrukowanym na kilka dni przed wyborami, Aleksander Smolar określił to jako „samobójstwo”. Coś w tym jest.

Dystans zaciera detale, ale pozwala na głębsze i chłodniejsze spojrzenie. Politycznie biorąc, taka fotografia nie rości sobie pretensji do bezdyskusyjnej diagnozy, ale może być bardziej pożyteczna w przyszłej, wydaje się nie tak bardzo odległej, kampanii wyborczej niż moje zdjęcie w kampanii ubiegłej. W skrócie mówiąc, samobójstwo polega chyba na samo-rozbięciu, na auto-destrukcji, jak to się modnie określa, kilku podstawowych legend, złudzeń i mitów polskiego bytu narodowego i państwowego.

### *Solidarność w gruzach*

Po pierwsze, padła w gruzach legenda „Solidarności”. Solidarność rozpaść się musiała po wyjściu z komunistycznego państwa. Mogła trwać razem w obliczu wspólnego wroga, nie mogła i nie powinna była przetrwać razem utraty przeciwnika. Powinna była się rozpaść na kilka partii politycznych odpowiadających mniej więcej jej — ukrytej pod nieaktualnym już w nowej rzeczywistości, hasłem solidarności — strukturze ideologicznej czy nawet klasowej.

„Wojna na górze” była więc w pewnym sensie nieunikniona i pożyteczna, a nawet niezbędna. Ale się nie udała. Została przegrana. Przez wszystkich. W trakcie tej wojny zaprzepaszczone zostały wszystkie zalety „Solidarności” i cały jej dorobek. Pozostały mniej lub bardziej ukryte wady.

Hasła egalitaryzmu, wspólnoty i... solidarności zostały zastąpione ordynarną propagandą polityczną. Żaden związek zawodowy nie mógłby przeżyć takiego upolitycznienia. Ostatni cios związek zadał sam sobie, powodując upadek

solidarnościowego przecież rządu Suchockiej. Rewindykacje społeczne są nie do pogodzenia z ambicjami politycznymi, o czym zresztą — nawiasem mówiąc — przekona się także SLD skazany, jako partia rządząca, na konflikt i rozwód z OPZZ.

W toku kolejnych „wojen na górze”, Lech Wałęsa ułatwił zniszczenie — trzeba mieć nadzieję, że nie definitywne — i odsunięcie od polityki, kilku ekip mogących z powodzeniem rządzić Polską. Niezniszczona pozostała grupa postkomunistów. Oni w wojnie na górze udziału nie brali.

### *Kto ma czyste ręce?*

Po drugie, padła w gruzach legenda „czystych rąk” i „czystych sumień”. Tu nie chodzi o poszczególnych ludzi — wiemy że jest sporo inteligentnych, uczciwych i odpowiedzialnych polityków w Polsce. Ale, w ogólnym odczuciu, nowa klasa rządząca skompromitowała się.

Politycznie, albowiem zamiast bić wroga biła w siebie. Wojna na teczki doprowadziła do podważenia zaufania nie do poszczególnych ludzi, a do całego pokolenia solidarnościowego (niezależnie od wieku). Tylko postkomuniści (żeby trzymać się tego nieprecyzyjnego określenia) wyszli z tego brudu obronną ręką. Ich nikt o nic nie podejrzewał, co do nich, pozornie, panowała pewność. Tylko oni nie byli wypchani w błoto. Wszyscy myśleli, że od dawna już tam są. A tymczasem, wyborcy uznali, że tylko oni pozostali poza.

Moralnie, albowiem w to błoto nie trzeba nawet było solidarnościowych polityków wpychać na siłę. Albo ich wciągali koledzy, od dołu, albo wchodzili sami. Fakt, że niektórzy czołowi politycy mogli w ciągu kilku godzin przejść z dworu Wałęsy do obozu jego największych i najbardziej bezwzględnych przeciwników, że byli najbliżsi współpracownicy prezydenta dyskredytowali ten urząd, niszczył autorytet i Wałęsy i jego aktualnych sykofantów, ale także i jego krytyków.

Mądrze i uczciwie przeprowadzona akcja lustracyjna, dobrze zrozumiana „gruba kreska” Mazowieckiego, udana próba pociągnięcia do odpowiedzialności osób winnych zbrodni, mogły w ogromnym stopniu oczyścić atmosferę, przekonać społeczeństwo, że nowe władze poszukują sprawiedliwości a nie zemsty i że na tym przeszłość można i należy zamknąć. Stało się inaczej. „Teczki” nie pomogły zamknąć przeszłości, a stały się instrumentem bieżącej dinotryjry wewnątrz nowej klasy politycznej.

Pojęcie „nowej nomenklatury” narzuciło się natychmiast. Wszyscy kradną, powiedziano. Na tle dworu i lizusostwa, nowego „stylu życia”, bezkarnego najazdu na Rozalin czy lumpen-anarchii „taczek”, przyjęć w Pylicach, epopei Anastazji czy Agaty, afer typu Art B itp., postkomuniści wyglądali jak zakon św. Franciszka czy Kamedułów bosych.

### Koniec piedestału?

Po trzecie, rozwiła się legenda Lecha Wałęsy. Teczka czy skandaliczna afera Bolka (w końcu tu chodziło jednak o Prezydenta RP) zaszkodziła mu mniej niż zaszkodził on sobie sam. Pogromca komunizmu, symbol oporu, laureat pokojowej nagrody Nobla, zszedł, ba — zleciał z piedestału, stał się urzędnikiem państwowym, wysokim, za wysokim, jak — zdaniem ogółu — na jego kwalifikacje. Stracił aureolę nad głową, a nie zyskał na *image'u* w smokingu, nawet na dworze królowej angielskiej.

Wałęsa postanowił zostać prezydentem i, jak sądzę, musiał nim zostać, nic ani nikt, nawet samospalenie Mazowieckiego, nie mogły mu w tym przeszkodzić. Mazowiecki wiedział, że nie ma szans, zapłacił ogromną cenę, bo przegrał nie do symbolu Wałęsy a do „wściekłych psów” dementa Tymińskiego, ale przewidział słusznie: Lech Wałęsa nie odpowiada wizji jaką mają Polacy o funkcji prezydenta i sposobach jej sprawowania. Ktoś mi powiedział, że to tygodnik *Nie* zniszczył Wałęsę. Nie tylko. Sprawy Hodysza nie wymyślił Urban. Ani postkomuniści. To nie *Nie* utworzyło BBWR, ośmieszając właściwie polski parlamentaryzm, a aluzja Wałęsy do „wariantu Jelcyna”, pełna pogardy do instytucji parlamentu, też nie została mu podrzucona ani przez Urbana ani przez Kwaśniewskiego.

Do tego trzeba dodać belwederską okupację telewizji. Nawet najwięksi zwolennicy Wałęsy nie mogli bez zniecierpliwienia oglądać okropnie nudnych „programów na kolanach”. To, że artykuł Małcużyńskiego nie wywołał nawet próby odpowiedzi, świadczy o samobójczym zjawisku zupełnego niezrozumienia przez ludzi prezydenta roli telewizji w rządzeniu nowoczesnym krajem.

W artykule *Rzeczypospolitej* o telewizji (kierowanej dziś z Belwederu „jak kiedyś z KC”), Ireneusz Krzemiński postawił kropkę nad i. „Telewizja, napisał Krzemiński, w dużym stopniu przyczyniła się do tego, że obóz solidarnościowy czy

też po prostu demokratyczny, przegrał walkę o społeczną pamięć. A to, jak widać (z wyborów), prowadzi do dalszych i bardzo dojmujących porażek”.

### Do nieba daleko

Po czwarte, szerniała niepokalana legenda Kościoła. Naturalnie, nie chodzi tu o miejsce kościoła w Polsce. To jest bardzo potężna instytucja i wytrzyma nie takie trzęsienie ziemi. Ale rozwiła się popularna wizja kościoła jako nieugiętego protektora wolności, gospodarza domu, pod dachem którego czuli się bezpieczni i dowartościowani (to modny termin), wszyscy, bez różnicy przekonań, pochodzenia, ideologii, skończył się mit gospodarza strefy wolności w każdy czas burzy i zagrożenia.

Po 1989 roku część kleru spolityzowała — nie waham się powiedzieć — strywializowała i zmaterializowała ewangelię, oddała ją w służbę nie posłannictwa kościoła, a jego ziemskiej instytucji. I ziemskich interesów. Wielu Polaków straciło punkt odniesienia, busołę, to co Francuzi nazywają *reference morale*. Anachronicznej kampanii w sprawie aborcji czy religii w szkołach, klerykalizacji funkcjonowania państwa, fatalnie rozegranej historii zawarcia konkordatu (jakby nic bardziej ważnego nie działo się w polskiej polityce zagranicznej), odmowy referendum, tego najbardziej demokratycznego sposobu poznania woli społeczeństwa, rewindykacji majątku mimo braku ustawy o reprivatyzacji, narzucenia nauki religii w szkołach przed reformą szkolnictwa, udzielenia licencji rozgłośniom kościelnym przed uchwaleniem odpowiedniej ustawy, wprowadzenia zapisu o „wartościach chrześcijańskich”, co utożsamiono (nie bez racji) z próbą narzucenia kościelnej cenzury w radio i telewizji (a co potwierdziła interwencja na temat filmu „Ostatnie kuszenie Chrystusa”), tego wszystkiego nie wymyślili postkomuniści. Oni tylko wystąpili przeciwko temu wszystkiemu i zebrali głosy obywateli, którym także się to nie podobało.

Kościół stanął ponad prawem, stał się częścią elity rządzącej, był obecny nie tylko moralnie ale i faktycznie i personalnie na każdym szczeblu podejmowania decyzji. Udzielał swej *caution morale* politykom, którzy na to, z wielu względów, nie zasługiwali. Stał się współodpowiedzialny za rządzenie. I za jego wyniki. Bardzo ostentacyjna i widoczna obecność osoby duchownej w najbliższym otoczeniu Prezydenta



stwarza pozory kontroli nad najwyższą osobą w państwie. Tego nawet najbardziej katolickie społeczeństwo może nie akceptować.

To nie Urban sprawił, że *Tygodnik Powszechny* — symbol i pomnik godności i mądrości polskiego katolicyzmu — uznany został przez dużą część kleru za pismo „kato-lewicy”, jeżeli nie „żydo-komuny”, a *Słowo Powszechne*, też symbol ale paskudztwa i hańby, uznany został przez Prymasa za organ kościoła.

### *Kapitalizm bez kapitału*

Po piąte, padła w gruzach legenda kapitalizmu. Koszty reformy okazały się za wysokie. Wszelkie reformy, nawet te udane, są kosztowne. Korzyści prywatyzacji, nawet tej udanej, były jednak za odległe. Powstały całe obszary i kategorie ofiar reformy, wystarczy wspomnieć choćby Śląsk i górników. Rosnący kontrast między ofiarami reformy a jej beneficjentami jest zbyt szokujący. Arogancja (na ogół zapewne niezawiniona) portretów z listy 100 najbogatszych tygodnika *Wprost* była nie do wytrzymania. Ostentacja nuworyszów jest zjawiskiem normalnym, ale na tle spadającej stopy życiowej nabiera znamion prowokacji.

Paradoks jest ewidentny: to właśnie w chwili, kiedy Polska — najlepszy uczeń Międzynarodowego Funduszu Monetarnego w klasie śródkiowo-europejskiej — zaczyna odbijać się od dna, kiedy spadek produkcji został zahamowany, inflacja znalazła się pod kontrolą, a połowa zatrudnionych pracuje już w sektorze prywatnym, kiedy międzynarodowe koła „kosmopolitycznej finansjery” niemieją z zachwytem nad Polską, to wtedy właśnie, Polacy głosują przeciw kapitalizmowi.

Krzywdza większości jest autentyczna, rozczarowanie jest ogromne. Wyniki globalne są dodatnie, ale indywidualne odczucie jest ujemne. Ogromnej liczbie ludzi powodzi się źle lub bardzo źle. Statystyki, z których wynika, że połowa bezrobotnych ma samochód, lub, że dwie trzecie osób żyjących poniżej minimum życiowego ma kolorowy telewizor, nikogo nie przekonują. Zwłaszcza tych, którzy nie mają... Według źródeł rządowych, 1/3 Polaków na reformach straciła, 2/3 zyskały. Statystycznie, być może. W głosowaniu było odwrotnie.

Nie ma niczego dziwnego w wyborczym odrzuceniu kapitalistycznego przeszczepu. To nie jest ustrój łagodny. Dla

wielu jest krzywdzący i bezwzględny. Dziś już nawet bogatego kapitalizmu nie stać na państwo opiekuńcze. A Polska, choć kiedyś może będzie drugą Japonią, na razie nie jest drugą Szwecją.

Polaków jednak nie tylko nikt nie przekonał, ale — tak naprawdę — nikt nie starał się wytłumaczyć, że koszty wychodzenia z komunizmu muszą być bardzo wysokie, że muszą być ofiary. Reszty dokonała oglupiająca, demagogiczna propaganda rozmaitych Lepperów zrzucająca odpowiedzialność za korupcję, za kontrasty, za bezrobocie na reformy i demokrację.

W istocie prawda jest odwrotna. Zwlekanie i odkładanie reform (Balcerowicz przytacza w tym miejscu przykład Rosji czy Ukrainy) jest bardziej szkodliwe od ich nawet brutalnego wprowadzania w życie. W istocie, tylko mądra, skuteczna i uczciwa realizacja reform potrafi Polskę z tych wszystkich chorób wyleczyć. Ale próbować ją leczyć będą już inni lekarze. Poprzedni bowiem, z wielu przyczyn, nie potrafili o korzyściach ich terapii narodu przekonać. W języku fachowym można by to nazwać arogancją władzy, „kryzysem komunikacji”, w języku potocznym chodzi o rozwód między rządem a społeczeństwem. Przez cztery lata polityka toczyła się w zamkniętym kręgu polityków. Społeczeństwa nie zapytano właściwie o zdanie. Zapytano dopiero w wyborach. Ale wtedy już było za późno.

Błędy władzy i obłędna kampania Lepperom głosów nie przyniosła, ale pchnęła Polaków do głosowania na opozycję. Lepperowi postkomuniści powinni postawić pomnik, ale to nie oni go wymyślili.

### *Sejm bez chadeków*

Po szóste, rozwiązał się mit o reakcyjności Polaków. Polacy wymietli bowiem skrajną prawicę. Tymiński, ponad 20-procentowy pogromca Mazowieckiego, dostał tym razem 2%. Partie, które głosiły hasła czysto-narodowe i czysto-religijne, które wołały, że „Polak-katolik”, też przy tej okazji nie dostały przepustki do sejmu. Nie jest rzeczą normalną, aby w polskim sejmie nie było demokratycznych partii prawicowych czy po prostu chadeckich. Szkoda, że ta normalna, parlamentarna prawica — Hall czy Bielecki — z ich własnej zresztą winy, znaleźli się poza strefą czynnej polityki, poza składem parlamentarnej opozycji. Będzie ich brakować. Ale,

ocierając łzy trzeba stwierdzić, że Polacy głosowali mądrze „przeciw”. Czy głosowali mądrze „za”, to się dopiero okaże.

Ryzyko jest oczywiście poważne, Polska może stracić sporo czasu, tej jedynej rzeczy, której odtworzyć się nie da. W chwili kiedy piszę, rządu lewicowego jeszcze nie ma, są natomiast wyraźne targi personalne i poważne różnice programowe. Nie wiem jak się to skończy, wydaje mi się, że źle, albowiem zawarcie potrójnej czy, co gorzej, podwójnej (powrót do układu z 1989 roku) lewicowej koalicji zakłada takie koncesje z każdej właściwie strony, że powstanie pytanie co do wiarygodności i oportunistów wysokich układających się stron. Ale procesu intencji nikomu robić się nie powinno. Michnik już zauważył, że polityka „im gorzej — tym lepiej” byłaby katastrofą dla Polski. Postkomunistycznej i każdej innej.

### *Bolszewizm bez zębów*

Po siódme, rozwiązał się mit o koszmarnych czasach PRL. Nie tylko dlatego, że w tym PRL, który chciano wymazać z historii Polski, kilka pokoleń Polaków normalnie żyło, budowało, rodziło dzieci, kopało piłkę, otrzymało i brało odznaczenia, chodziło do szkoły i na uniwersytety. Pamięć zresztą — jak wiemy z psychologii — w ogóle ma tendencję optymistyczną i naprawdę koszarne czasy komunizmu pamiętają już tylko ludzie bardzo starsi, którzy je zresztą wspominają z rozczuleniem albowiem im akurat się w tamtej Polsce lepiej powodziło.

Strach przed hasłem „idzie stare” padł przede wszystkim dlatego, że nikt normalny w Polsce nie wierzy, iż możliwy jest powrót do jakiegokolwiek komunizmu. Oczywiście, Polska lewicowa będzie inna, coś się zmieni, inaczej przecież „cały pogrzeb będzie na nic”. Ale diabolizowanie lewicowej perspektywy ludzi wprost śmieszyło. Ktoś mi zresztą powiedział, że byli komuniści najlepiej wiedzą, że komunizm jest do kitu. Oni przecież go posmakowali i, lepiej od innych, wiedzą, że nie funkcjonuje. Zresztą, większa część ostatniego, już właściwie nie komunistycznego, bo zwyczajnie oportunistycznego, pokolenia PZPR-owskiego aparatu, już dawno się przekwalifikowała. Jest w biznesie. Przedsiębiorcy prywatni stanowili spory odsetek głosów na SLD. To nie są wariaci. Pewien wysoki postkomunista opowiadał mi, że gdyby jakiś członek jego SLD-owskiej partii domagał się powrotu gospo-

darki socjalistycznej, to wyleciałby nie za komunizm, a za głupotę. Ostatni komuniści są już nawet nie w Korei północnej czy na Kubie, a tylko na uniwersytetach w Kalifornii. W Warszawie ich nie spotkałem. Groźby w Polsce nie stanowią komunizm, a bałagan. To polski sejm, przy decydującej — warto to przypomnieć — pomocy „Solidarności” wybrał stosunkowo niedawno na pierwszego prezydenta pokomunistycznej Polski generała Jaruzelskiego, ojca stanu wojennego i autora teorii mniejszego zła. I co? I nic. Polska to przeżyła. Polacy byli bardzo blisko wyboru na prezydenta Stanisława Tymińskiego, człowieka z buszu, lekkiego dementa i bardzo niezdarne demagoga, którego na oczy przedtem nie oglądali. No i co by się stało, gdyby go byli wybrali? Demokrację — jak mawia obecny prezydent — trzeba by było uszanować. Przez kilka lat byłoby w Polsce strasznie i śmiesznie zarazem, ale Polska by i to przeżyła.

Drzew, jak mówi Górecki w „motto”, nie należy wycinać zanim nie wzrosło. Polacy postanowili dać postkomunistom czas i szanse. Prawdopodobnie sobie nie poradzą. Nie z Polską, a sami z sobą, wewnątrz SLD i z PSLeM. Ale wyborcy nie o tym myśleli głosując na lewicę.

W sprawach, w których w PRL doszło do przestępstw powinien decydować sąd. Rachunek sumienia może by się przydał, ale powinni go przeprowadzić właściwie prawie wszyscy. PRL nie była dziełem garstki komunistycznych uzurpatorów narzuconych narodowi, który w ogromnej większości składał się z bohaterskich działaczy podziemnych. PRL, ze wszystkimi jej nadużyciami i zakłamaniami, mimo jej istotnie narzuconej z zagranicy formuły, jest częścią polskiej historii i biografii Polaków. „Normalni” ludzie, którzy żyli w PRLu, chcą i mają prawo chodzić z podniesioną głową. Kampania, której celem było wymazanie PRL z historii Polski musiała się źle skończyć dla jej propagatorów. Niewątpliwie, że eks-komuniści zbyt słabo się odcięli od niektórych brudnych kart ich historii, że nie pozbyli się ludzi, którzy ich kompromitują, ale, naturalnie, porównywanie milionowej masy członków PZPR, w tym także młodych, którzy w ogóle nie znali „tamtych czasów”, do NSDAP, musiało także napędzić głosów lewicy.

Warto się nad tym zatrzymać, bo tu nie chodzi tylko o jedną, odizolowaną — wadliwie zresztą zinterpretowaną — wypowiedź dostojnika kościelnego. Sprawa jest szersza. Polski komunizm postalinowski, a zwłaszcza ten z ostatnich, gorbaczowowskich czy jaruzelskich lat, nie da się ani intelektualnie

ani psychologicznie porównać do hitleryzmu. Różnice narzucają się same. Pierwsza to ta, że hitleryzm był formacją względnie krótkotrwałą. Tysiącletnia Rzesza trwała tylko 10 lat. Przez cały właściwie ten okres, Hitler był w wojnie (zimnej czy gorącej) z resztą świata. ZSSR trwał lat 70, nigdy nie był w stanie gorącej wojny z Zachodem. Roosevelt nazywał Stalina „wujaszkiem JO”, ale nikt tak nie mówił o Hitlerze.

Nikt nie miał wątpliwości co do zbrodniczego charakteru bolszewizmu, ale od Stalina po Gorbaczowa, i od Bieruta po Jaruzelskiego, komuniści byli niezbędnymi partnerami Zachodu, jeżeli nie jego faworytami (kult Gorbaczowa do dziś fascynuje) w urządzaniu świata.

Druga zasadnicza różnica, to zupełnie inny koniec obu systemów. Hitleryzm padł pod buldożerem strasznej wojny, którą sam wywołał, zostawiając Europę w gruzach i w nędzy. Oświęcim czy Treblinka wywołały tak ogromną falę oburzenia na świecie, że sąd nad hitlerowcami musiał się odbyć. Poza Hitlerem, główni zbrodniarze byli w zasadzie pod ręką. Tak doszło do Norymbergi. Komunizm jednak umierał inaczej. Pozostawił morze ofiar, ale śmierć systemu była samobójcza. Padł od bankructwa, od implozji, a nie od uderzenia z zewnątrz. Zostały po nim nie tylko ruiny: szkoły, szpitale, pociągi, aparat państwowy i nawet policja funkcjonowały normalnie. Po okrągłym stole w Polsce czy aksamitnej rewolucji w Pradze, po rozbiciu muru w Berlinie nie było ludów wołających o zemstę i karę. Wyzwalające się od komunizmu narody były zbyt szczęśliwe, że to się stało tak szybko i tak tania, aby zająć się wołaniem o krew. Hitlerowcy bronili się do końca. Komuniści, ci z roku 1989, pomagali w demonstacji ich ustroju.

No i w końcu, po 1945 roku wieszano zbrodniarzy — ludzi osobiście i bezpośrednio odpowiedzialnych za wojnę i ludobójstwo, gaz i Oświęcim. Nikt rozumny nie proponował karanie Gorbaczowa (dlaczego nie Jelcyna, też był w politbiurze) za Stalina, a tym mniej Rakowskiego za Bieruta.

Tych kilka uwag nie wyczerpuje kapitalnej ciągle debaty nad kwestią dwóch koszmarnych dyktatur, które w ciągu tego samego półwiecza zrodziły się w chrześcijańskiej i cywilizowanej Europie. W pewnym jednak stopniu powinny przyczynić się do zrozumienia powodów, dla których próby ich utożsamiania nie u ich źródeł, a w ich końcowej fazie, przyniosły w Polsce skutki odwrotne do zamierzonych. Przeszłość, jak powiedział Michnik, „przestała być czynnikiem decydującym dla oceny ludzi i ugrupowań politycznych. Przyna-

leżność do PZPR i do innych sił dawnego reżymu przestała kompromitować. Solidarnościowa biografia przestała być atutem”. Od siebie dodam: zjawisko nie jest specyficznie polskie. Wczoraj na Litwie, dziś w Polsce, jutro na Węgrzech... wszędzie, zwłaszcza na tle wysokich kosztów kapitalizmu i demokracji, kończy się kwarantanna byłych komunistów. Głos na nich oddany nie ma treści czy znaczenia ideologicznego. Warto to zrozumieć zanim się popełni nowe błędy.

*Europa: „nie przeszkadzać”*

Po ósme, rozwiął się mit o łatwej ścieżce do Europy. Dziś już wiadomo, że nikt na Polskę w Europie nie czeka, że droga daleka i że nie w niej, tej chorej przecież na te same choroby (bezrobocie, kryzys) choć na innym poziomie, Europie ani zguba Polski ani jej ocalenie. Nie ulega kwestii, że Zachód ponosi część odpowiedzialności za polskie rozczarowanie. Ograniczanie dostępu polskich towarów na rynki zachodnie, zwłaszcza EWG, pogłębiło kryzys i przyciemniło sukces reform. Ale, bądźmy poważni, nie to zadecydowało. Polska do Europy zmierzać musi, nie ma alternatywy, to jest kurs prawidłowy i logiczny. Pod tym względem, dojście lewicy do władzy w Polsce niewiele zmieni.

Ale naturalnie, skutki porażki sił proeuropejskich, przede wszystkim Unii Demokratycznej, dadzą się odczuć. Na Zachodzie wiadomo, że w Polsce, ani właściwie nigdzie indziej, do komunizmu powrotu nie ma. Ale Unia miała znakomite stosunki i układy osobiste na Zachodzie i w pewnym stopniu była gwarantem „salonowego” zachowania się Polski w Europie. Także Balcerowicz, niezależnie od jego osobistych poglądów, był utożsamiany z Unią, a Balcerowicz to w EWG czy międzynarodowych bankach więcej niż osoba, to symbol finansowej i ekonomicznej europejskości.

Tu tylko *en passant*, bo mleko już zostało wylane, warto wspomnieć o skandalicznym zawaleniu okazji jaką była kandydatura Balcerowicza na prezesa BERD'u po kompromitacji Attali'ego. Naturalnie, Balcerowicz nie miał, od początku, żadnej szansy na wdrapanie się na szczyt banku. Ale kampania za jego kandydaturą mogła przynieść Polsce ogromne korzyści propagandowe i prestiżowe. Tymczasem, jak się można domyślać, ktoś w Warszawie uznał, że nie należy mu pomagać, bo to nie „nasz człowiek” i nie warto go lansować.

Otóż, wracając do rzeczy, z przyczyn o których nie tu i

nie teraz, rozmaite „zachody”, bo jest wiele, z rozmaitych przyczyn wcale się nie spieszyły z ułatwianiem Polsce (Węgrom czy Czechom) drogi do EWG. Maastricht jest w kryzysie, europejski system walutowy w gruzach, nie ulega już kwestii, że niezależnie od niebezinteresownego optymizmu zawodowych Europejczyków z Komisji EWG w Brukseli, Wspólnota musi w tej chwili ratować co się da z jej własnej substancji, a nie myśleć o rozszerzaniu składu o nowych i to biednych supirantów. W tym sensie, lewica u rządów w Polsce to prezent dla Komisji, która zyska jeszcze jeden, tym razem realny, pretekst do odkładania i tak mitycznej daty zaślubin z Polską.

W Polsce, powiedzą komisarze, stosunek sił na górze się zmienił. Tutaj studiowano poważnie programy wyborcze, np. PSL i jego hasła anty-wspólnorynkowe, i trudno się dziwić, że widmo polskiego protekcjonizmu przysłoniło brukselski pewnik pod skrótem „balcerowicz”, który w istotnym stopniu regulował stosunki Polski z EWG.

„Unijna”, nazwijmy ją tak w skrócie, Polska była, patrząc z Brukseli — mało czulej na społeczne i polityczne koszty eksperymentu — dowodem na makroekonomiczną skuteczność i dalekowzroczną logikę terapii proponowanej przez rozmaite Fundusze itp. Wynik wyborów sprawił Brukseli zawód: ten dowód został zakwestionowany. Przez samych Polaków. Należy się obawiać, że na jakiś czas na kłamec EWG wisieć będzie kartonik z napisem *Don't disturb...* w polskim tłumaczeniu.

Pozostaje sprawa sąsiadów. Nie ważne czy słusznie czy nie (to inny temat), ale ważne, że Zachód liczył na polski model. Myślał, że się przyjmie na przykład na Ukrainie, gdzie euforia niepodległościowa wyeliminowała wszelki rachunek ekonomiczny, gdzie kryzys gospodarczy i szantaż rosyjski prowadzą Kijów właściwie z powrotem pod kuratelę Moskwy. Zwycięstwo anty-balcerowiczów w Polsce może się odbić na Ukrainie (i gdzie indziej), nastraszyć władze, które wszędzie są przed jakimiś wyborami, wyhamować albo i unicestwić terapię mniej lub bardziej szokowe, do których w istocie alternatywy nie ma.

#### *Dziurawy parasol*

Po dziesiąte, lewica u władzy to dziura w parasolu NATO. W czasie kampanii wyborczej, przedstawiciele lewicy

robili grymasy, krzywili się, ociągali, eh, mawiali, to nie my powinniśmy się starać o wejście do NATO, to NATO powinno się starać o nas. Być może, ale nikt jeszcze na to w Brukseli nie wpadł. Kiedy, po wygranych wyborach, po szoku „drugiej rewolucji październikowej”, lewica zmieniła zdanie, było już lekko za późno. Nikt, naturalnie, w Brukseli nie sądzi, że polska lewica, choćby a może nawet przede wszystkim ta postkomunistyczna, chciałaby się udać pod parasol Moskwy nawet tej jelicynowskiej, ale należy się liczyć z tym, że w NATO poddana zostanie rewizji, *jusqu'à la preuve du contraire*, dotychczasowa pewność, iż Polska jest gotowa dostosować swą doktrynę strategiczną i możliwości logistyczne do priorytetów NATO.

Paradoksalnie biorąc, wejście Polski do NATO byłoby teoretycznie łatwiejsze niż do EWG, wymagania są bowiem (czy były) znacznie prostsze do spełnienia. Ale, naturalnie, dla NATO nie jest rzeczą obojętną kto rządzi w Warszawie. Ktoś mi właśnie zwrócił uwagę, że w NATO pamiętają, iż jeszcze niedawno jeden z przywódców SLD miał kontakty z KGB i że, w ogóle, polska lewica postkomunistyczna nie rozliczyła się z komunistycznego rodowodu i przeszłości.

Naturalnie, o stosunku NATO, instytucji mało sentymentalnej i mało wrażliwej, do rządu w Warszawie zadecydują nie rozmyślania o przeszłości, a konkretna polityka zagraniczna lewicowej Polski. Dopóki jednak tej polityki nie ma, i chyba tak szybko nie będzie, nieufność pozostanie. Ktoś w Warszawie napisał, że Pakt Atlantycki przestanie teraz dzielić z Polską swoje tajemnice. Nie szkodzi. Przedtem także nie dzielił. Chodzi o to, aby nie przestał dzielić oczywistych rzeczy. A to przedtem robił.

#### *Rosja: prawo weta?*

Po dziesiąte, NATO, nie z własnej woli, znalazło się w centrum stosunków polsko-rosyjskich. Przypomnijmy w wielkim skrócie. 25 sierpnia Borys Jelcyn wyraził w Warszawie zgodę na przystąpienie Polski do NATO. Kilka tygodni później, ten sam Jelcyn wysłał list do czterech wielkich państw zachodnich, z którego wynikało, że prezydent Rosji odwołuje to, co powiedział w sierpniu, że Rosja nie życzy sobie rozszerzania NATO na wschód i proponuje aby wspólnie, to znaczy Zachód i Rosja, udzieliły gwarancji bezpieczeństwa krajom Europy Środkowej i Wschodniej. W War-

szawie powiało grozą, a słowo Jałta pojawiło się w prasie.

Spokojnie. Z jednej strony, jest prawdą, że wejście Polski do NATO nie sprawiłoby trudności, nie zmieniłoby istoty sojuszu. Ale powstałoby pytanie: jeżeli Polska to dlaczego nie inne państwa. Rosja np., jak to dał do zrozumienia sam Jelcyn, byłaby wtedy także kandydatem. Tadżykistan czy Gruzja także. Powstałaby zupełnie nowa organizacja, NATO straciłoby rację bytu. Otóż NATO uważa, że — zwłaszcza po ostatnich wydarzeniach w Moskwie — na utratę obecnej racji bytu nie może sobie jeszcze pozwolić. Mówić takie rzeczy wprost byłoby niegrzecznie. Tak więc, problem NATO dziś nie polega na tym, jak wyrazić zgodę, ale jak uzasadnić odmowę.

Polscy politycy powołują się na deklaracje pana Wernera, sekretarza generalnego NATO, stwarzające rzekomo podstawy do przypuszczeń, że wejście Polski pod parasol Paktu Atlantyckiego jest na porządku dziennym. Otóż, zainteresowanym komunikuję że, jak mi powiedziano w samym NATO, sekretarz generalny nie miał mandatu do składania podobnych obietnic. To były, czy są, powiadają z lekkim uśmiechem, deklaracje składane na odpowiedzialność osobistą Wernera i nie angażują Paktu.

Ale to wszystko detale. Istota sprawy to fakt, że Bruksela nie dopracowała się jeszcze podstawowych kryteriów nie w selekcjonowaniu nowych członków, a w ogóle w wypracowaniu strategii na okres po zimnej wojnie. Inaczej mówiąc, kwestia zasięgu i funkcji NATO jest częścią zasadniczej debaty o przyszłości Europy czy świata w ogóle. Trudno się dziwić, że nikt się z decyzjami nie śpieszy.

Z drugiej strony NATO rozumie troskę Rosji o to, aby wzdłuż jej granic nie powstało coś — żeby użyć starego sformułowania — w rodzaju kordonu sanitarnego, jakiś nieprzyjazny antyrosyjski blok regionalny. Stąd brukselski grymas na pomysł w rodzaju NATO bis etc.

Teraz, po ostatnich wypadkach w Moskwie, ta ostrożność poszła jeszcze dalej. W NATO powiało strachem przed wojną domową w Rosji, albo jakimś puczem wojskowym, który by zniweczył całą ideologię i strategię Zachodu polegającą na nałożeniu na rosyjski potencjał wojskowy jakiegoś cywilizowanego kaftana bezpieczeństwa. Zmniejszenie rosyjskiej paranoi polegającej na utożsamianiu NATO z zagrożeniem Rosji, jest dziś naczelnym hasłem polityków w Brukseli i w stolicach świata. NATO nie podejmie więc niczego takiego, co mogłoby tę paranoję potwierdzić lub

umocnić. Odwrotnie, tutaj się przestrzega przed tworzeniem „nowych stref nieufności” i przed lekceważeniem frustracji rosyjskich generałów, mówi się o takim systemie bezpieczeństwa w Europie, z którego Rosji wykluczyć nie wolno.

Inaczej to formułując, kraje Europy Środkowej i Wschodniej, choć naturalnie zasługują na ogromną wdzięczność i podziw Zachodu za ich walkę i przywiązanie do demokracji i zachodnich wartości, muszą się uzbroić w cierpliwość i nie powinny liczyć na jakiś przełom w ich obecnych stosunkach z NATO. Jak napisał londyński *Times* (inni myślą podobnie) „nie miałyby sensu przyjmować Polski do NATO tylko po to, aby narazić ją na niebezpieczeństwo na jej wschodniej granicy...”. Inaczej mówiąc, dla *Times*'a, i innych, a jest ich wielu, przyjęcie w tej akurat chwili Polski do NATO automatycznie wyprowadziłoby rosyjskich generałów z nerwów i ściągnęło spec-dywidzję i OMONy na wschodnią granicę Polski, to znaczy do Ukrainy, Białorusi itd.

Bądźmy znowu poważni. Nawet jeżeli uznać, że *Times* się nie myli, to nikt w NATO nie formułuje wniosku, że uzasadniona troska o jej bezpieczeństwo mogłaby dać Rosji prawo stawiania veta wobec strategii Paktu Atlantyckiego.

Pytanie czy Rosja ma takie prawo w stosunku do Polski? Z postępowania władz polskich i wątpliwości prasy polskiej wynika, że ma. Z tego punktu widzenia można wątpić czy nacisk prezydenta Wałęsy i prasy na prezydenta Jelcyna w sensie skłonienia go do wyrażenia zgody Rosji na wejście Polski do NATO stanowiły naprawdę tak wielki sukces dyplomatyczny?

Cóż innego mógł bowiem, nawet jeżeli myśli inaczej, powiedzieć prezydent suwerennej Rosji dziennikarzom suwerennej Polski i to w Warszawie? Okres dyktatu Moskwy w Polsce się skończył, powiedział Jelcyn, Polska sama decyduje o swej polityce zagranicznej i jej sojuszach. Jelcyn złożył był właśnie wieniec u pomnika ofiar Katynia. Gdyby był na pytanie o zgodę Rosji co do Polski w NATO, odpowiedział odmownie czy choćby wymijająco, to cały gest katyński straciłby sens i znaczenie.

Jest prawdą, że po zwycięskim szturmie na parlament armia po-czerwona ma większe niż miała wpływy na Kremlu i że obserwuje się obecnie próby pacyfikacji peryferii i rozszerzenia lub ugruntowania strefy wpływów Rosji. Rosja bardzo wyraźnie chce wziąć Ukrainę głodem i chłodem, Gruzję już wzięła przy pomocy Abchazów, Tadżyków — wojną domową, Mołdawię kontroluje obecnością 14 armii wojska

rosyjskiego, a Bałtów szantażuje presją obecności russofonów.

Ale, naturalnie, Polska to coś innego. Rosja nie powinna wobec Polski, dysponować żadnymi środkami szantażu. Chyba, że Polska sama w ręce Rosji takie argumenty włoży. Ktoś powiedział, że pod tym względem, nowy lewicowy rząd w Warszawie będzie bardziej elastyczny, bardziej uległy wobec interesów Rosji. Nie znam tych panów, ale, choć program wyborczy SLD był sceptyczny wobec NATO (to się zmieniło po ostatniej „bitwie o Moskwę”), sędzę, że będzie wprost przeciwnie, że będą oni — właśnie z uwagi na ich ideowy rodowód — bardziej katolicy niż papież. Zresztą czy ktoś przytomny, od lewicy do prawicy, chciałby dziś w jakikolwiek sposób uzależniać się od Moskwy?

Polska powinna naturalnie szukać wszystkich możliwych gwarancji czy parasoli dla swojego bezpieczeństwa, włącznie ze staraniami o integrację z NATO. Nie należy jednak tego procesu, jego tempa czy jakości, w jawny sposób uzależniać od zgody Jelcyna na konferencji prasowej czy jego listów wysyłanych do polityków zachodnich. To sprawa wielkiej polityki i prawie historyczne reakcje na każdy gest zdezorganizowanej i błędzącej, mówiącej dwoma co najmniej językami, znajdującej się pod presją generałów i nacjonalistów, dyplomacji rosyjskiej zwiększają napięcia i powiększają bałagan międzynarodowy.

Wejście Polski do NATO to program bardziej ideologiczny niż strategiczny. To kwestia trwałego miejsca Polski w Europie. Pod tym względem wejście Polski w struktury NATO byłoby rzeczywiście wyrazem ostatecznego zakotwiczenia Polski na Zachodzie. Odpowiadałoby to przekonaniom i aspiracjom Polaków i ideowej, psychologicznej i politycznej rzeczywistości Polski.

Naturalnie, w świadomości, że tak powiem, normalnych ludzi, niepokój istnieje. Kursuje na przykład pytanie czy jeżeli coś się zacznie dziać w Polsce, to NATO zachowa się inaczej niż wobec Bośni? Pytanie jest interesujące, ale nie precyzyjne. Jeżeli bowiem Polacy zechcą się mordować między sobą, to NATO się nie ruszy. W końcu Tadżykistan czy Gruzja też są członkami Rady Współpracy Atlantycznej, nie mówiąc już o konferencji helsińskiej, ale NATO, jak wiemy, żadnej roli, w tych konfliktach nie odgrywa i odgrywać nie chce. Jeżeli jednak Polsce zagrozi jakieś realne niebezpieczeństwo z zewnątrz, to co wtedy? Co w razie jakiegoś prawdziwego, bardzo dziś hipotetycznego kryzysu międzynarodowego, czy zagrożenia Polski ze wschodu? Wtedy, mam nadzieję, rozszerzenie strefy działania NATO w kierunku

wschodnim stanie się strategicznie ważne także dla Zachodu, i wejdzie w życie jakiś plan pomocy czy interwencji opracowany nie w Magdalence przy kielichu między Wałęsą a Jelcynem, ani na konferencjach prasowych w Warszawie, a opracowany w toku bardzo poufnych narad w NATO. Nie przypuszczam jednak, abyśmy mieli sobie takiej okazji życzyć.

Polska naturalnie nie może nie brać pod uwagę uzasadnionych interesów bezpieczeństwa Rosji, której zresztą dziś — jak można się było o tym ostatnio przekonać — poza nią samą nic ani nikt nie zagraża. Ale Polska nie powinna sprawiać wrażenia, że po to aby mogła się starać o wejście do NATO czy o cokolwiek innego w sferze jej polityki zagranicznej potrzebna jej jest zgoda Moskwy. I to zgoda publicznie przez Polaków wyproszona i publicznie w Warszawie proklamowana!

Wymuszenie na Jelcynie w Warszawie rosyjskiego *nihil obstat* wobec Polski w NATO było kontrproduktywne. Umocniło bowiem właśnie Zachód czyli NATO w przekonaniu, że bez zgody Rosji nic na wschód od Odry nie jest możliwe. Francuski minister spraw zagranicznych p. Juppé uznał, że sprawa rozszerzenia NATO jest „przedwczesna”. Pan Kinkel, szef niemieckiej dyplomacji, ostrzegł aby „nie stawiać Rosji pod zbyt dużą presją”. Jego poprzednik p. Genscher ostrzega aby „nie izolować Rosji”... Teraz sprawa będzie jeszcze bardziej „przedwczesna”, a presja na Rosję jeszcze mniejsza. No bo jeżeli sama Polska twierdzi, że musi prosić Jelcyna o zgodę...?!

#### *Morał: Od Jałty do Jałty*

Odrzućmy cień Jałty, bo to niepoważne. Stalin dawno nie żyje, Związku Sowieckiego także od pewnego czasu nie ma, no i Rosja także nie ta sama. Nie ta sama — i to niezależnie od wyniku ostatnich wyborów — jest także Polska.

Strefa wpływów zakłada, że jak mawiał Reagan, tango się tańczy we dwójkę, że jest ten co wpływa, i ten, na którego się wpływa. Do wystąpienia w roli strefy wpływów Rosji, Kościoła, Żydo-masonów czy komuny, nikt Polski zmusić dziś nie potrafi. Chyba, że sama zechce.

Pisane 14 października 1993

*Leopold UNGER*

## Nie najlepiej ale nieźle

1. Jeśli mam przymierzyć rezultat wyborów 19 września do własnych moich postulatów (*Kultura* 9/1993), to wypada mi najpierw stwierdzić, że w ogólności postulowałem trafnie („wyszło na moje”) lecz że są, niestety, dwa potencjalnie niebezpieczne cienie na tych wynikach. Po pierwsze, niedostateczna jest rekompozycja wewnątrz zwycięskiej lewicy. Unia Pracy odniosła wprawdzie piękny sukces — procentowo największy ze wszystkich — ale jednak za mały, by mogła być równorzędnym partnerem dwóch pozostałych ugrupowań lewicy, zwłaszcza SLD. Wiąże się to z faktem, że swych nowych wyborców Unia Pracy pozyskała zwłaszcza wśród aktualnego i potencjalnego elektoratu Unii Demokratycznej, nie zaś elektoratu związkowego, przywiązanego tradycyjnie do SLD z jednej i NSZZ „S” z drugiej strony. To z kolei przyczyniło się zapewne do drugiego ze wspomnianych cieni, przesunięcia całej UD na prawo, w kierunku przegranej flanki, przynajmniej w pierwszej reakcji. Mimo ostrzeżeń przed pokusą polityki „im gorzej, tym lepiej”, kierownictwo Unii Demokratycznej ma najwyraźniej ochotę czekać na powrót wahadła: rząd lewicowy niech się sobie kompromituje, a UD podejmie tymczasem trud rekonstrukcji pobitej armii liberałów wszelkiej maści, europejskich, narodowych, parafialnych a potem nawet tych z SLD, zmęczonych i rozczarowanych współpracą z ich własnymi związkowcami, z „zachłannym chłopstwem” Pawlaka i zwłaszcza z „lewicowymi dogmatykami” Bugaja. O ile dobrze rozumiem najnowsze wypowiedzi Jana Marii Rokity, stratega UD w opozycji, panowie Oleksy, Kaczmarek czy Borowski z liberalnego skrzydła SLD, spełniają od czasu poparcia prywatyzacyjnego programu rządu Suchockiej, wszystkie zasadnicze kryteria „przyzwoitego mieszczaństwa”, które kwalifikują do udziału w zrekonstruowanej formacji liberalnej.

Wyniki wyborów sprawiają więc, że nie ma żadnej innej możliwej koalicji rządowej jak SLD-PSL-UP, przy czym jest sprawą drugorzędną (choć na początku października powszechnie walcowaną), czy Unia Pracy zechce zasiadać w rządzie czy tylko uczestniczyć w koalicji parlamentarnej. Nie ma, w połowie października, żadnego powodu programowego, który by uzasadniał niepowstanie

takiej koalicji. I nie ma też w rezerwie żadnej innej kombinacji zgodnej z demokratycznymi regułami gry. Nie można by się wykić żadnym prezydenckim „rządem fachowców”. Każda próba ruchu w tę stronę byłaby wyjściem poza demokrację, co Lech Wałęsa przyznał otwarcie powołując się na „wariant Jelcynowski”. Ale Warszawa nie Moskwa...

2. Zwycięstwo lewicy zostało przez pokonanych z koalicji rządowej skwitowane niezliczonym mnóstwem wypowiedzi i tekstów, które wszystkie dowodziły, że zwycięzcy prędko połamią sobie zęby, chcąc skonsumować własne zwycięstwo: niech tylko spróbują zrealizować przedwyborcze obietnice, a wybuchnie hiperinflacja, padnie złotówka, odwrócą się zachodni bankierzy i opustoszeją półki. Ta argumentacja i felietonistyka świadczyły w jakiejś mierze o stanie ducha odchodzącej ekipy, zwłaszcza jednak o kompletnym niezrozumieniu prawdziwej „struktury porażki”. Sądzę, że o tym trzeba koniecznie napisać nieco szerzej, gdyż skłonność do łatwych uproszczeń dominuje również w komentarzach, skądinąd obiektywnych. Otóż, według tych komentarzy, rząd pani Suchockiej przegrał w wyborach, ponieważ społeczeństwo (jego najliczniejsze warstwy) jest „po prostu” niezadowolone z ciężaru reform. Ale wystarczy zadać pytanie, dlaczego w takim razie nie wygrała „po prostu” prawica, jeszcze gwałtowniej krytykująca rząd, lub tak demagogiczne formacje jak wiele regionów NSZZ „S”, Samoobrona bądź Partia X — aby zauważyć, że niewątpliwie niezadowolone społeczne przełożyło się na opcje wyborcze w sposób wcale nie prosty. To, że sukces odniosły wszystkie listy zakwalifikowane w opinii jako lewicowe, nie dowodzi wcale, iżby lewica najgłośniej krzyczała albo najwięcej obiecywała: najgłośniej krzyczał Lepper, a najwięcej obiecywał prezydencki BBWR. Sądzę, że zwycięstwo lewicy nie jest skutkiem „po prostu” niezadowolenia z trudnych warunków socjoekonomicznych, lecz z powszechnego poczucia, iż te ciężary rozłożone są niesprawiedliwie, rząd zaś za tę niesprawiedliwość ponosi niemalą odpowiedzialność. Innymi słowy, pomściła się na odchodzącej ekipie owa wartość, którą tak chętnie odesłano na śmietnik historii: ileż to razy słyszało się i czytało ostatnimi laty, że „sprawiedliwość społeczna” jest wymysłem komunistów i szatańskim mamidłem! Jest zdumiewające, że nawet najinteligentniejsi rzecznicy „linii Balcerowicza”, krążąc wokół tego tematu, nie umieli się zdobyć na otwartą diagnozę. Bronisław Geremek w wywiadzie udzielonym Adamowi Michnikowi w

przededniu klęski (*Gazeta Wyborcza* z 16 września) raz jeszcze proklamował „zawodność podziału sceny politycznej wokół tradycyjnych pojęć prawica-lewica”, proponując w zamian tezę, iż „partie są zawieszane między nienawiścią a poczuciem braterstwa” i wyrażając tęsknotę za niegdysiejszą Solidarnością. Wypowiedź ta świadczyła niewątpliwie o złym samopoczuciu polityka i przynosiła zaszczyt jego wrażliwości moralnej. Ale w istocie rzeczy Bronisław Geremek mówił świeckim językiem to samo, co mówi dziś Kościół w Polsce dopatrując się w działalności charytatywnej jedynej odpowiedzi na niesprawiedliwość tego świata. To zresztą, że polski katolicyzm jest tak obcy własnej nauce społecznej, nie mówiąc już o teologii wyzwolenia, sprawiło, iż poczucie sprawiedliwości zagrało w wyborach również przeciw partiom katolickim. Myślę, że nawet ludziom bardzo wierzącym nadojadło już sprowadzanie moralności publicznej, tzn. etycznego aspektu społecznego współżycia Polaków, do walki z libertynizmem i prezerwatywą. Co powiedziawszy, trzeba od razu podkreślić, że w zwycięstwie lewicy w Polsce nie ma żadnej woli nawrotu. Każda z partii usilnie podkreślała w swym programie, że afirmuje gospodarkę rynkową, demokrację, wolności ludzkie i obywatelskie — i że bezpieczeństwa kraju dopatruje się w przynależności do paktu atlantyckiego i w instytucjach integracji europejskiej. (Nawet w SLD, co może być pewnym paradoksem, Jelicynowska rozprawa z „komunofaszyzmem”, nakazująca się spodziewać nawrotu autokracji i imperialnych tendencji w Rosji, „spowodowała gwałtowne przesunięcie szali na rzecz partyjnych *zapadników* z obozu Aleksandra Kwaśniewskiego.) Kiedy wielu wyborców lewicy, zwłaszcza wśród najstarszych i najmłodszych, podkreślało w dyskusjach przedwyborczych, że jednak w PRL leczenie i nauka były „za darmo”, to nie znaczyło to wcale, by tęsknili za przeszłością. Natomiast sygnalizowało niewątpliwie, że wyborcy ci odrzucają pewną kulturę, którą propagują, *explicite* lub nieświadomie, kolejne rządy reformatorów. Kwintesencją tej kultury, którą można nazwać kulturą radosnego liberalizmu jest szczególnie podział ludzkości na zaradnych i niezaradnych. Jest to, oczywiście, podział o zawrotnych wręcz koligacjach w dziejach myśli ludzkiej i nie podejrzewam bynajmniej jego najwymowniejszych rzeczników w rodzaju Jana Krzysztofa Bieleckiego, iżby sięgali po dzieła Darwina, Nietzschego czy Konrada Lorenza. Niemniej, niezależnie od lektur, podział ten dostarcza swoim adherentom niezwykle poręcznego i nadzwyczaj wszechstronnego instrumen-

tu kwalifikowania świata ludzi: osobników, grup, narodów i ras — a także wszelkich instytucji, które człowieka wychowują: rodzin, szkół, systemów zarządzania i systemów rządzenia. Wszystko mierzy się zaradnością i niezaradnością. W szczególnych warunkach polskich zaradność tę tłumaczy się jako przedsiębiorczość. Podobno nawet w walce z bezrobociem najważniejsza jest... przedsiębiorczość bezrobotnych. Kiedy zaś trzeba było jakoś pogodzić absurdalny pomysł prezydencki 300 milionów na głowę z kanonami gospodarki, bystrzak Olechowski też sięgnął po przedsiębiorczość: po 300 milionów dostałyby tylko przedsiębiorcze głowy... Wygląda to wszystko na kpinę i karykaturę, ale zachęcam do codziennej lektury gazet: można się bez trudu przekonać, że ludzkość dzieli się, jak pociąg, na dwie klasy, zaradnych i niezaradnych. Niezaradni są zakałą swoich rodzin i narodów. Ale nie trzeba tracić nadziei: albo się w końcu nauczą albo wyginą.

Tę właśnie kulturę odrzucili wyborcy.

3. Trudno w tej chwili — jest 12 października — pisać o bilansie zamknięcia ustępującego rządu czy o bilansie otwarcia nowego. Raport gabinetu Suchockiej jest gotowy, ale jeszcze nie opublikowany, ocena ekspertów trzech partii aspirujących do nowej koalicji jest zbyt fragmentaryczna i, jak podkreślają sami autorzy, zbyt słabo udokumentowana z braku dostępu do wielu źródeł rządowych, by mogła uchodzić za ostateczną. Wiadomo już jednak, że oba bilanse różnią się, w kilku istotnych punktach, również co do faktów. Rząd Suchockiej twierdzi, że Polska jest już zdecydowanie na drodze wzrostu, choć przedwyborcze radosne oceny min. Kropiwnickiego z CUP zostały stonowane. Niedawna opozycja skłonna jest dopatrywać się w znacznej części wskaźników wzrostu skutku statystycznych cudów. Jakoż istotnie GUS jest bardzo źle uzbrojony, gdy chodzi o sytuacje dużej zmienności profili produkcyjnych, układów kooperacyjnych, struktur organizacyjnych przedsiębiorstw. Inna istotna rozbieżność co do faktów dotyczy tzw. szarej strefy. Ekonomisci liberalni w rodzaju prof. Beksiaka skłonni są przypisywać szarej strefie niebywałe osiągnięcia w wytwarzaniu dochodu narodowego, miejsc pracy itd., ich zdaniem Polska dzięki szarej strefie wytwarza nawet o 30% więcej niż podaje statystyka i ma odpowiednio mniejsze bezrobocie. Ekonomisci lewicy kwestionują tę optymistyczną ocenę i szarej strefie przypisują głównie pasożytnictwo... Choć jednak ustępujący rząd jest o wiele bardziej zadowolony ze swych osiągnięć niż jego następcy



uznają za zasadne, obóz pani Suchockiej, mimo całej frazeologii liberalnej, też już przyznał konieczność interwencji państwa, aktywnej polityki przemysłowej i fiskalnej itd. Tadeusz Syryjczyk, główny myśliciel ustępującego gabinetu, nie powtórzyłby już swej diatryby z czasów, kiedy ministrował w przemyśle u Mazowieckiego: „najlepszą polityką przemysłową jest nie mieć polityki przemysłowej”. Niektóre programy odchodzącego rządu, jak np. program walki z bezrobociem przyjęty 14 września z podpisem v-min. Boniego, są recenzowane z uznaniem przez ekspertów nowej ekipy. Z drugiej strony nie jest też wcale prawdą, iżby zwycięska lewica złożyła wyborcom bezmiar obietnic bez pokrycia. W programie Unii Pracy podkreśla się np, że „żadna polityka nie jest w stanie zagwarantować natychmiastowej likwidacji bezrobocia, skokowej poprawy sytuacji materialnej. Bezwzględnie konieczne jest skierowanie dużej części dochodu narodowego na rozwój”. Podobne „zabezpieczenia” zawarte są w programie SLD. Faktem jest natomiast, że odmienne są proponowane przez obie strony polityki gospodarcze. Jak to sformułował Ryszard Bugaj, nie więcej obietnic złożyła Unia Pracy wyborcom niż Unia Demokratyczna — lecz inne. W istocie rzeczy, odmienność ta wiąże się z takim oto pytaniem: czy możliwe jest kontynuowanie reform prorynkowych ze wsparciem społecznym zasadniczo lepiej zrównoważonym niż dotychczas? Innymi słowy, czy możliwa jest polityka pozwalająca ludziom pracy wspierać rozwój gospodarki rynkowej jako korzystny również dla nich, czy też rację ma Jan Maria Rokita głosząc potrzebę wielkiej partii porządných mieszczan jako jedynej politycznej bazy reform. Jeśliby zaś rację miał Rokita, to słuszny byłby także forsowny konstruktywizm społeczny, kreujący nową klasę kapitalistów jak najszybciej i za wszelką cenę; tymczasem za cenę rozdawnictwa majątku narodowego, a gdy będzie trzeba, to także „wariantem Jelcynowskim”, za cenę demokracji. (W następnej *Kulturze* postaram się przedstawić szerzej ten dylemat w omówieniu dwóch ważnych publikacji z ostatnich dni: Karola Modzelewskiego „Dokąd od komunizmu?” oraz Włodzimierza Pańkowa „Instytucje pracy w procesach transformacji”). Zadanie nowego rządu jest więc dramatycznej wagi. Pierwszym warunkiem sprostania mu i zarazem pierwszym sygnałem, że zostało istotnie podjęte, musi być nowy styl sprawowania władzy, radykalne usprawnienie najpierw kluczowych ogniw (Sejmu, URM, sądownictwa, prokuratury, służb podatkowych i celnych) i samorządność autentyczna zakorzeniona w społecznościach lo-

kalnych, nie zaś w urzędniczych elitach choćby nazywanych samorządowymi. Co warte są w tym sensie samorządy gminne, przekonamy się przy wyborach na wiosnę. Władza samorządowa tym przecież różni się od innych administracji, że nie wystarcza, by zaświadczenie dobrej pracy wystawiała jej Warszawa, władzę samorządową weryfikuje zainteresowanie jej wyborców...

Wypada mieć nadzieję, że formująca się nowa koalicja ma świadomość stawki, o którą toczy się gra. Dostała wyraźny mandat od wyborców i nie wykręci się od odpowiedzialności.

Warszawa, 12 października 1993

Krzysztof WOLICKI

## Kartki ze skażonej strefy

### MY Z BLOKOWISK

Gdy Tadeusz Mazowiecki ogłaszał swoją grubą kreskę, byłam z nim. Miał za sobą entuzjazm większy niż Papież przy wyborze, czy Gomułka w Październiku. Ale — czy nie powinien był za jednym zamachem przekreślić również komunistycznej prywaty? Czy nie powinien powiedzieć: „Odcinamy się od przywilejów dawnej władzy, a na potrzeby centralnych instytucji — w odróżnieniu od poprzedników — będziemy czerpać z budżetu najskromniej i wylizywać się z każdego grosza. Pasa zaciskać będziemy razem z wami...” Nic takiego się nie stało, choć ludzie czekali na taki gest jako na naturalną konsekwencję zmiany ustroju. Natomiast natychmiast pojawiło się słowo „populizm” w odpowiedzi na próby krytyki.

Obawiam się, że brak wówczas tych słów ze strony obejmujących rządy, i idącego w ślad za tym postępowania, nie tylko pozbawił nas dobrego przykładu płynącego z góry, którego wychowawczy wpływ na odbudowywanie postawy obywatelskiej trudno wprost przecenić, ale że stała się rzecz gorsza: to wtedy rozpoczął się proces odsuwania się społeczeństwa od tych, których z takim zapałem uznano dopiero co za swoich reprezentantów. Zważywszy choćby jeden fakt, że od

czasów premierostwa Mazowieckiego wydatki na sejm, senat, URM i Belweder zamiast maleć wzrosły w widoczny sposób, to trudno się dziwić, że ludzie powoli poczuli tę władzę widzieć jako nieswoją. Ostatnia podwyżka „budżetówki” wprowadziła krzyczący dysonans między administracją państwową, a całą resztą. Parę milionów złotych więcej dla ministra czy posła, może to niewiele, ale jeżeli nauczyciel czy lekarz dostaje równocześnie tylko 150 tysięcy miesięcznej podwyżki, to czy można się mu dziwić, że nie zagłosuje na tę ekipę? Co zostało dowiedzione.

Przy wszystkich niekwestionowanych osiągnięciach nowej władzy zabrakło czegoś niezmiernie ważnego — świadomości, że rządzący muszą być skromni, otwarci, a ich zarobki czyste jak łąka i zharmonizowane ze średnią krajową. Kto zaś ceniliby wyżej pieniędzy nad słodycz władzy, niechby poszedł do biznesu. Droga wolna. Nie poszli. Zasmakowali we władzy i pieniądzu, a może raczej, powielili komunistyczny styl życia: profity, udogodnienia, „chody” i przejażdżki po świecie w komfortowych warunkach, a teraz, z poczuciem misji na dodatek.

Natomiast pojęcie „gospodarność” nie pojawiło się w poważnej tonacji nawet w retorycznym wielosłowniu polityków, tym mniej, w praktyce. Gospodarność, co prawda nigdy przez Polaków nie ceniona, ale dziś, po Wielkim Zburzeniu — bezcenna, została zepchnięta do rzędu drobnych harcerek inicjatyw, typu zbieranie makulatury czy butelek. Nie tylko nie dostrzeżono jej pragmatycznego waloru, ale co ważniejsze, istotnej funkcji w przemianie mentalności „człowieka z blokowisk”, czy jak kto woli, *homo sovieticus*: jego straszliwej bierności, gdy w masie, którego dewizą do dziś pozostaje hasło: „czy się stoi, czy się leży, dwa tysiące się należy”. Zapomniano, że na nic zda się przekręcenie gospodarczej wajchy w makroskali, jeżeli nie będzie miała ona przełożenia na szeregowe głowy ludzkie. Zapomniano, że jeżeli przez 45 lat pracowano nad nami usilnie, żeby w nas wykorzystać elementarne pojęcia społeczeństwa obywatelskiego, aby w ich miejsce wmontować „ducha dewastacji” i „urawniłowki”, to trzeba to teraz pieczołowicie odkręcać. Nowym władcom zabrakło po prostu wyobraźni.

I stało się.

### NA SZMELC!

O trwałości zakorzenienia starych nawyków w mikroskali przekonałam się całkiem świeżo, gdy w związku z wyprowadz-

ką, funkcjonariuszki ze spółdzielni mieszkaniowej zabrały się do wyceniania mojego blokowego mieszkania. Wszystkie moje kilkudziesięcioletnie wysiłki, żeby lokal „nie dla ludzi” jakoś uzdatnić do życia, zostały przekreślone jednym słowem: „zburzyć”. Mieszkanie ma powrócić do stanu pierwotnego. Po usłyszeniu tego werdyktu poczułam przyływ uczucia towarzyszącego mi przez całą PRL — tłumionej agresji i potrzebę odwetu.

### JAK TO SZŁO

Odwet na swój niewymyślny sposób brałam na ustroju od młodości: jeździłam na gapę, wynosiłam z pracy przybory piśmienne, a gdy w sklepach zaczęło brakować żarówek i papieru toaletowego, ściągałam te przedmioty w miejscach publicznych. Prócz doraźnego pożytku kradzieże te dawały mi cichą satysfakcję, że choćby w ten drobny sposób odbijam sobie część krzywdy.

Bo poczucie krzywdy — to, że ja jestem tu okradana — miałam bardzo silne, choć nie sprecyzowane. Wiem, gdzieś tam sączyła się nitka opozycji, ale wysoko i daleko, niedostępna ogółowi. Gdy po latach głośny stał się KOR, pierwszym moim uczuciem była zazdrość, że istnieje grupa tak zintegrowana i o tak jasnym celu. My, szaracy, byliśmy w rozsypce, solidarni jedynie w poczuciu doli bez wyjścia i w ponizającym przekonaniu, że każdy musi coś dla siebie bezustannie wrywać.

Nie zdawaliśmy sobie sprawy, że swoją postawą realizujemy filozofię Hilarego Minca, twórcy nie tylko komunistycznej gospodarki planowej. Obliczył on, co prawda, że daleko taniej wypadnie władzy, jeśli ludzie będą kraść niżby im godziwie płacić, ale również — co daleko ważniejsze — stworzył w ten sposób podwaliny pod typ nowego człowieka, którego ksiądz Tischner określił po latach mianem *homo sovieticus*.

Wyrzebiono w nas skutecznie pojęcie własności prywatnej i związku przyczynowego między podatkami a dochodem narodowym; nauczono, że wszystko, co nas otacza: mieszkania, osiedla, drogi, lasy, rzeki, auta, restauracje należą do władzy. A jeśli tak, to cóż nas obchodzi stan otoczenia?! Gra więc szła nie o udział we wspólnym dobru, jakim jest państwo, ale o wysokość tego, co spadnie z pańskiej łaski, czyli tak zwanych obrywów.

Do podstawowych „obrywów” należały zawsze mieszkania. Nie można ich było w PRL kupić, można je było dostać.

Obojętnie, czy pod szyldem „kwaterunku”, czy „spółdzielni mieszkaniowej”.

### POWIEDZ MI, JAK MIESZKASZ, A POWIEM CI, KIM JESTEŚ

Rodzaj mieszkania określał pozycję człowieka. Władza mieszkała najlepiej, swoim rezydentom podporządkowywała bieg lasów i rzek; potem szli niżsi w piramidzie funkcjonariusze. Z wolnych zawodów nie najgorzej mieszkało się artystom. Totalitaryzm potrzebuje piewców, toteż starano się ich sobie zjednywać. Aktorka szła do ministra kultury bez futra (też były reglamentowane) i bez mieszkania, wychodziła z futrem i nakazem mieszkaniowym. Bo nazywało się to „nakaz”. Mieć nakaz mieszkaniowy — to było to! Podobnie jak mieć etat. Bez mieszkania i bez etatu — nie byłś pełnoprawny, byłeś trędowaty; omijano takich. Ludzie trzymali w tajemnicy nawet odmowę paszportu.

### DWA OKRĘTY KAWY

Siermiężny Gomułka zgorszył się kiedyś faktem picia kawy przez Polaków. Imperialistyczna fanaberia; nie dość że szkodzi, to jeszcze, jak się dowiedziałem — mówił — trzeba ją sprowadzać z ciepłych krajów. „Podano mi, że do Polski przyplęły dwa okręty kawy...” — grzmiał oburzony.

Gorszyły go też mieszkania z wygodami, czyli z łazienką i ubikacją każde. Przymierzano się więc na serio do budowy slumsów z jednym zbiorowym szaletem na każdej kondygnacji. Nie zdążono, bo Gomułkę zdjęto, ale odpryskiem tych tendencji pozostają w blokowiskach ślepe kuchnie, czyli bez okien.

### DRUGA JAPONIA...

...wprowadziła się do Polski fabrykami domów. Inwestycja lat siedemdziesiątych, równie poroniona jak Port Północny czy Huta Katowice oraz wszystkie zakupy Gierka.

Wkrótce pejzaż polski zapełnił się furgonami, pod których ciężarem gięły się asfalty. Przewoziły na miejsca budowy, ustawione w charakterystyczną piramidę, gotowe elementy domów; pospiesznie następnie kleconych i oddawanych lokato-

rom, których nazywano teraz członkami spółdzielni mieszkaniowych. Kraj „zaludniły” wielkie, koślawo spajane, betonowe baraki, stojące luźno na nigdy nie zagospodarowanych rumowiskach. Balkony stały się natychmiast spiżarniami, a na poręczach zawisły pierzyny, pieluchy i wszelkie pranie. Polska została pokryta kwartałami betonowych kłoców, zupełnie identycznych, które co jakiś czas urozmaicał bunkier z wysokim kominem jak krematorium, mieszczący sklep wielobranżowy i knajpę zwaną, nie wiedzieć czemu, gospodą ludową. Żadnego miasta czy miasteczka nie ominęły osiedla z wielkiej płyty; historyczne podkrakowskie Bronowice stały się wzorcowym blokowiskiem. W dużych miastach owe kamienne pustynie wtopiły się jakoś w plataninę ulic, a miłosierna topola, rosnąc szybko na byle jakim gruncie, zakrywała latem szpetotę murów. W wiejskim pejzażu straszą oko i stanowią trwałe znak czasów, bo nie można ich wysadzić w powietrze jak pomniki Lenina, Stalina czy Dzierżyńskiego.

Staliśmy się wszyscy ludźmi z blokowisk, i być może, jedynie starym babciom, przeniesionym tu gwałtem z wiejskich chat i siadającym uparcie przy odrapanych wejściach do bloków jak na przyzbie na wyniesionych krzeselkach, może jedynie im, udało się zachować ciągłość i chronić od skażenia.

### SAMOTNOŚĆ ZA PRZEPIERZENIEM

Wprowadziłam się na Czerniakowską za późnego Gomułki, kiedy jeszcze nie zatłuczono tu do końca charakteru dzielnicy. Bezzębne Czarne Mańki ściągały jeszcze do knajpy na Podchorążych, gdzie szefowa nożem ścinała pianę z kufla, wokół stały pojedyncze wielkie drzewa, jak posągi z przebrzmiałej epoki, pozostałość przedwojennych ogrodów, a niespożyte źródelka z prakoryta Wisły — mimo zalewu nieczystości, śmieci i gruzu — strzelały rokrocznie bujnością traw i kumkaniem żab.

Ale i temu dano radę w myśl niezawodnego hasła: „przyjdzie spychacz i wyrówna”. Wyrównał.

Wkrótce w tym naturalnie zdrowym środowisku, które powinno być chronione jako płuca miasta — stanęły dziesięciopiętrowe korytarzowce, z jedną klatką schodową do 143 mieszkań, w których żyło około 500 ludzi. Przy pożarze czy wybuchu gazu, zdarzających się regularnie, nikt nie miał szans.

Administracja osiedlowa puchła szybciej niż rosły osiedla. Zsyłano tu na ciepłe synekury nieudanych aparatczyków, ich

żony i pocioty. Ludzi do roboty ściągnano z podwarszawskich biedniackich wsi. Stali się wkrótce niemal socjologicznym wzorcem mechanizmu popadania w zależność alkoholową. Presja środowiska: „jak nie pije, to kapuś” — i szok nieprzystosowania robiły swoje. Im wrażliwsi, tym szybciej się staczali. Do dziś snują się po osiedlu wraki tych ludzi, wysiadują w pokrzywach, z butelką płynu hamulcowego, wody brzozonej czy „denaturu”... Pito wszędzie. Stolarnie, remontownie i mieszkania stały się wkrótce melinami, a zanieczyszczane windy ich żywym świadectwem. Publiczny fakt, że służby blokowisk są wylęgarnią alkoholików, był objęty ścisłą cenzurą. Podobnie, jak idące z tym w parze — potworne marnotrawstwo i niechlujność roboty.

Gdy u zbiegu Marszałkowskiej z Alejami Jerozolimskimi Szwedzi zaczęli stawiać punktowiec hotelu Forum, patrzyliśmy szeroko otwierając oczy, tak bardzo ten klinicznie czysty i ekonomiczny styl pracy odbiegał od choćby pobliskiej budowy Dworca Centralnego, przypominającej przez lata przyfrontowe okopy.

Żyliśmy wszyscy w wiecznych okopach (bo nim się rurę wstawiło, już pękła), wśród których snuły się rozpijaczony brygady remontowe — stając coraz bardziej zgorzkniali i utwierdzeni w postawie niezmienności sytuacji.

Powracając do domu, gdy ogarniałam wzrokiem i węchem zatłoczone brudną szmatą drzwi wejściowe, sień jak szalet miejski, szczyrzy zapach ze zsypu na śmieci, odpadającą płatom farbę ze ścian, wypaczone, pozamykane na wielkie kłody, puszki instalacyjne, robione ręką partacza, otóż wówczas ogarniała mnie sadomasochistyczna frajda: „proszę, jak nas urządzono...” Przez myśl mi nie przeszło, że może by tak samemu zakasać rękawy i coś z tym uczynić...

Czy wszyscy my, czekający na windę, myśleliśmy podobnie? Milczeliśmy; czasem ktoś burknął: „skaranie Boskie” — coraz bardziej zamknięci w swojej samotności.

Człowiek z naszego bloku rzucił się raz z klatki schodowej, wybijając ciałem daszek nad wejściem. Daszek załatano, ale pręt wspierający pozostał wygięty, stając się widomym symbolem tej tragicznej samotności. Samotności za bardzo cienkimi ścianami, przez które przenikał dźwięk radia i telewizji, rodzinnych kłótni i spuszczenia wody. Ale nie przenikała rozpacz.

Czasami widywałam trumny niesione z mozołem po wąskich schodach na pasach — windy ich nie mieszczą, podobnie jak noszy. Mojego męża z zawałem sanitariusze trzymali pod pachy w pionie, a mamę zwieźliśmy na krzeselku,

które natychmiast, niemal spod niej — skradziono.

### LUDZKI ŁĄCZNIK...

...stanowiły na naszym osiedlu psy. Było coś z odruchu samoobronnego w fakcie, że prawie wszyscy w swoich mikroskopijnych kłitkach trzymaliśmy te zwierzęta. Łączyła nas solidarność psiarzy, których wiąże tajemnicza nić. Psiarze znali się po imionach swoich zwierząt. Mój mąż mówił: „pani od Azy, pan od Draba”, a i jego rozpoznawano po naszym Merdku. Kiedyś dziecko, zobaczywszy męża w telewizji, zawołało: „mamo, mamo, pan Merdek w telewizorze!”.

### SUWERENNI, ALE ZALEŻNI

Przyszła wreszcie czas, że mogliśmy „ująć sprawy we własne ręce”. My, z blokowisk, mogliśmy się uwolnić od naszej fikcyjnej, pozorowanej spółdzielni i utworzyć własną, prawdziwą. Nic nie stało na przeszkodzie — prócz naszej niemocy. Samorządność jest fatygująca, czego nie przewidzieliśmy, jak nie przewidział tego minister Reguński, obwieszczając, że w dzień po ustawie o samorządach obudzimy się w innej Polsce. Nie obudziliśmy się. Nie przewidział, że samorządność musimy mieć w głowie, nie tylko na papierze.

Toteż i my, w blokach, pohałasowaliśmy trochę, wiecując na klatkach, powstał nawet KOR, czyli Komitet Obrony Ruiny, czym cieszyliśmy się, głównie ze względu na polityczne skojarzenia, i... pokrzyżawszy, rozeszliśmy się po domach.

Przerażony na początku naszymi ruchami personel Osiedla, szybko się uspokoił i jeszcze mocniej osadził w siodle. Gdy kiedyś, w sporze z Działem Technicznym (nie przysyłałi hydraulika do cieknącej rury, a mnie się spieszyło, bo jechałam za granicę); otóż gdy wtedy ośmieliłam się przypomnieć kierownikowi, że ich pensje zależą od mojego komornego, usłyszałam: „no, no, jeszcze słowo, a w ogóle pani za tę granicę nie wyjedzie...”.

### HOMO SOVIETICUS Z ZAMUROWANĄ PAMIĘCIĄ

W heroiczno-entuzjastycznym okresie zachłystywania się wolnością *homo sovieticus* odezwał się w nas na godną czasów skalę. Bo czymże jak nie jego wykwiem była działalność duetu Bagsik-Gąsiorowski, oszwabiająca raczkującą polską ban-

kowość? Czymże fortuny, robione z prawa i z lewa, przez ludzi tak z nomenklatury jak i z Solidarności, spekulujących na dziurawym prawie? Czymże wreszcie rozjeżdżanie tabunami po świecie ciał ustawodawczych i wykonawczych? Nadal kierowała nami zasada: rwać do siebie, co się da — tylko dziś okazja była większa.

W tym czasie zamieściłam felietonik w *Gazecie Wyborczej* pod tytułem: „Czyje jest MZK (Miejskie Zakłady Komunikacyjne — przyp. E.B.), nasze czy ich? Jeśli ich, można nie płacić”. Podobnie jak w niniejszym tekście, pisałam w pierwszej osobie, zwierając się ze swoich drobnych kradzieży mienia publicznego gdyż, jak dowodziłam, zostały w nas wytrzebione elementarne cechy obywatelskie. Liczyłam na odzew czytelników. Był. Pełen świętego oburzenia. Prócz listów, jakie otrzymałam niezależnie od tematu, w rodzaju: „dla mnie nie jest pani ani Polką, ani katoliczką, jest pani zwykłą szmat-warstwą, która nie warta wzroku. A co do pani nazwiska, to też mam wątpliwości, jeśli ono prawdziwe...” Otóż prócz takich zwykłych listów, ludzie tym razem napisali, że sobie wypraszają, że sobie nie życzą. W nich ustrój niczego nigdy nie wytrzebił. Zawsze wiedzieli, co i jak, umieli się godnie zachować i sumienie mieli zawsze w najwyższym porządku. Nikt nie należał do „przewodniej siły narodu” czy ZMP, nie śpiewał i nie klaskał na cześć...

Z podobnym oburzeniem spotkał się wkrótce potem ks. Tischner, kiedy po raz pierwszy nazwał po imieniu: *homo sovieticus*.

Chcę być dobrze zrozumiana: nie utrzymuję, że wszyscy zostaliśmy skażeni. Tak nie było, co poświadcza historia. Chcę tylko zwrócić uwagę na ludzką krótkowzroczność i zanik pamięci, której utrata może być zgubna — czego historia też dowiodła.

Myślę o tym, patrząc na to, co się dzieje w szerszym planie, ale również bliżej, choćby, na przykład, na wspomniany tu na wstępie dewastacyjno-rewolucyjny zapal dwóch lustratorów mojego blokowego mieszkania. Za chwilę, niewykluczone, usłyszę jak za dawnych lat, z ulic, biur i urzędów, złowróbne: „władza się nie podoba, co...?”

Tak więc, w blokowiskach po staremu. Psy tylko poznały.

## Sąsiedzi

### Notatki rosyjskie

W jednej z poprzednich moich „Notatek” zacząłem od konstatacji: „Poprzedni miesiąc przyniósł wiele ważnych wydarzeń. Większość z nich nie była niespodzianką”. Obecnie należy zacząć tak: poprzedni miesiąc przyniósł nam dwa wydarzenia grożące ważnymi skutkami i oba były niespodzianką. Pierwsze wydarzenie to wybory w Polsce. Niewątpliwie były przypuszczenia, wszyscy podejrzewali, że wybory wypadną źle, ale w głębi duszy mało kto w to wierzył; wydawało się nieprawdopodobnym aby Polacy, tak namiętnie nienawidzący „komuchów” i „czerwonych” na nich głosowali. Puczu w Moskwie zaczęto się spodziewać zaraz po zdławieniu „wystąpienia” w sierpniu 1991 r. W sierpniu br. Borys Jelcyn co prawda uprzedził, że „wrzesień będzie gorący”, ale zbrojnego buntu nikt nie oczekiwał.

Obie „niespodzianki” są ze sobą związane. Zwycięstwem „neokomunistów” w Polsce dodało odwagi „starym” komunistom w Moskwie. Rosyjscy komuniści okazali się głębsi (albo uczciwsi?) od polskich towarzyszy: nie zaczęli zmieniać nazwy partii, nie odżęgnywali się od hasła leninowsko-stalinowskich, obiecywali oni nie wyjście w nieznane jutro, a powrót do znanego, bezpiecznego wzoru. Niechęć przebrania się, zmieniania wytartych na łokciach i kolanach komunistycznych kostiumów na dzinsy i *T-shirts*. Nie mieli zbyt wielu zwolenników, ale „druga szansa” w Polsce zmusiła Moskwę do zastanowienia się i do ryzyka.

Dzisiaj wiele mówi się o tych, którzy przewidzieli (lub nie) przyszłość, upadek komunizmu albo jego renesans. Niewątpliwym prorokiem, człowiekiem, który zrozumiał najważniejsze, był Józef Mackiewicz. Jestem przekonany, że dla niego powrót do władzy neokomunistów nie byłby niespodzianką. Głosowanie na listę Kwaśniewskiego potwierdziło główną tezę Mackiewicza: komunizm wywołał u Polaków różnego rodzaju wrogie nastroje,

nie dlatego że był komunizmem, ale dlatego że był przyniesiony na bagnetach rosyjskich. Był przyjmowany jako wariant rosyjskiego imperializmu.

Historia lubi żartować: w dniu, w którym ostatni rosyjski żołnierz opuścił Polskę, Polacy przywrócili do władzy przemianowanych komunistów. Nie twierdzę, że Polska wraca do starego reżimu, że do władzy przychodzą dzieci Jaruzelskiego, które niczego się nie nauczyły. Rezultaty polskich wyborów wymagają beznamietnej analizy, przyczyny zwycięstwa „neo”. Trzeba zwrócić uwagę na dziwny od pierwszego spojrzenia fakt: komuniści („neo”) wrócili do władzy również na Litwie. Dlaczego była Rzeczpospolita — najbardziej zachodni zakątek byłej sowieckiej strefy — dała drugą szansę byłym gospodarzom? Wśród ważniejszych powodów jest sowietyzacja Polaków, do której oni za nic nie chcą się przyznać. Niedługo będzie ćwierć wieku jak piszę o tym na stronkach *Kultury*, wywołując jako zasadę ostre sprzeciwy czytelników. „Sowietyzacja” — proces formowania człowieka, który czuje się w domu w komunistycznym systemie — powstała wszędzie gdzie komuniści byli u władzy. System zsovietyzował Chińczyków i Rosjan, Niemców i Albańczyków, Polaków i Węgrów.

Z tą tezą nikt nie chciał (i nie chce) się zgodzić, gdyż sowietyzację przyjmuje jako synonim rusyfikacji. Rzeczywistość potwierdziła hipotezę. Sowieccy ludzie, jakiegokolwiek by byli narodowości, wyrzuceni na autostradę prowadzącą do kapitalizmu, poczuli się sierotami bez dobroczynnego państwa, które wraz z partią nimi się opiekowało.

Podziemny wstrząs w Polsce odezwał się trzęsieniem ziemi w Moskwie. 21-go września Borys Jelcyn ogłosił rozwiązanie Rady Najwyższej i wyznaczył wybory do parlamentu na 12-go grudnia, a prezydenckie na 12-go czerwca 1994. Akt był niekonstytucyjny, gdyż według konstytucji Republiki Rosyjskiej prezydent nie ma prawa rozwiązywać Rady Najwyższej, którą ta sama konstytucja uważa za najwyższy organ w kraju. Ale z drugiej strony istotne interesy państwa domagały się rozwiązania konfliktu, który nie pozwalał żyć Rosji.

Prawnicy amerykańscy, którzy mogą wszystko uzasadnić, zwolennicy Jelcyna i demokracji, znaleźli wygodną formułę: prezydent Rosji naruszył legalność, ale ocalił legitymizm. Ten pogląd szybko rozprzestrzenił się we wszystkich *mass-mediach* — legitymizm Borysa Jelcyna był powyżej legitymizmu Rady Najwyższej, gdyż Jelcyn był wybrany w powszechnym głosowaniu, a Rada Najwyższa nie bardzo. W rzeczywistości zarówno Rada Najwyższa jak i prezydent byli wybierani jednakowo, swobodnie, z licznymi listami i taką samą najbardziej demokratyczną drogą. Stopniowo jednak Rada Najwyższa przekształcała się w organ opo-

zycji i barierę zagradzającą wszystkie drogi do reform.

Decyzja Jelcyna była nieunikniona również dlatego, że wszystkie próby znalezienia kompromisu nie udały się. Główną przeszkodą były nie programy czy idee, ale osobiste nienawiści, nie pozwalające żadnej ze stron na najmniejsze ustępstwa. Przypadek dał mi możliwość przekonania się o tym naocznie. Na drugi dzień po wystąpieniu Jelcyna miałem pojechać do Moskwy z grupą Francuzów. W ostatniej chwili telefon od zapraszających odwołał wyjazd. Głosy moskwiczan wydały mi się dziwne, pełne niepokoju. Ponieważ byli to ludzie prezydenta, mogło się więc wydawać, że jego sytuacja jest zachwiana. Byłoby to jednak jeszcze dziwniejsze, gdyż to on właśnie zrobił pierwszy krok. Po dwóch dniach zostaliśmy powiadomieni, że możemy jechać gdyż gospodarze gotowi są nas przyjąć. W drodze z lotniska do hotelu objechaliśmy Biały Dom okrążony — tak, jak to pokazywały fotografie we wszystkich gazetach: spontanicznymi obrońcami i łańcuchem milicjantów. Wokoło budynku stały niewielkie grupy moskwiczan. Pierwsze wrażenie, które potem się potwierdziło: miasto całą tą historią nie interesuje się i jest całkowicie spokojne.

Etapy przygotowywanej operacji były dla mnie jasne jeszcze przed wyjazdem. Przede wszystkim prezydent zatelefonował do prezydenta: Jelcyn do Clinton. Potem Borys Jelcyn pojechał do dywizji Spraw Wewnętrznych, która zachowała nazwę świętego patrona KGB — Dzierżyńskiego. Potem prezydent przeprowadził zmiany w administracji: miejsce pierwszego wicepremiera zajął niedawno zdjęty ze stanowiska premiera Jegor Gajdar. Jego poprzednik, Oleg Łobow, reprezentował neokonserwatywną (jak to określają w Moskwie) pozycję w dziedzinie reform ekonomicznych, a Gajdar neoliberalną. Pojawienie się Gajdara miało na celu uspokojenie międzynarodowej finansjery. No, ale Łobow, najwierniejszy z wiernych, towarzyszący Jelcynowi od czasów Swierdłowska, nie zniknął. Objął on stanowisko, o którym nie pisze się w gazetach, ale które daje człowiekowi, który je zajmuje, ogromną władzę w kraju. Oleg Łobow był mianowany sekretarzem Rady Bezpieczeństwa. Przewodniczącym Rady jest prezydent a do jego funkcji należy kontrola najważniejszych ministerstw, tj. poza armią, Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i KGB oraz koordynacja ich działalności.

Z rozmów z Olegiem Iwanowiczem, którego spotykałem jeszcze nim został „trzecim pod względem znaczenia człowiekiem w państwie” (po prezydencie i premierze), odniosłem wrażenie, że Jelcyn dokonał swojego państwowego przewrotu stanowczo licząc na dokonanie go drogą pokojową. Były poważne tego przyczyny. Była (o tym się nie mówiło, ale dawało się do zrozumienia) konieczność zachowania wobec Zachodu demokra-

tycznego charakteru przemian. Ale było również nieukrywane przekonanie, że decyzja Jelcyna narusza prawo. To przekonanie wyrażali liczni moskwiczanie: no właśnie, zaczęli tworzyć państwo prawa, a sami naruszają konstytucję, chociaż breżniewowską. Oprócz tego przywódcom przewrotu wydawało się, że zwycięstwo będzie łatwe. Z rozmów zrozumiałem, że w krańcowym wypadku ludzie prezydenta liczyli na „ludzi prezydenta” w Białym Domu. Rozumieli to i przeciwnicy prezydenta. 26-go września bardzo poczytna w sferach rządowych gazeta, *Moskiewski Komsomol*, jedyna, która ukazała się w niedzielę, doniosła, że Aleksander Ruckoj wymyślał parlamentarzystom, którzy chcieli usunąć Chasbułatowa, i był bardzo niezadowolony z departamentu ochrony Białego Domu, który jak mówił jest „na wpół pijany” i dawno przekupiony.

Historia rozpaczliwego wypadu obrońców Białego Domu i ich próba opanowania stacji telewizyjnej jest, jak dotąd, bardzo niejasna. Konflikt prezydenta z Radą Najwyższą, który trwał od dwunastu dni, wymagał rozwiązania. Były trzy warianty. Pierwszy pokojowy — kompromis. Ten wydawał się możliwy, gdyż ostatecznie spór dotyczył tylko terminu wyborów. Sama Rada była gotowa się rozwiązać. Jej członkowie chcieli tylko, by wybory odbyły się równocześnie z wyborem prezydenta. Drugi wariant: w Moskwie przypomniano sobie o „okrągłym stole” i zaproszono, w charakterze pośrednika, patriarchę. Rokowania miały miejsce w tym momencie, kiedy gen. Ruckoj wysłał swoich różnorodnych stronników do ataku na Moskwę. Trzecim wariantem było zaatakowanie Białego Domu, ale — jak już zaznaczyłem — początkowo to wykluczano. Zestawienie tych dwóch wariantów było być może prowokacją, ale to jest tylko przypuszczenie oparte na tym, że osobiste stosunki między generałami Chasbułatowa: Ruckojem, Aczałowym — ministrem obrony, Makaszowem (naczelnikiem ochrony) — a ministrem spraw wojskowych, Pawłem Graczowem, były tak nienawistne, że Biały Dom nie mógł liczyć na przejście armii na jego stronę.

Pomijając szczegóły „bitwy o Moskwę” (czegoś podobnego stolica nie widziała od czasów października 1917 r.), można stwierdzić rzecz najważniejszą: Borys Jelcyn dokonał antysowieckiego przewrotu. Jego działalność spowodowała likwidację sowieckiej struktury władzy, która została na miejscu po likwidacji kompartii i Związku Sowieckiego. Do systemu rad przeszli partyjni urzędnicy zatrzymując w swych rękach dużą część władzy. W czasie wojny o Biały Dom dużo mówiło się o regionach — 88 jednostek administracyjnych tworzących Federację Rosyjską. W regionach również panowało dwuwładztwo. Rady istniały obok przedstawicieli prezydenta. Po wystąpieniu Jelcyna 21-go września przyniatająca większość lokalnych rad wypowiedziała

się za Radą Najwyższą. Wszyscy — z wyjątkiem jednego — przedstawiciele prezydenta podtrzymali swego patrona.

Regiony nie przestawały dążyć do rozszerzenia swojej samodzielności i niezależności od centrum. I czym słabsze było centrum, tym więcej uzyskiwały niezależności. Ale niebezpieczeństwo rozpadu Rosji, jak to miało miejsce ze Związkiem Sowieckim, wydaje mi się nie istniejące. Doświadczenie niepodległości postsowieckich republik jest bardzo pouczające. Jeśli obecnie niezależna Ukraina nie może się obejść bez związku ze znieawidzoną Moskwą, to jakże może istnieć niepodległy Tatarstan czy Samarska Republika. W regionach to rozumieją i wykorzystują obecną słabość Moskwy, by wywalczyć sobie autonomię, konieczną samodzielność, jednak bez zerwania ze stolicą.

Krok Borysa Jelcyna był koniecznością, ale ma się rozumieć to nie wystarczy dla wyjścia Rosji z kryzysu. Koniecznością było zerwanie z sowiecką strukturą władzy. Teraz zaczyna się tworzenie nowej, i nikt nie wie, jaka ona będzie. Przy nieistnieniu życia politycznego w Rosji, nowy parlament w nieunikniony sposób stanie się centrum opozycji wobec polityki rządu, która przy rozwiązywaniu problemów przebudowy gospodarczej w sposób nieunikniony doprowadzi do pogorszenia się sytuacji społeczeństwa, a do tego nowe wybory niekoniecznie doprowadzą do parlamentu tylko nowych ludzi. Przykład Polski jest niezmiernie pouczający. To może się wydarzyć nie tylko dlatego, że nowych ludzi nie ma (albo jest niezmiernie mało), ale i dlatego, że kandydaci do parlamentu otrzymają od swoich wyborców kategorię polecenie: uzyskać polepszenie materialnych warunków życia.

Ale to są problemy jutra. Obecnie rozpoczyna się ważny etap procesu, który powstał już pierwszego dnia powstania suwerennej Rosji. Etap budowy państwa. Wychodząc ze Związku Sowieckiego, a potem w pewnym sensie stając się jego spadkobiercą, Rosja poszukuje struktury państwowej. Niższa izba parlamentu będzie nazywała się Duma — tak jak rosyjski przedrewolucyjny parlament. Wyższa izba — to będzie Rada Federacji, lekko przypominająca swoją nazwą stalinowską Radę Narodowościową. Czy można zbierając elementy zewsząd: z rosyjskiej i sowieckiej przeszłości, z amerykańskiego czy francuskiego doświadczenia, stworzyć zdolny do życia organizm? Jeśli będzie on demokratyczny, tym lepiej. Ale obecnie rzeczą najważniejszą jest nie demokracja ale państwo.

Goethe mówił: duch rodzi ciało. Dopiero ujrawszy ciało nowej Rosji można będzie powiedzieć, jaki duch ją zrodził. Chyba nie wcześniej.

## Rosja, Polska, Ukraina w nowej sytuacji politycznej

Przed niespełną pół wiekiem żołnierze rosyjscy zdobywali parlament niemiecki, Reichstag w Berlinie. W pięćdziesiąt lat później synowie tamtych zdobywców walili z ciężkich czołgów we własny parlament — Biały Dom moskiewski. Pomiedzy tymi wydarzeniami leży pasmo krwawych dramatów, przesunięć granic, wywózek i deportacji ludów, koniec utopii komunistycznej i upadek ostatniego imperium na kuli ziemskiej. Tak jak nieudany pucz w sierpniu 1991 roku, który się zaczął jak dramat a skończył jako farsa, tak niedoszły przewrót październikowy zaczął się farsą i zakończył tragedią. Ale za każdym takim zakretem historii zmienia się oblicze Rosji. Po pucz 1991 rozwałił się kurczowo przedtem podtrzymywany przez Gorbaczowa i jego ekipę — Związek Sowiecki i zaczęła się niepewna era Wspólnoty Niepodległych Państw. Ale dzieje tych dwóch lat między klęską Gorbaczowa i dzisiejszym zwycięstwem Jelcyna były okresem chaosu i polityczno-ideologicznej dwuznaczności. Błędem Jelcyna było, że jesienią 1991 roku nie rozpedził ustrojowej schedy — odziedziczonej po komunistyczno-demokratycznym mieszańcu Gorbaczowie — w postaci Kongresu Deputowanych i Rady Najwyższej Federacji Rosyjskiej. Błąd ten miał fatalne następstwa, bo na skutek tego powstało chroniczne dwuwładztwo, które się przerzuciło na całe społeczeństwo i sprawiło, że ten olbrzym rozciągający się od Petersburga do Władywostoku stał się obiektem walki dwóch obozów: reformatorskiego i zachowawczego. Niekonsekwentna polityka i często pobłażliwa w stosunku do swych adwersarzy: Chasbułatowa w Radzie Najwyższej i generała z interwencji w Afganistanie Ruckoja, swojego zastępcy — których nawiasem mówiąc sam sobie wybrał — doprowadziła w konsekwencji do zatarcia się granic pomiędzy prawem i bezprawiem, a brak niezależnego sądownictwa lub raczej karykatura trzeciej władzy poczyniły dalsze spustoszenia w ledwie co kiełkującej rosyjskiej kulturze politycznej.

W ciągu tych dwóch lat prezydent Jelcyn stosował dziwną strategię, idąc przeważnie na ustępstwa. Czyniąc je usunął z grona najbliższych doradców demokratów, jak eksperta od spraw narodowościowych, znaną ze swych liberalnych poglądów Galinę Starowojtową, i profesora Tiszkowa, a natomiast wziął sobie szowinistę Stankiewicza i Karaganowa dążącego do odnowienia Związku Sowieckiego i oparcia się o ekspansywną doktrynę euro-

azjatycką. Przejawem tego były brutalne naciski na Ukrainę, Gruzję, Azerbejdżan, Tadżykistan — co znalazło najbardziej jaskrawy wyraz w antyukraińskim dyktacie jałtańskim z 3 września br. Mimo to Jelcyn nie był w stanie zahamować uzurpatorskich dążeń parlamentu zwłaszcza w dziedzinie polityki zagranicznej.

Usuważąc z przedpola narastającej walki piętrzące się coraz wyższe barykady prezydent Rosji wpadał w coraz to nowe sidła. W końcu pozbawiony realnego oparcia w partiach i ruchach politycznych, gdyż na skutek jego nieudanych machinacji mocny niegdyś obóz rosyjskiego demokratycznego centrolewu w postaci swoistej koalicji międzypartyjnej — Demokratyczna Rosja — wykruszył się prawie do cna, oparł się na armii i KGB. W czerwcu Jelcyn oświadczył, że siły zbrojne są rękojmnią i gwarancją sukcesu reform. Potem złożył ostantacyjne wizyty w mundurze wojskowym w elitarnej Dywizji Tamańskiej a trochę później w osławionej Dywizji Specjalnej Wojsk Bezpieczeństwa imienia Feliksa Edmundowicza Dzierżyńskiego, której żołnierzy popularnie zwano „Dzierżyńcami”. Kazał podnieść zarobki pracowników i agentów Bezpieki i zezwolił aby weszło w życie postanowienie, że wszyscy szpiedzy sowieccy, którzy w ciągu lat uciekli na Zachód, w razie pojawienia się na terytorium Rosji mają stanąć przed sądem za zdradę stanu. Zgodził się też na dymisję dotychczasowego ministra bezpieczeństwa Barannikowa, którego kagebiści nie lubili, bo przyszedł z obcego resortu — milicji. Mianowany na nowego szefa Hałuszko, który przed laty prześladował ukraińskich dysydentów, jest starym profesjonalcem.

Te inwestycje polityczne opłaciły się w dniach kryzysu październikowego. Obecnie demokraci rosyjscy debatują nad tym, jaką cenę Jelcyn będzie musiał zapłacić wojsku i Bezpieciu za zbrojną pomoc przeciwko „brunatno-czerwonej” reakcji. Sprawa ta nie mniej niż Rosjan intryguje też elity w krajach Wspólnoty. Nikt nie ma złudzeń co do zachowawczych i wielkomocarstwowych dążeń Graczowa i jego towarzyszy, jednolatków i kolegów z wojny w Afganistanie a więc rozporządzających dostatecznym potencjałem brutalności i bezwzględności.

### *Solidarność z Kijowa*

Mimo przeżytego w Jałcie aktu upokorzenia i ozięblej odtąd atmosfery w stosunkach ukraińsko-rosyjskich, prezydent Krawczuk we własnym telegramie a potem we wspólnym oświadczeniu nierosyjskich przywódców Wspólnoty Niepodległych Państw z „chanem” Kazachstanu, Nazarbajewem, wyraził solidarność z walką Borysa Jelcyna przeciwko jego wrogom. Przy



okazji Krawczuk podkreślił oczekiwanie, że zwycięstwo demokracji w Rosji zniweczy tendencje neoimperialistyczne.

W komentarzach prasowych poszczególnych ośrodków partii politycznych i organizacji orzeciono, że Krawczuk postąpił słusznie z punktu widzenia racji stanu wybierając „mniejsze zło”. Podobnie orzekną potem przebywający na emigracji — Czalidze i Korotycz. Innej opcji Ukraina nie miała. Najdobitniej wypowiedział to przewodniczący komisji do spraw zagranicznych, pisarz Dmytro Pawlyczko: „My nie śmiemy w tej sytuacji mędrkować i dopuścić do wahań. Musimy jasno i niedwuznacznie oświadczyć: popieramy prezydenta Rosji, Jelcyna. Ukraina wyczuwała już przedtem na co się zanosi i wiedziała, że imperium nie umrze nagłą śmiercią. Chciałbym też wyrazić przekonanie, że w tej walce zwycięży demokracja i sprawiedliwość”.

Dramat moskiewski zahamował ukraińskie właśnie o odpowiedzialność za Jałtę, ostudził zapalczywość oskarżycieli Krawczuka, zmienił procesy myślenia i debatowania. Zresztą już przedtem Krawczuk otrzymał pomoc ze strony wielu intelektualistów i komentatorów, którzy jego postawę w Jałcie uznali za jedynie słuszną i realistyczną. Nawet założyciel Ukraińskiej Grupy Helsińskiej i były więzień Gułagu, pisarz Mykoła Rudenko, złożył oświadczenie, że Krawczuk wejdzie do historii jako prawdziwy mąż stanu, który uratował Ukrainę od zbrojnego konfliktu z Rosją, a naród od groźby zimy bez opału. Niektórzy uczeni stwierdzili, że sprzedaż części Floty Czarnomorskiej — zważywszy, że to kupa żelastwa — i pozbycie się rakiet to dobry interes. Najważniejsze, że tym aktem Rosja faktycznie uznała własność Ukrainy, szczególnie jeśli idzie o Krym.

Dramat moskiewski miał też inne dalekosiężne reperkusje wewnętrzne, które wzmocniły niespodzianie pozycję prezydenta Krawczuka. Zdymisjonowano rząd Leonida Kuczmy, a na czele gabinetu stanął sam prezydent. Krawczuk chytrze, jak zawsze, stworzył coś w rodzaju supergabinetu i między innymi powołał do tego ciała prezydenta parlamentu Iwana Pluszcza, aby go w ten sposób zneutralizować, albo w razie potrzeby obarczyć winą za niepowodzenie obiecanych reform. Wątpić jednak należy czy w ogóle do tych reform dojdzie. Nie ma takich polityków w rządzie Krawczuka. Ale jeśli prezydent-premier będzie nadal lawirował jak dotąd — może się to dla niego źle skończyć w wyborach prezydenckich w czerwcu przyszłego roku. Przedtem, w marcu, mają nastąpić wybory do parlamentu, przy czym model litewsko-polski może się powtórzyć i to ze wzmoczoną siłą. Akurat obecnie zarejestrowano odnowioną Komunistyczną Partię Ukrainy.

Wszystko jednak będzie zależało od tego jak się ułożą stosun-

ki z Rosją. Krawczuk dla spokoju pozbył się na wszelki wypadek ministra obrony, generała Konstantyna Morozowa, który jako jedyny minister oparł się protokołom z Jałty i był bardzo nieulubiany w Moskwie. Jego następcą jest Witalij Radecki, generał z krwi i kości, bez politycznych ambicji.

### *Z dala od Warszawy*

Ukraina trzyma się obecnie z daleka od Warszawy. Doświadczenia ostatnich miesięcy wykazały, że dewiza prezydenta Krawczuka o priorytecie stosunków z Polską była politycznym niewypałem i błędem. Polska uznała za zasadę swej polityki wschodniej pasywną neutralność względem Kijowa i Moskwy, a kiedy Ukraina znalazła się w opałach w Jałcie większość komentarzy polskich — przede wszystkim ekspert Senatu, Marek Nowakowski — uznała to za wielki sukces, leżący w interesie Warszawy. W Belwederze zapomniano o traktacie konsultacyjnym dwóch prezydentów. A kiedy pani Suchocka wysunęła koncepcję priorytetu stosunków z Ukrainą skarcił ją niemiłosiernie za to wspomniany ekspert Nowakowski, żyjący widocznie w permanentnym strachu przed Rosją.

Wycofanie się Jelcyna z obietnic w kwestii wejścia Polski do NATO dla polityków w Kijowie, obeznanych z realiami w Moskwie, nie było zaskoczeniem. Natomiast poprzedzające ten przytyk w zachodni nos Polski dziękiżne hołdy wobec Jelcyna i wyraźne uciekanie od współpracy z Kijowem podziały ochładzająco na dawne propolskie umizgi wobec Warszawy. Utwierdziły się te nastroje odwrotu od iluzji po oświadczeniach nie tylko ministra Skubiszewskiego, dezawuuującego faktycznie panią Suchocką, ale i po deklaracjach nieomalże wszystkich polityków polskich, również z obozu lewicy.

Okazało się, że w dzisiejszej Polsce oprócz pani Suchockiej, pana Rokity oraz profesora Kłoczowskiego w Lublinie nie ma nikogo z jakąś wizją przyszłości. W takiej sytuacji Ukrainie nie pozostaje nic innego jak szukać wraz z Białorusią i Rosją nowego klucza do systemu ogólnoeuropejskiego bezpieczeństwa w ramach NATO bez jakiegokolwiek priorytetu dla Polski, gdyż to szkodziłoby interesom państwa ukraińskiego. Ukraina nie może dopuścić do tego, aby zachodnie granice Europy oparły się na wschodnich rubieżach Polski. Mrzonki o wspólnych interesach i wspólnych rozwiązaniach Kijowa z Warszawą skończyły się fiaskiem.

*Bohdan OSADCZUK*

## Niebezpieczna faza

Obserwuję życie niemieckie od paru dobrych lat i muszę przyznać, że po zjednoczeniu strasznie się ono skomplikowało, a nawet weszło w niebezpieczną fazę. Niemcy — chcąc czy nie chcąc — stali się potęgą polityczną, lecz jednocześnie obciążeni zostali wszystkimi trudnościami wynikającymi z konieczności restrukturalizacji połączonego państwa. I choć wśród liczących się polityków widać wyraźnie chęć utrzymania kraju w rygorach demokratycznych, to jednocześnie trzeba, trzeźwo oceniając sytuację, powiedzieć, że demokracja niemiecka jest zagrożona. Nie ma powodów do bicia na alarm, jest jednak wystarczająco dużo powodów, by wyrażać zaniepokojenie. Dotyczy to zresztą nie tylko Niemiec — tyleż, jeśli nie więcej, zagrożeń pojawia się we wszystkich państwach postkomunistycznych, przede wszystkim zaś w Rosji. Pozostajmy jednak przy Niemczech.

Każdy, kto choć trochę zna historię tego kraju, wie doskonale, że Niemcy są państwem prawa: wszystkie obowiązujące przepisy są tu rygorystycznie przestrzegane — doskonale to ilustruje do dziś funkcjonujące powiedzenie, że zwykły młynarz może wygrać proces z cesarzem pod warunkiem, że przestrzega prawa. Ale, jak wiadomo, prawo można zmieniać — od tego są odpowiednie instytucje. Niemcy hitlerowskie też były państwem prawa. Pytanie jednak, co to było za prawo. Jest bowiem takie powiedzenie łacińskie: *dura lex sed lex* — twarde prawo, lecz prawo. Z cytowania tej formuły przez słynną prokurator Bardonową w czasie jednego z procesów „marcowych” w 1968 roku wynikała na sali sądowej dość zabawna scena. Z powiedzeniem tym zwróciła się bowiem ta karykatura prawnika do oskarżonej Bogusławy Blai-fer. Ta zaś, usłyszawszy sentencję *dura lex sed lex* bez zastanowienia odparowała: *sed dura* — lecz głupie. Miała rację, ale wyrok zapadł skazujący.

Jak więc widać sama formuła mówiąca, że kraj jest państwem prawa nic jeszcze nie mówi. Ważne jest bowiem jakie to prawo. To samo dotyczy współczesnych Niemiec. Kraj został zjednoczony — jeśli tak można powiedzieć — „na prawie zachodniemieckim”, a zatem jak najbardziej sensownym, eksponującym rolę instytucji demokratycznych, zasady tolerancji i poszanowania godności człowieka. Owa god-

ność jest nawet wpisana jako pierwszy artykuł niemieckiej konstytucji i prezydent już zjednoczonych Niemiec, gdy występował przeciw ekscesom w stosunku do obcokrajowców, ze szczególnym naciskiem podkreślał fakt, że konstytucja mówi o godności człowieka, a nie o godności Niemca. Miał rzecz jasna rację, niemniej wskazał na istotny problem, który pojawił się w ostatnich latach — także zresztą w innych krajach europejskich, choćby we Francji — a który oznacza przeciwstawienie interesów narodowych interesom powszechnym. Wzrost egoizmów narodowych jest zjawiskiem ogólnoswiatowym, jednakże dla wielu powodów akurat to co dzieje się w Niemczech, obserwowane jest ze szczególną uwagą, nic bowiem nie poczyniło tak wielu szkód jak niemiecki nacjonalizm. Nie ma co prawda powodów, by sądzić, że inne nacjonalizmy są lepsze, to przecież doświadczenia historyczne każdy przejaw nacjonalizmu niemieckiego każą widzieć inaczej, niż na przykład polskiego czy francuskiego.

Niezależnie od tego, że Niemcy były zawsze państwem prawa, ważny jest też fakt, że na ogół nie były państwem demokratycznym. Krótki okres niemieckiej demokracji po I wojnie światowej — Republika Weimarska — zakończył się katastrofą w postaci zbudowania III Rzeszy po wygraniu przez Hitlera demokratycznych wyborów. Takie przeobrażenia zdarzyć się mogą wszędzie, zdarzyły się jednak właśnie w Niemczech. Po raz drugi eksperyment z demokracją rozpoczął się po II wojnie światowej i trwa do dzisiaj. Lecz trzeba otwarcie powiedzieć, że demokracja w RFN była czym innym niż jest po zjednoczeniu. Była przede wszystkim narzucona przez okupantów, podobnie jak komunizm w NRD. Po drugie była chroniona przez obecność wojsk okupacyjnych, które w tej chwili powoli wymaszerowują do domu. I choć rzeczywiście wrosła dość silnie w organizm społeczeństwa zachodniemieckiego, to jednak przyłączenie NRD — obszaru, który od 1933 roku żył poza europejskimi strukturami demokratycznymi — pociąga za sobą owej demokracji osłabienie.

Przyczyn jest kilka, jedną z nich — bodaj najważniejszą — są problemy gospodarcze. Niemcy należą cały czas do najbogatszych społeczeństw świata. To jest fakt obiektywny, jednakże przez samych zainteresowanych widziany jest po zjednoczeniu inaczej. We własnym odczuciu Niemcy z Zachodu stali się biedniejsi: zjednoczenie kosztuje, do tego zaś dochodzą zachwiania gospodarcze w całej Europie, które są m.in. efektem przeobrażeń na Wschodzie kontynentu. To,

co dotychczas działało w wypracowanych strukturach, teraz uległo jakby rozchwianiu, trwa wyścig poszczególnych krajów na rynki wschodnie, interesy narodowe przeciwstawiane są europejskim itp. — nie czas tu na szczegółową analizę. Faktem jest, że realnie przeciętny Niemiec zarabia dużo mniej niż przed zjednoczeniem i choć dla Rosjanina lub Rumuna zarabia majątek, on sam czuje się nie tylko biedniejszy niż był przed kilku laty, ale też i mniej bezpieczny. Cięcia budżetowe ograniczają rozbudowane przed laty programy socjalne, rosną bezpośrednio i pośrednio podatki, a to nie wpływa dobrze na nastroje społeczne.

Z kolei Niemcy ze Wschodu, choć odzyskali wolność, czują się jeszcze silniej zagrożeni. W jednym z wywiadów niemiecki poeta, Rainer Kunze, komentując wzrost nastrojów nacjonalistycznych w Niemczech stwierdza — i ma moim zdaniem pełną rację — że są one spadkiem po komunizmie. Komunizm bowiem, przy wszystkich swoich zbrodniach i koszmarach, zapewniał przeciętnemu i nie wychylającemu się obywatelowi dwie rzeczy: poczucie bezpieczeństwa i minimum potrzebne do przeżycia — przy czym w NRD to minimum było stosunkowo wysokie. Oducał zarazem skutecznie tego, co jest związane z wolnością: odpowiedzialności za własny los i zdolności podejmowania ryzyka. Zaczęło się więc od szoku bezrobocia i bezradności wobec nowych warunków życia. Są lepsze samochody, możliwość podróżowania po całym świecie i mówienia tego, co ślina na język przyniesie, zarazem jednak za każdą decyzję trzeba odpowiadać samemu i — co jeszcze trudniejsze — dokonywać wyboru spośród różnych możliwości. A to już burzy poczucie bezpieczeństwa. I były obywatel NRD chętnie rozgląda się za kimś, kto mu ułatwi życie, ewentualnie znajdzie logiczne wytłumaczenie niepowodzeń. Tym kimś stają się organizacje nacjonalistyczne, które powtarzają hasła w rodzaju „Niemcy dla Niemców”, których nie da się zbyć kpiarskim „a słonina dla słoni”. Tym bardziej, że te same organizacje powiadają, że trzeba w tym demokratycznym bałaganie ustalić jakiś porządek.

W zderzeniu z odbudową potęgi politycznej Niemiec prowadzi to często — na szczęście jeszcze ciągle nie dość często by można było mówić o zagrożeniu — do marzeń o budowie IV Rzeszy, państwa samodzielnego i dominującego na kontynencie. I choć z pewnością nie byłoby prawdą stwierdzenie, że niemieckie instytucje demokratyczne są dziś realnie zagrożone, niemniej jednak trudno nie pamiętać, że cza-

sem nawet drobny przypadek może odmienić względnie ustabilizowaną sytuację. Trzeba też uczciwie powiedzieć, że zarówno elity polityczne jak i środki masowego przekazu w Niemczech na ogół przed zagrożeniem demokracji ostrzegają. Rzecz w tym, że głos decydujący ma tak zwany przeciętny obywatel, który w przyszłym roku ma iść do wyborów. Będzie wybierał nowy parlament i nowego prezydenta kraju. Doradcą jego będzie własne położenie, które jest w jego własnym mniemaniu gorsze niż przed kilku laty. Nie jest to najlepszy doradca, lecz z perspektywy pojedynczego człowieka, niewiele myślącego na co dzień o polityce i jej skutkach, jedynie istotny, mający głos decydujący. I trzeba z całym naciskiem podkreślić fakt, że możemy mieć w Niemczech do czynienia z odpowiednikiem tego, co dzieje się w krajach postkomunistycznych — z wyrazem tęsknoty za „starymi, dobrymi czasami”, w których życie może nie było idealne, lecz jakoś uporządkowane. Z tęsknotą nie tyle może do totalitaryzmu, lecz do rządów autorytarnych, silnych i opartych na narodowym egoizmie, który niezwykle płynnie potrafi przekształcić się w nacjonalizm i wywoływane przezeń „sny o potęgę”.

Leszek SZARUGA

## Białoruskie impresje

Miała to być podróż *stricte* naukowa, choć zdecydowanie przerosła nakreślone ramy. W jej założeniach chodziło o wypromowanie w Szczuczynie na Białorusi — sławnym ongiś ośrodku intelektualnym o.o. pijarów Prowincji Litewskiej — najnowszej książki, zawierającej rezultaty badań uczonych, nie tylko polskich, nad wkładem do kultury i nauki polskiej tego szlachetnego w swych intencjach zgromadzenia zakonnego\*. Było to właściwie przeniesienie, nie wiem czy w pełni słuszne politycznie, na grunt białoruski jubileuszu 350-lecia sprowadze-

\* I. Stasiewicz-Jasiukowa (red.). Wkład Pijarów do nauki i kultury w Polsce XVII-XIX w., Zakład Historii Nauk Społecznych PAN i Prowincja Polska Pijarów, Warszawa-Kraków 1993, ss. 651.

nia pijarów do Polski. Jubileusz ten został uwieńczony w Warszawie w końcu roku 1992 dwudniową sesją naukową przez odpowiednie agendy Polskiej Akademii Nauk i Polską Prowincję Pijarów. Drugim celem tej białoruskiej perygrynacji było polsko-białoruskie sympozjum w nowogrodzkim Muzeum im. A. Mickiewicza n.t. percepcji poezji mickiewiczowskiej w chwili obecnej. Przyznając już na wstępie, że dla mnie jak i wielu współuczestników tej autokarowej wyprawy z różnych ośrodków akademickich kraju (42 osoby) była to podróż raczej sentymentalna, w której emocje wzięły górę nad chłodnym racjonalizmem. Mimo licznych faksów, pisemnych uzgodnień na linii Warszawa-Mińsk, życzliwych zapewnień zainteresowanych konsulatów, akceptacji ze strony Akademii Nauk obu krajów, z trwogą przekraczaliśmy granicę w Kuźnicy Białostockiej (białoruskie Bruzgi), widząc napór na naszą wschodnią ścianę setki pojazdów ustawionych w kilku rzędach na przestrzeni wielu kilometrów. Cisnęło się pytanie, jak tu wrócić w porę do domu, tym bardziej, że uprzejmy polski pogranicznik konfidencjonalnie informował, że po drugiej stronie można tkwić w cizbie mechanicznych wehikulów do dziesięciu dni. Ten graniczny infernus był naszą główną udręką podczas całego pobytu. Rozpatrywaaliśmy różne warianty powrotu, w tym opłacenie eskorty milicyjnej z niedalekiego Grodna, która pomogłaby dotrzeć do granicznego przejścia. Ostatecznie wykorzystaliśmy potęgę amerykańskiego dolara, która w tej części Europy przebijają urzędowe faksy. Nasz powrotny przeskok graniczny trwał niespełna dwie godziny, co niekiedy, bardziej ugruntowani w wierze, uznali jako wstawiennictwo św. Józefa Kalasancjusza, założyciela i patrona pijarskiego zgromadzenia. Na terytorium białoruskim znaleźliśmy się w piątkowe popołudnie. Odczuwaliśmy autentyczny komfort jazdy, ponieważ szosa z Grodna do Mińska była szeroka, wygodna i zupełnie pusta aż po horyzont. Po bokach mijaliśmy rozległe kołchozowe pola i rzadko rozrzucone skromne domostwa, najczęściej pokryte szarym eternitem. Naszym celem była przeszło stu-tysięczna Lida, gdzie w jedynym w mieście hotelu, o standardzie przeciętnego domu studenckiego w Polsce, spędziliśmy wszystkie noce, płacąc w dolarach amerykańskich za każdą dobę pobytu sumę w wysokości średniej emerytury miesięcznej tuziemców. Do tego koszty pobytu były dwukrotnie podnoszone w stosunku do ustalonych w umowie wstępnej. Ale to i tak nie było dużo, jak na naszą nadwiślańską kieszeń. Zresztą wszelkie, nazwijmy to, zaskoczenia i

techniczne niedomogi rekompensowały nam kontakty z ludźmi. Doznaliśmy przyjęcia, które szereg razy ścisnęło nam gardła ze wzruszenia. Choćby te małe lidzkie dzieci, które długo czekały przed hotelem z przywiedniętymi kwiatkami w rękach na przyjazd uczonych z Warszawy (spóźniliśmy się ponad dwie godziny). Witwały nas z wdziękiem nie zawsze poprawną polszczyzną, a starsi, chyba ich dziadkowie, dzielili się z nami chlebem i solą. Lida, o sztampowej, sowieckiej architekturze, typowej w centrum i swojskiej architekturze drewnianej wśród ogrodów i opłotków na peryferiach miasta, jest silnym ośrodkiem polonijnym. Prawie połowa miejscowej ludności deklaruje swoją polskość i wyznanie katolickie. Tak twierdzą młodzi działacze Towarzystwa Kultury Polskiej Ziemi Lidzkiej, wykazując wiele energii w dość rozważnym podtrzymywaniu kultury i tradycji polskiej. Wydają zgrabnie redagowany periodyk „Ziemia Lidzka”, który rozprowadzają nawet w odległych miejscowościach, wykorzystując także kruchty kościelne. Wydaje się, że działają na ogół roztropnie — szukają kompromisu z miejscowymi władzami, współpracują z przedstawicielami społeczności białoruskiej. Najczęściej są ludźmi młodymi, a ich polskie rodowody są dość zagmatwane. W wielu przypadkach poddali się dobrowolnej repolonizacji dopiero podczas gorbaczowskiej *glasnosti*. Teraz są *spiritus movens* propolskich poczynań. U władz oświatowych zabiegają wraz z rodzicami o tworzenie klas szkolnych z fakultatywnymi zajęciami z języka polskiego. W minionym roku szkolnym około tysiąca dzieci korzystało z takiej nauki języka polskiego. Z pewną dumą podkreślają, że nawiązują do pracy organicznej zasłużonej nauczycielki Weroniki Kuryłto, która corocznie uczy około 150 dzieci i młodzieży ojczystego języka, a jej absolwenci znajdują się na studiach w Polsce. Szacunkiem darzą 84-letniego ks. dziekana przy lidzkim kościele farnym, który całe swoje kapłańskie życie spędził, mimo prześladowań, na tej ziemi i dopiero w tym roku pierwszy raz w życiu odwiedził „prawdziwą” Polskę. Niektórzy z nich wątpią, czy prawdziwą, ponieważ po ojcach przejęli mniemanie, że u nich też jest prawdziwa Polska. Te resentymenty, jakieś cierpiętnicze, to znów graniczące z wojującym nacjonalizmem, towarzyszyły nam w tej podróży szereg razy. Nieraz przychodziło nam studzić nostalgiczne uniesienia rodaków. W zapadłych Wasiliszkach, przed neogotyckim kościołem ze sławną w okolicy figuralną drogą krzyżową, kościele kontrastującym swymi rozmiarami z biedną zabudową kołchozowych

domostw, otoczyły nas miejscowe kobiety i uporczywie pytały, kiedy znów u nich będzie Polska. Nie sądzę, aby przekonały ich nasze argumenty o nierealności tych pragnień i potrzebie sąsiedzkiego spokoju. Na szczęście wśród poznanych działaczy polonijnych nie ma ekstremalnych mrzonek. Obstają przy umiarze i koegzystencji. Lidzkim działaczom marzy się budowa Domu Polskiego, szkoły polskiej. Chcą uratować stary, zabytkowy i ogromnie zaniedbany cmentarz katolicki, przeznaczony przez władze samorządowe do likwidacji. Odchwaszczają jego niektóre alejki, restaurują spontanicznie nagrobki, lecz wiedzą, że tej walki nie wygrają. Zamiany przerastają ich możliwości. Chcą jeszcze odzyskać dla celów sakralnych zabytkowy kompleks budynków pijarskich, choć i w tej sprawie znajdują się na pozycji raczej przegranej ze względu na wątpliwą podstawę prawną tej rewindykacji. Jak dotąd mieści się w tym spornym obiekcie zakład naukowy i planetarium. Można mieć obawy, czy urzeczywistnienie niektórych planów lokalnych towarzystw polonijnych na obszarze zachodniej Białorusi zanadto nie wyizoluje społeczności polskiej z otoczenia. Czy nie powstanie coś w rodzaju polskiego getta w tym konglomeracie etnicznym; *casus* — projekt polskiej szkoły w Lidzie. Podobne refleksje nieśmiało podsuwaliśmy w rozmowach prywatnych lidzkim i szczuczyńskim aktywistom polonijnym. Są to na ogół ludzie po trzydziestce, dość dobrze wykształceni, o otwartych głowach i miejmy nadzieję, że nie zabraknie im realizmu w formułowaniu roszczeń wobec władz lokalnych i centralnych młodej republiki, wybijającej się na niepodległość. Prowincjonalny, 18-tysięczny Szczuczyn, dawna posiadłość Scypionów, później Druckich-Lubeckich, w XIX wieku znaczący ośrodek nauki języków orientalnych w miejscowym kolegium pijarskim, zdaje się być soczewką złożonych problemów młodej państwowości białoruskiej. Kumulują się tutaj kwestie ekonomiczne, narodowościowe, polityczne, samorządowe, czy wreszcie ideologiczne. Puste półki w sklepach, urągających podstawowym normom higieny, złocisty Lenin okazałych rozmiarów, stojący na cokole już bez napisów na głównym placu miasta i groźny czerwony budynek, siedziba władz lokalnych starego *establishment*'u są najbardziej widocznymi elementami szczuczyńskiej rzeczywistości A.D. 1993. W tej rustykalnej społeczności podobno 52% stanowią Polacy, którzy z determinacją „wypracowaną” historycznie domagają się od władz samorządowych respektowania ich praw do odrębności kulturalnej i wyznaniowej. My przyjechaliśmy do Szczu-

czyna w celu zamknięcia pijarskiego jubileuszu i promowania wspomnianej na wstępie książki. Zaczęliśmy od niedzielnej mszy w pijarskim kościele z XVIII wieku. Wprowadzono nas wejściem od zakrystii do wnętrza pachnącego świeżą farbą i tynkiem. Posadzono przed głównym ołtarzem. Kościół był wypełniony ludźmi po brzegi — dzieci, stare i młode kobiety oraz mężczyźni nieco w tyle, pod chórem. Wszyscy stali stłoczeni, a my czuliśmy się jak współcelebransi. Potem gruchnął śpiew żarliwy, potężny, po polsku. I tak pozostało już do końca uroczystości. 18 ministrantów obsługiwało przybyłym z nami ks. pijarom, zaś kazanie sędziwego eksprowincjała, który w kolegium szczuczyńskim rozpoczął swoją służbę pijarską w 1931 roku nader podniosło stan uczuć zebranych. Posypały się więc „waszyngtony” na kościelną tacę. Epilog tego spotkania odbył się przed kruchtą, kiedy dzieciom szczuczyńskim rozdawaliśmy polskie cukierki i prowadziliśmy krótkie rozmowy z ich rodzicami. Całość tego zdarzenia wydała mi się jakaś spontaniczna i irracjonalna dopiero w autobusie, kiedy w zadumie wracaliśmy do domu. Wówczas też doszedłem do konkluzji, o roli instytucji kościelnych i w ogóle wszelkiej religijności w warunkach szczególnej ekstremy i braku alternatywnej ideologii. Fenomen przykładowo podanego szczuczyńskiego ekstatycznego katolicyzmu i zarazem polonizmu ma swoje uwarunkowania także w zachowaniu się władzy, w tym przypadku miejscowej biurokracji i od dziesięcioleci zaprogramowanej laicyzacji. Szczuczyński kościół został zamknięty dopiero w 1964 roku. Sprzęty i wyposażenie wnętrza wywieziono ukradkiem nocą do pobliskiego lasu i spalono. Budowla niszczała, zwłaszcza, gdy zawalił się dach. Początkowo wierni gromadzili się na cmentarzu i tam odprawiali modły. Kiedy z Warszawy zaczęto nadawać msze radiowe, przed zrujnowanym kościołem z głośnika słuchali tych warszawskich transmisji, modlili się i śpiewali po polsku. Płacili kary za nielegalne, zdaniem władz, gromadzenie się. Dopiero w połowie lat osiemdziesiątych odzyskali swój kościół, który samodzielnie odbudowali. Od kilku lat mają proboszcza. Dziś ks. Kazimierz ma lat czterdzieści i temperament bojowca. Chyba dlatego wzywano go nieraz „na dywanik” do czerwonego budynku, gdzie nowa biurokracja decydowała o jego być, albo nie być na szczuczyńskim probostwie. Podczas tych rozmów ludzie błyskawicznie zbierali się pod drzwiami decydentów i w milczeniu sygnalizowali im swoją obecność. Ks. Kazimierz prowadzi coroczną akcję kolonijną dla dzieci, chór przykościelny i na-

ucza religii. Zamierza odbudować ten rozległy obiekt pijarski, opuszczony niedawno przez wojsko. Obecnie szczuczynianie natarczywie zabiegają o język polski w miejscowych szkołach na warunkach istniejących w Lidzie. Idzie im to opornie, ale nie brakuje determinacji. Na nasze naukowe zebranie w na poły zrujnowanym refektarzu (?) przyszedli tłumnie. Wsłuchiwali się w intelektualne rozważania przybyszów z Polski o pijarskich uczonych — Czerwiakowskim, Jundzille, Kopczyńskim, czy wreszcie Konarskim i milczeli, choć bili głośne brawa. Niektórzy przybyli z daleka wraz z dorastającymi synami, studentami białoruskich uniwersytetów, zapewne aby im pokazać „kawałek” Polski. Myślę, że *casus* Szczuczyna jest przykładem zawiłych meandrów tożsamości narodowej na tych ziemiach i trudnych alternatyw dla władzy. Nie poznaliśmy Baranowicz, gdzie odsetek ludności polskiej waha się między 80-90%. Ledwie zajrzeliśmy do starego Grodna, gdzie polskość zamknęła się przede wszystkim w dwóch czynnych kościołach i tli się w ulicznych rozmowach. Nie doznaliśmy szczuczynskich fascynacji w mickiewiczowskim Nowogródku, w którym polskość jest niczym skansen w Muzeum wieszczą i w późnobarokowym kościele parafialnym u stóp wzgórza zamkowego, którym opiekują się polskie nazaretanki. To tutaj ochrzczono wielkiego Adama, a z gołych, białych ścian patrzy na zwiedzających Krzysztof Chodkiewicz. Ten barokowy konterfekt jest jedynym obiektem przypominającym odległą przeszłość. Reszta polskości tli się zapewne w parterowych, drewnianych domach, okolonych małymi ogródkami i przycupniętych do zielonych, nowogródzkich wzgórz, tak dobrze nam znanych z mickiewiczowskich strof. Tylko około 7% mieszkańców Nowogródka przyznaje się do katolicyzmu, ale mimo to stara się ostatnio podnieść z ruin zabytkowy kościół św. Mikołaja w rynku miasta. Wydaje mi się, że pofałdowany, morenowy pejzaż okolic Nowogródka urzekł tego lata, jak za czasów poety. Białoruś tego wczesnego lata, choć zabiędzona i spetryfikowana przez historię, fascynowała swoją piękną przyrodą, podobnie jak wiekowe dęby, okalające nieskażoną ekologicznie mickiewiczowską Świteż. W tej eksplozji zieleni odnaleźliśmy na rozległym kołchozowym polu świeżo powstały nasz cmentarz wojenny w Surkontach. Od czasu nierównej walki latem 1944 roku pole to zaorywano, aby zatrzeć masakrę oddziału AK ppłk. Macieja Kalenkiewicza przez wojsko NKWD. Dziś miejsce to okolono niskim, kamiennym parkanem; bezimienne w większości mogiły oznaczono krzyża-

mi. Wypalone znicze, biało-czerwone proporczyki świadczyły, że bywają tutaj rodacy, pielgrzymujący do Białorusi. Kiedy w milczeniu staliśmy nad tymi grobami, a księży pijarzy odmawiali modlitwy, przyłączyli się do nas pracujący na kołchozowym polu chłopci. Żegnali się po katolicku albo prawosławnemu, ale nikt z nich nie chciał przypomnieć szczegółów ostatniej bitwy pułkownika „Kotwicz” i jego żołnierzy. Nie-ludzka dyktatura, której przez lata doświadczali, wytworzyła w ich psychice odruch samoobrony — milczenie. Mimo trwałych zaszłości dzisiejsza Białoruś zdaje się jednak ekscytować świeżą suwerennością, jakby na przekór trudnościom i niepewnościom. Z okien autokaru, ze spacerów po ulicach Grodna, Lidy, Nowogródka widać ekspiację niepodległości, choćby po ogromnych rozmiarów flagach narodowych na budynkach publicznych. W rozmowach odchodzi się od języka rosyjskiego. Rodzi się nowe, choć ledwie drzemie stare — złociste i brązowe posągi Lenina na placach i placykach, gigantycznych rozmiarów podniszczone młoty i sierpy na obrzeżach szos.

Wydaje się, że na Białorusi *in statu nascendi* odżywa polska diaspora, która może nadto zapatrzona w Polskę i do niej wdychająca, próbuje jednak samodzielnie odnaleźć się w nowej rzeczywistości. Wiele jeszcze trzeba wyprostować w tej polsko-białoruskiej bilateralności w kwestiach o nader delikatnej materii ze względu na jej kontekst międzypaństwowy. My w swojej peregrynacji naukowej odczuwaliśmy również odmienność białoruskiego widzenia ewidentnych zdawałoby się kwestii. W mickiewiczowskim Muzeum w Nowogródku w rozważaniach prof. L. Miroszyckiego z Białoruskiej Akademii Nauk o historii białoruskich przekładów poezji Mickiewicza niektóre fakty i oceny zabrzmiały nam obco i niezrozumiale. Np. dla naszych gospodarzy Lwów w XIX wieku był jedynie „centrum kultury państwa austro-węgierskiego”. Powojenna rekonstrukcja nowogródzkiego Muzeum w drukowanych folderach wielojęzycznych fałszywie tłumaczona jest przemożnym wkładem finansowym strony białoruskiej. W zmienionej sytuacji, a może dlatego, istnieje nadal tendencja do pomniejszania polskości, a nawet zacierania poloników, jak choćby cmentarz w Lidzie. W białoruskiej publicystyce historycznej powstanie styczniowe 1863 roku, o tak silnym rezonansie na tych ziemiach, przedstawiane jest wprawdzie jako wspólna walka z caratem, ale nasi „czerwoni”, W. Wróblewski, L. Narbutt są trybunami białoruskiej idei niepodległości. Od Litwinów *quasi*-historyczna nauka białoruska w ten sam sposób

skłonna jest przejąć jako swoich Giedymina a nawet Mengo, łącząc z nimi początki swojej państwowości. Te koncepcje historiografii białoruskiej gdzieś z początku tego wieku są powielane obecnie i tłumaczone np. w Grodnie także na język polski. Wydaje się, że dla bezkolizyjnego rozwoju stosunków Polski z jej wschodnimi sąsiadami konieczne jest powołanie czegoś w rodzaju poważnego Instytutu Wschodniego, nawet o międzynarodowej obsadzie, który by na zasadzie consensusu ferował opinie o przeszłości, stymulował przyjazne związki, a przede wszystkim wprowadzał do społecznego obiegu tonizujące oceny. Przy zachowaniu dotychczasowych kierunków rozwoju w tym rejonie jakaś wyżej sugerowana instytucja opiniotwórcza zapewne powstanie. Z wieloma myślami i pomysłami wracaliśmy w zadumie z tej naukowej wyprawy na dawne Rzeczypospolitą.

Lesław GRUSZCZYŃSKI

## Litwa: rok 1993

W maju bieżącego roku znów odwiedziłem Litwę. Kilka poprzednich moich wizyt, te z roku 1989, jak również z 1991 opisałem w *Kulturze* („Lithuania revisited” Nr 4/511 i „Po dwóch latach” Nr 12/531). Będę się starał nie powtarzać i nie opisywać podobnych wrażeń, chyba tylko, żeby podkreślić różnicę z sytuacją, jaka panowała cztery, lub dwa lata temu.

Nie będę również wgłębiał się w politykę. Uczynił to na łamach *Kultury* Leopold Unger w swym artykule „Widziane z Brukseli i z Wilna”. Pan Brazauskas, ex-pierwszy sekretarz partii został wybrany prezydentem i ex-komuniści mają bezwzględną większość w parlamencie. Z drugiej strony wiemy z doświadczenia wolnych wyborów w innych krajach, że w dzisiejszych czasach najtrudniej jest nie zdobyć a utrzymać się przy władzy.

Poleciliśmy do Wilna wraz z moją siostrą przez Warszawę. Tym razem samolotem Litewskich Linii Lotniczych (LAL — *Lietuvos Aero Linijos*), który na Okęciu podjechał do „rękawa”. Jest to rosyjski TU 134, ale czysty, świeże obi-

cia i nie ma charakterystycznego zapachu samolotów Aeroflotu. Stewardessy eleganckie ładne panienki, mówiące po litewsku, angielsku i polsku, niczym się nie różnią (chyba młodszym wiekiem) od swych koleżanek na innych liniach lotniczych. Na dalsze trasy jak Londyn czy Frankfurt litewskie linie używają nawet Boeinga 737. Lot trwa tylko 50 minut. Podają zimne i gorące napoje (duńskie piwo) i kanapki.

W Wilnie świeżo zbudowany (jeszcze niezupełnie wykończony) dworzec lotniczy. W przeciwieństwie do ostatniej wizyty kiedy wszystko odbywało się nie bardzo formalnie, teraz zdecydowany regres: długi ciemny korytarz wypełniony ludźmi (dwa samoloty przyleciały jednocześnie), trzeba dobrych dwadzieścia pięć minut stać w koleje nim się dojedzie do służby granicznej. Raz na miejscu, stempel w paszporcie i koniec. Zupełnie nie wiem dlaczego trzeba tak długo czekać. Bagaż nasz już krąży na pasach. Znajdujemy młodego sympatycznego tragarza i przechodzimy na drugą stronę. Bagażu nie rewidują, ale prześwietlają. Starym zwyczajem na lotnisku spotykają nas przyjaciele i znajomi.

Tym razem zatrzymujemy się nie w hotelu, a w prywatnym domku na przedmieściach Wilna, za cmentarzem na Rossie. Mamy tam dwa duże pokoje, trzy posiłki dziennie, telefon, telewizor no i najważniejsze: co dzień gorącą wodę, gdyż właściciel ma własny piecyk gazowy. Z ciepłą wodą są już od roku problemy w całej Litwie, gdyż gaz naturalny z Rosji jest bardzo drogi i ograniczany. W miastach włączają gorącą wodę tylko jednego dnia na tydzień, a nawet raz na dwa tygodnie. W czasie zimy mieszkania były ogrzewane tylko do 14-15°C.

Pani domu przygotowuje nam zdrowe, proste i smaczne litewskie jedzenie (może za dużo skwarków i kwaśnej śmietany). Pan domu, wraz ze swym samochodem, jest do naszej dyspozycji. Wszystko razem kosztuje mniej niż pokój w hotelu.

Tym razem zaplanowaliśmy zupełnie inną trasę, by przejechać przez tereny, których nie odwiedziliśmy poprzednio. Pierwsze pół dnia spędzamy w Wilnie, by ustalić program i spotkania na ostatnich kilka dni naszego pobytu, po czym przez Kowno udajemy się na południe.

W Kownie krótki postój w Muzeum i Galerii Čiurlionisa, gdzie praca wre nad pakowaniem obrazów i prac mojej matki, które następnego dnia mają „wyjechać” na wystawę do Warszawy. Warto tutaj wspomnieć, że kilka lat temu Mu-

zeum Ćiurlionisa podpisało umowę z Muzeum Narodowym w Warszawie o urządzeniu wystawy prac Zofii Dembowskiej Romer najpierw w Kownie i Wilnie, a następnie w Warszawie. Jesienią zeszłego roku wystawa ta odbyła się w Kownie, a potem w Wilnie, zaś tego lata w „Królikarni” w Warszawie.

Objedźdżamy okolice Kowna, Aleksotę i stare forty i jedziemy w stronę Birsztan. Dopiero jak się zjedzie na boczne drogi staje się oko w oko ze smutną rzeczywistością. W poprzednich moich opisach byłem raczej optymistyczny i zachwalałem gospodarność wsi litewskiej, jej rolnictwo i wydajność. Lata reżimu komunistycznego nie potrafiły zniszczyć rolnictwa do tego stopnia co kilka lat „wolności” pod rządami Landsbergisa. Najlepszy to dowód jak niebezpiecznie jest obalać stary system przed stworzeniem nowych struktur.

Zapowiedziano wolność, obiecano, że Litwa będzie krajem mlekiem i miodem płynącym i pozwolono ludziom na wszystko. Skutek był taki, że kolchozy i sowchozy (*kolukiai ir valukiai*), zaczęły masowo wyprzedawać bydło i trzody, rozgrabić sprzęt i niszczyć zabudowania. Inaczej mówiąc „prywatyzacja na własną rękę”. Niemieccy, duńscy i polscy importerzy posyłali wielkie ciężarowe wozy i płacąc trzykrotnie wyższą cenę, niż lokalna, a jednocześnie dużo, dużo niższą niż zachodnie, ogołocili całkowicie wieś litewską z pogłowia. I tak kraj, który szczycił się dawniej, że wykarmiał nie tylko swoją ludność, lecz również Moskwę i Leningrad, dziś musiał wprowadzić zakaz wywozu żywności.

Rzeczywiście stan gospodarczy Litwy w tej chwili jest dość opłakany. Są tak zwane sklepy komercyjne i tak jak w Polsce większość produktów i lokalnych, i importowanych można dostać, ale ceny są nieprzystępne. Inflacja galopująca. W czasie naszego pobytu walutą obiegową były jeszcze „talon”, których zresztą brakło. Kurs wymiany był 400-500 talonów za dolara. Teraz wprowadzono już lity po kursie 4 lity za dolara. Może na pewien czas zwolni to inflację, brak jednak rezerw finansowych i rosnące zadłużenie kraju znów spowodują spadek wartości lita.

Dla przykładu podaję tu kilka danych: wynagrodzenia są od 10.000 do 20.000 talonów, czyli od 20 do 40 dolarów miesięcznie. Wszystkie emerytury i zapomogi dla starców są jednakowe od 5.600 do 6.000 talonów, czyli 10 do 12 dolarów miesięcznie. Ceny, które zaobserwowałem: chleb 20 centów za kilo, cielęcina \$2/kg, wołowina \$2,5/kg, cukier 55 centów za kilo, szynka \$4/kg, kielbasy \$5/kg, mąka 20 c/kg,

banany \$1/kg, benzyna 20-30 c/litr. Przeciętna rodzina musi płacić za światło i ogrzewanie 6-8 dolarów miesięcznie. Skutek jest taki, że w chwili obecnej w Wilnie 40% ludności nie płaci za usługi i mieszkanie. Rząd odkłada te należności na 6 miesięcy.

Jak już wspomniałem większość gospodarstw przedstawia smutny wygląd: siano nie skoszone, żadnego bydła, budynki bez okien, nawet tu i ówdzie dachy pozrywane. Od poważnego głodu kraj ratują prywatne działki, które większość mieszkańców miast posiada i gdzie się hoduje wszystko włącznie z kurami itd.

Mniej więcej w pół drogi między Kownem i Birsztanami przejeżdżamy przez Szałtupie — dawniej dworek rodziny Gieysztorów. Z dworu, jak to zwykle bywa, nic nie pozostało. Jedynie kilka drzew owocowych w ogrodzie. Birsztany, dość porządnie utrzymane uzdrowisko nad Niemnem. Dalej w stronę Druskiennik zaczynają się piękne lasy sosnowe. Jak nam mówią jesienią cała Litwa zjeżdża tam na grzybobranie. Dowodem tego jest, że nie ma domu, gdzie posiłek dla gości nie zaczynałby się od doskonałych grzybów przyprawionych w najróżniejszy sposób.

Dojeżdżamy do Druskiennik. Miasteczko, uzdrowisko, pięknie utrzymane i dobrze się prezentujące z wyjątkiem szkaradnego kompleksu centrum zdrowotnego, wzniesionego tam 10 czy 15 lat temu na typowo sowiecką modłę, już nieczynnego, gdyż z powodu braku ogrzewania w zimie popękały wszystkie rury i cały ten budynek jest w stadium rozkładu. Ale są piękne aleje nad Niemnem z ławeczkami i gdy siadamy tam wieczorem to słyszymy śpiew słowików. Niemen nie jest tam szeroki i wyobrażam sobie jak Marszałek musiał patrzeć z tych ławeczek na drugi brzeg litewski.

W Druskiennikach jesteśmy gośćmi dyrekcji wielkiej przedsiębiorni. Gospodarze nasi są bardzo mili i pokazują nam nie tylko miasteczko, lecz i okolice. W miasteczku wszystkie dawne domy wypoczynkowe zarezerwowane dla wodzów partyjnych itd. dziś są hotelami otwartymi dla publiczności. Słyszysz się często język polski. Układ cen jest taki, że w najlepszych hotelach, jak „Lietuva” czy „Pušynas” Litwini płacą równowartość 6 do 8 dolarów dziennie, Polacy \$12, a obywatele krajów zachodnich \$28. Ceny te są za pokój, z pełnym utrzymaniem i ze wszystkimi kosztami zabiegów medycznych. *Kurier Wileński* z 27 maja 1993 podaje wiadomość: „W Druskiennikach mówi się po polsku. Druskienniki w br. okupują Polacy. W każdym sanatorium, domu wczasowym sta-



nowią oni 60% przyjezdnych, 30% to Finowie i Niemcy, pozostali to Litwini”.

Korzystam z okazji i rozmawiam z naczelnym dyrektorem przedsiębiorstwa. Człowiek kulturalny, dobrze mówiący po angielsku (rzadkość w tym kraju). Zakład założony jeszcze w latach dwudziestych przez amerykańskich Litwinów produkuje najwyższej klasy materiały: 5 do 6 milionów metrów, podwójnej szerokości tj. 152 cm. Sześć procent całej produkcji to czysta wełna. Reszta to 45% wełny i 55% poliestru. Roczna sprzedaż 18 do 20 milionów dolarów, z tego eksport do krajów zachodnich, jak Francja, Izrael, Hiszpania itd. 10%, rynek wewnętrzny 30% i kraje dawnego Związku Sowieckiego 60%.

Dyrektor właśnie wrócił z Australii, gdzie zakład stale zakupuje wełnę. Opowiada mi o perfidii systemu sowieckiego uzależniania jednych republik od drugich i jak to się dziś odbija na ekonomii tych krajów. Otóż wełna z Australii zawsze płynęła statkami do Odessy. Stamtąd była wysyłana do Kazachstanu, gdzie były jedyne w całym ZSSR „myjnie” wełny. Z Kazachstanu wełna przychodziła na Litwę do przedsiębiorstwa. Z kolei jedyne zakłady fabrykujące poliester znajdują się na Białorusi w Mohylewie lub w Bułgarii. Teraz, gdy te kraje uzyskały niepodległość, każdy z nich wprowadza lokalne cła i podatki, płatne z góry, co obciąża finansowo przedsiębiorstwo i zwiększa koszty produkcji.

Przedsiębiorstwo na gwalt szuka zagranicznego partnera, który pozwoliłby im na inwestycje jak własna „myjnia”, lub zakłady krawieckie, gdyż pewne rynki (jak Stany Zjednoczone) kupują wyłącznie już gotowe ubrania. Zakład płaci 29% podatku od dochodu i, o dziwo, 10% płatne w dewizach od eksportu. Pośredni podatek od wynagrodzenia wynosi 31%.

Na zakończenie dyrektor przyznał ze smutkiem, że nie wie jak długo uda mu się nadal utrzymywać zakład przy życiu: trudności zaopatrzenia jak i brak kapitału, i obrotowego i na konieczne inwestycje, dotkliwie daje się we znaki.

Po południu odwiedzamy odległy o kilka kilometrów od Druskiennik kościół w Liskowie (Liskiava). Pięknie nad Niemnem położona miejscowość, gdzie już podobno w XI wieku stał obronny zamek. Istnieje podanie, że to właśnie tu Mendog koronował się na króla Litwy. Na wzgórzu na wzór bazyliki znajduje się piękny kościół zbudowany w 1694 roku. Był tam również klasztor dominikanów, zamknięty przez rząd pruski w końcu XVIII wieku. Dzięki staraniom dzisiejszego proboszcza, zarówno kościół jak i poklasztorne mury zo-

stały ładnie odnowione. Proboszcz przyjmuje nas bardzo gościnnie, mówi o swoich kłopotach. Bardzo zależy mu na ułożeniu współpracy z położoną po drugiej stronie Niemna przedsiębiorstwą.

Trzeba pamiętać, że Niemen w tych okolicach nie tylko był granicą w okresie międzywojennym między Polską a Litwą, ale że również do Pierwszej Wojny Światowej stanowił granicę między Gubernią Wileńską uważaną za część Rosji i Królestwem Polskim. Suwalszczyzna miała również Kodeks Napoleoński.

Następnego dnia wyruszamy w poprzek tak zwanej Suwalszczyzny, przez Mariampol i Szaki. Suwalszczyzna to najbardziej żyzne ziemie Litwy. Ponadto wpływy pruskie dodatkowo odbiły się na rozwoju rolnictwa. Przed wojną większą część ludności stanowili zamożni chłopcy, mający po 20-50 ha ziemi. Suwalszczyzna, a zwłaszcza pewne okolice, również mniej ucierpiała od przymusowej kolektywizacji.

Przekraczamy Niemen w Jurborku i jedziemy jego prawym brzegiem w kierunku na Kłajpedę. W Pogięgach (Pagičiai), przez rzekę od Tylży. Rosyjscy żołnierze z rejonu Kaliningradu (Królewcą) sprzedają przy drodze bańki z benzyną, naturalnie kradzioną, ale kogo to dziś obchodzi. Jedziemy dalej i wjeżdżamy do tak zwanego Kraju Kłajpedzkiego (*Memelsgebiet*). Choć kraj ten już blisko od siedemdziesięciu lat do Niemców nie należy i dziś nie ma tam zupełnie Niemców, pewne wpływy pozostały. Drogi są nadal wysadzane starymi pięknymi drzewami, których tutaj nie wycięto. Tak jak nas dziwiło w Wilnie, lub w Kownie, że nie ma malowanych pasów oznaczających przejścia uliczne i w ogóle brak oznaczenia środka szosy białą farbą, na co dostawaliśmy standardową odpowiedź, że nie ma farby... tutaj wszystko jest porządnie oznaczone.

Przejeżdżamy Śilutę (Heidekrug) i jedziemy na wschodni brzeg Zalewu Kurońskiego do miejscowości Ventė. Jest tam stara latarnia morska, dziś już nieczynna i mały port rybacki. Nocujemy w dawnej dacy partyjnej. Wszędzie przykłady „dzikiej prywatyzacji” to znaczy z braku ustaw, na własną rękę. Dawny kierownik zaczyna prowadzić taki zakład, jakby to do niego należało. Co ma innego robić? Teoretycznie należy do Akademii Nauk w Wilnie, która nie wie co z tym zrobić, nie ma funduszy, aby to utrzymać. Kierownik z żoną chciałby to kupić, czy dostać i założyć tam oficjalnie mały hotelik dla rybaków i myśliwych, ale nie ma z kim rozmawiać.

Tutaj też ten sam smutny widok głupiej, a raczej braku polityki gospodarczej. Piękny kołchoz hodowli kaczek, gdzie nie ma już kaczek, gęsi itd. Teoretycznie, każdy członek kołchozu dostał po 3 hektary ziemi, ale przeważnie daleko od miejsca zamieszkania, bez możliwości dojazdu. Brak organizacji podziału maszyn, śliczne pastwiska i brak bydła, które zostało rozprzedane. Drzwi do budynków powyłamywane, co się da, rozkradzione. Niestety są tylko nieliczne wyjątki, gdzie zdolny kierownik potrafił wyperswadować głupotę. Aż smutno, jak ten kraj, a raczej wieś, rolnictwo, upadło przez ostatnich lat cztery.

Następnego ranka po śniadaniu jedziemy przez Priekule do Kłajpedy. Tam przedostajemy się promem (\$1) na Mierzeję Kurońską.

Mierzeja Kurońska jest to wąski półwysep zaczynający się na północ od Królewca i ciągnący się aż do Kłajpedy. Dwa do czterech kilometrów szeroki, przeszło sto kilometrów długi rozdziela Zalew Kuroński od Morza Bałtyckiego. Mało znany piękny zakątek Europy. Diuny piaskowe zarosnięte lasem sosnowym i akacją. Aż do niepodległości Litwy teren ten był strefą pograniczną, dla normalnych śmiertelników zabronioną. Tylko uprzywilejowani mogli tam jeździć na wakacje.

Jedziemy do Nidy. Wszędzie ostrzegawcze znaki „łosie”, które i przed wojną tu były i które znacznie się rozmnożyły (zresztą w całej Litwie również). Nida za dawnych czasów mała wieś rybacka, dziś ośrodek wakacyjny, na szczęście mały i jeszcze nie zepsuty. Trzeba przyznać, że cała Mierzeja Kurońska jest ślicznie utrzymana, wszędzie bardzo czysto i porządnie. Turystów jest jeszcze mało, przeważnie Niemcy. Zatrzymujemy się w dawniejszym domu wypoczynkowym rządu „Ruta”. Do dziś nie ma żadnego napisu oznaczającego, że to hotel, czy dom wypoczynkowy. Jedyne duże liście ruty na zewnętrznej ścianie budynku. Typowy hotel turystyczny, pokoje czyste, porządne i jest gorąca woda. Wszystkie ceny podawane są tutaj w DM. My płacimy po \$20 od osoby za dobę z pełnym utrzymaniem (zupełnie dobrym). Jak się okazuje, są tu dwupoziomowe ceny. Miejscowi turyści mieszkają w innym pawilonie i jadają na innej sali. My się znajdujemy w stołowym wśród Niemców. Przypominają się czasy *nur für Deutsche*.

Zwiedzamy miasteczko. Ruch kołowy wzbroniony. Mały port dziś już nie rybacki, a raczej żeglarski. Wszędzie czysto. Gdy Hitler doszedł do władzy przeniósł się tutaj Tomasz Mann.

Domek jego jest dziś muzeum. Nida była znana z najwyższych diun, które dochodziły do 150 m. Straszliwe burze w listopadzie zeszłego roku zmiotły sporo z tego do morza. W lesie również widać duże szkody. Przy drodze sprzedają bursztyny — bardzo ładne i stosunkowo tańsze niż w Polsce. Bursztyny te są przemycane z dawniejszych Prus Wschodnich. Granica o kilka kilometrów od Nidy jest otwarta i jak się ma widać to można swobodnie ją przekraczać.

Wracamy do domu na kolację. W jadalni znajdują podręcznik dla wygody niemieckich turystów: „Ostpreussen, Königsberg, Kurische Nehrung, Memelland, Danzig, Masuren, Pommern, Schlesien, Ortsnamen-Verzeichnis und Karte”. Brzmienia nazw po niemiecku, polsku, litewsku i rosyjsku — przedwojenna mapa, włącznie z „korytarzem”, Prusami Wschodnimi i Krajem Kłajpedzkim.

Wieczorem słuchamy radia. Z jednej strony debaty nad nową konstytucją w Moskwie, która ma być tak skonstruowana, żeby nowo przyłączone tereny jak „Kaliningrad” na zawsze stały się częścią składową Rosji, z drugiej, że pierwszy bezpośredni pociąg poszedł z Berlina do Królewca i, że Krupp właśnie skończył odbudowę „Südbahnhofu” w Królewcu. Większość samochodów w Nidzie to samochody z Niemiec.

Niemcy, by uniknąć straty czasu i trudności przy przekraczaniu granic (zwłaszcza polsko-litewskiej), uruchomili prom spod Lubeki do Kłajpedy. Przewóz samochodu i pasażerów jest stosunkowo tani i wygodny. Można się zastanawiać dlaczego Polacy nie uruchomili promu ze Szczecina lub Gdańska, by w ten sposób opanować choć część ruchu towarowo-tranzytowego.

Następnego dnia opuszczamy Nidę i przez Smeltinę (Sandkrug) i Kłajpedę, tym razem już autostradą udajemy się w kierunku Kowna. Jak już uprzednio wspomnieliśmy, piękna czteropasmowa autostrada z Kłajpedy do Wilna, przeszło 300 km, dziś jest zgoła pusta. Żadnego ruchu. Cena benzyny jest dla Litwinów tak niedostępna, że na całej długości tej autostrady nie spotkaliśmy więcej niż dziesięć samochodów.

Koło Kryżkalnisa zjeżdżamy do miejscowości Bijotai, żeby zobaczyć pozostałości najstarszych dębów na Litwie. Jest tam tak zwany „Baublys”, pień dębu, w którym znany pisarz i poeta litewski Dionizas Poszka zrobił sobie pokój i mieszkał. Domek ten mieszczący się w pniu dębu kilkakrotnie rysowała moja matka i nawet w muzeum w Kownie jest jej grafika „Baublysa”. Dalej przejeżdżamy przez miasteczko

Widukle, gdzie zatrzymujemy się w przydrożnej restauracyjce, żeby coś zjeść. Specjalnością są tu kołduny (zresztą zupełnie dobre) za które płacimy ekwiwalent 35c za porcję.

O kilka kilometrów od Widukl, przy szosie był dwór Blinstrubiszki, własność rodziny Janczewskich, nazwiska uwiecznionego przez Mickiewicza w trzeciej części „Dziadów”. Bywałem tam przed wojną. Stary drewniany dworek dziś już nie istnieje. Z bloków cementowych zbudowany jest zakład dla ociemniałych. Ale przed domem nadal jest klomb. Za dawnych czasów zawsze się mówiło, że pod tym klombem jest zakopana kasa któregoś z pułków napoleońskich cofających się spod Moskwy. No i w kilkanaście lat po wojnie przyjechali specjaliści z wykrywaczem metalu i niecały metr pod powierzchnią klombu wykopali złoto francuskie.

W Kownie zatrzymujemy się tylko, by odwiedzić przyjaciół i przenocować. Już następnego ranka wracamy do Wilna. Spotkania z Prezesem Akademii Nauk i z Ministrem Kultury. Znow odwiedziny krewnych i znajomych. Wszystkim jest ciężko i to bardzo ciężko.

Pan W. Proponuje nam wycieczkę do Zułowa, miejsca urodzenia Marszałka Piłsudskiego. Nigdy tam nie byliśmy więc się chętnie zgadzamy. Jest to z 50 kilometrów na północny-wschód od Wilna, a w kierunku na Święciany. O kilka kilometrów od Zułowa, stary ładny drewniany kościółek w Powiewiorce (Sorokpol), z drewnianą dzwonnica stojącą wśród drzew. Kościółek ten był miejscem chrztu Marszałka.

Zułów to dzisiaj kolchoz, i to straszny. Z domu mieszkalnego oczywiście nic już dziś nie zostało. Rośnie tam samotny dąb. Z dwu stron są obory. Wszystko jest brudne i zapuszczone. Nie spotkaliśmy tam ani jednego Polaka, czy Litwina. Mieszkańcy, czy też pracownicy poprzywożeni z całego dawniejszego Związku Sowieckiego. Oprawdza nas i pokazuje miejsce, gdzie stał dom i gdzie się urodził Marszałek, siedmioletnia dziewczynka Tatiana Żuk, która jedyna nauczyła się dobrze po polsku, pięknie wygrała ziemię dookoła dębu i występuje jako „oficjalny *guide* Zułowa”. Rozmawiam z jej matką. Kobieta może mieć czterdzieści kilka lat, a wygląda na osiemdziesiąt. Pochodzi spod Wołogdy. Mówi, że tutaj dużo lepiej... Ma siedmioro dzieci, najstarsze ze czternaście lat, najmłodsze trzy czy cztery. Poza Tanią nikt po polsku nie umie. Inny znow mieszkaniec mówi nam „ja Germaniec i z Kazachstanu”. Próbowujemy rozmawiać po niemiecku — ani słowa. Wszyscy wyglądają na niedożywionych, zniszczonych, zapitych samogonem. Z uczuciem ulgi wracamy do Wilna.

Pobyt nasz na Litwie dobiega końca. Ostatniego dnia odwiedzamy Troki. Potem jedziemy do Zatrocza. Piękny pałac nad jeziorem zbudowany przez Andrzeja Tyszkiewicza i otoczony ładnym parkiem. Niestety pałac wymaga odnowienia. Przejeżdżamy także przez Wakę. Również pałac należący do Tyszkiewiczów, dziś do Ministerstwa Rolnictwa, służy jako centrum konferencyjne i jest dobrze utrzymany.

Wieczorem pożegnalny obiad dla naszych gospodarzy. Dla porównania zapraszam ich do tej samej (prywatnej) restauracji pod Wilnem „Zalasis”. We wrześniu zeszłego roku, za podobny obiad, bliny z kawiolem na przystawkę, potem mięsa, deser, wódka, piwo, zapłaciliśmy równoważnik \$4 od osoby, tym razem było już \$9. W ciągu siedmiu miesięcy ceny wzrosły o przeszło 100 %...

Bruksela, Sierpień 1993

Andrzej T. ROMER

## Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 474 — ZYGMUNT HERTZ

### LISTY DO CZESŁAWA MIŁOSZA 1952-1979

WYBÓR I OPRACOWANIE RENATA GORCZYŃSKA

Indeks nazwisk

Z listu Czesława Miłosza: ...Wiesz co byłoby najśmieszniejsze? — gdybym przeszedł do historii literatury jako adresat najwspanialszego epistologa Zygmunta Hertza...

Z listu Marii Danilewicz Zielińskiej: ...Jest to Literatura z dużej litery, przy tym wiarygodne calendarium i to nie tylko Zygmunta Hertza, ale i wspomnianych przez niego osób. „LISTY” mają wagę dokumentu i przypuszczam, że we wszystkich późniejszych opracowaniach historii Instytutu Literackiego i *Kultury* będą eksploatowane przez tysiące (nie przesadzam) młodych adeptów polonistyki i historii czasopiśmiennictwa...

Str. 520

Cena F. 160,00

## Notatki Redaktora

Mija już miesiąc od wyborów do Sejmu i Senatu. Jest on, niestety, wypełniony walką o „stołki”, nie ma rządu, aparat państwowy się rozpada, zapadają decyzje pobierane nie wiadomo przez kogo i w jakim celu. W sytuacji światowej niesłychanie skomplikowanej i zagrażającej nawet naszemu istnieniu, nasza polityka zagraniczna przestaje po prostu istnieć. W Ministerstwie Spraw Zagranicznych już zwolniono ponad 30 osób oraz szereg ludzi, którzy byli zatrudnieni dotąd na umowach czy zleceniach. Wśród nich znajduje się wielu wybitnych specjalistów. Odchodzi nasz ambasador w Londynie, który składa już pożegnalne, oficjalne wizyty, i nie wiadomo, kto będzie jego następcą. To samo jest z ambasadą w Waszyngtonie. Wśród tych zmian jest bardzo charakterystyczne, że nie mówi się o zmianie ambasadora w Moskwie. A sytuacja tam jest coraz bardziej niestabilna, grożąca niekontrolowanymi wybuchami. Walka Jelcyna z opozycją nie jest jeszcze zakończona, i bardzo niebezpiecznie przybliża się do naszych granic. Jak donosi w numerze 41 z 13 bm. *Literaturnoj Gazety* ich korespondent w Mińsku, Aleksander Kozłowicz, przywódcy październikowego puczu znaleźli oparcie na Białorusi i rozpoczęli jawną działalność. Nikogo to w naszych elitach nie obchodzi.

Ostatnia kampania wyborcza przyczyniła się także do osłabienia państwa. Jak się okazuje, 41 policjantów kandydowało do Sejmu pod sztandarami różnych stronnictw. A stan bezpieczeństwa w kraju jest coraz gorszy. Policja jest niedostatecznie wyposażona, brakuje jej samochodów, radiotelefonów, komputerów, nawet amunicji do treningu w strzelaniu z broni palnej. A jednocześnie przygotowuje się nowe granato-

we mundury, które w przyszłym roku mają otrzymać wszyscy policjanci.

Nadchodzą alarmujące wiadomości ze Lwowa. Zagrożony jest stan polskich czasopism leżących w kościele pojezuickim, zalanych przez wodę z powodu zniszczonego dachu, a przecież to są unikalne egzemplarze prasy polskiej z okresu międzywojennego. Dyrektor Ossolineum, prof. Juzwenko, jeździł do Lwowa na własną rękę, nieoficjalnie. Jedyne, co mógł zrobić, to wejść do kościoła za opłatą i zrobić fotografie. Prof. Juzwenko wystąpił z inicjatywą, by przekazać do Lwowa archiwum Towarzystwa Naukowego im. Szewczenki w zamian za te gazety, ale to nikogo ani w Polsce ani we Lwowie nie zainteresowało. A przecież jest urzędujący od dwóch lat pełnomocnik do spraw polskiego dziedzictwa kulturalnego za granicą, ambasador W. Kowalski, który się tymi sprawami zupełnie nie interesuje, i właściwie nie wiadomo, na czym jego robota polega. To nie koniec kłopotów Ossolineum. Niezmiernie zasłużone wydawnictwo Biblioteka Narodowa jest zagrożone z powodów finansowych. Niewątpliwie, budżet na sprawy kultury i nauki jest niewielki, ale przypuszczam, że Biblioteka Narodowa, przeznaczona dla szerokich mas, w pierwszym rządzie zasługuje na poparcie, bardziej niż różne elitarne wydawnictwa.

Jest coraz gorzej ze znajomością języków. Zanika znajomość języka rosyjskiego. Przyzwyczailiśmy się, że z inteligencją litewską i ukraińską możemy się porozumiewać po polsku, ale to jest już tylko starsze pokolenie, które odchodzi. Sprawa republik środkowoazjatyckich jest coraz bardziej dla nas aktualna, ale ludzi znających tamte języki praktycznie nie ma. Byłoby bardzo ważne, by korzystając z dewaluacji rubla, utworzyć szereg stypendiów w republikach środkowoazjatyckich, jak np. w Alma-Acie, na Uniwersytecie Wileńskim w Wilnie, w Moskwie i Kijowie. Byłoby to nie tylko szkolenie kadr, ale również nasz duży atut, gdyż znajomość tych języków na Zachodzie prawie nie istnieje, i tutaj polskie pośrednictwo byłoby bardzo cenne.

1-go września br. na Uniwersytecie Wileńskim została otwarta Katedra Filologii Polskiej. Jej kierownikiem jest Algis Kaleda. Katedra zatrudnia 5 wykładowców w tym dwóch z Polski: prof. Tadeusza Bujnickiego i doc. Elżbietę Jans z Warszawy. Tu też muszą się znaleźć pieniądze dla studentów z Polski, jak również dla młodzieży polskiej na Litwie.

Bardzo ucieszyłem się wiadomością, że papież przyjął Sołżenicyna. Sołżenicyn, w tych trudnych czasach dla Rosji, jest jedyną charyzmatyczną postacią, której wpływu na inteligencję rosyjską nie można przecenić. Wizyta u papieża ma tym większe znaczenie, że Sołżenicyn wraca do Rosji. Jest rzeczą bardzo ważną byśmy zachowali przyjazną współpracę z inteligencją rosyjską, przecież bardzo otwartą na Polskę. Szkoda, że nie pomyślano o zaproszeniu Sołżenicyna do Polski. Nie wykorzystano również mojej sugestii, by zaprosić Mścislawa Rostropowicza z koncertem do Polski. Jest to nie tylko wielki muzyk, ale człowiek bardzo zaangażowany w procesy demokratyzacyjne w Rosji. Zrobiła to tymczasem Litwa, gdzie 2-go października odbył się jego koncert w Operze Wileńskiej.

Zachód, zapatrzony w Rosję, odnosi się w sposób lekceważący do wszystkich republik postkomunistycznych. Przykładem tego jest skandaliczna sprawa, że Juozas Tumelis, dyrektor Biblioteki Narodowej w Wilnie i wybitny działacz polityczny, nie otrzymał na czas wizy do Francji, gdzie miał wziąć udział w konferencji w Lille, o której piszemy w innym miejscu.

Nie tylko Francja nie docenia krajów wschodnioeuropejskich, ale również i Polska. Mianowicie, szef Urzędu Rady Ministrów, Jan Maria Rokita, specjalnie przyjechał do Sejn 23-go sierpnia br., by zakomunikować o przywróceniu powiatu sejneńskiego. Niestety, powiat sejneński nie obejmuje całej etnicznej ludności litewskiej na Suwalszczyźnie, a przede wszystkim nie została załatwiona sprawa usankcjonowania języka litewskiego jako pomocniczego obok państwowego w or-

ganach państwowych i samorządowych na szczeblu powiatowym. Nie mówiąc już o tym, że w Sejnach nie ma ani jednego przedszkola, ani jednej szkoły litewskiej. Na spotkanie z panem ministrem Rokitą nie zaproszono nawet Wspólnoty Litwinów w Polsce. Na tym tle nie najlepiej wypadło krytyczne podkreślenie p. Rokity trudnej sytuacji polskiej mniejszości na Litwie.

W Czechach toczy się dyskusja na temat sytuacji materialnej polityków. Uważa się, że społeczeństwo powinno być poinformowane o ich stanie majątkowym w chwili obejmowania funkcji państwowych oraz po ich zakończeniu. Jest to powszechnie stosowane na Zachodzie, np. we Francji czy w Stanach Zjednoczonych. Byłby najwyższy czas, by taki przepis wprowadzić w Polsce, co znakomicie ucięłoby plotki.

20.10.93

REDAKTOR

## BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 472 — WACŁAW A. ZBYSZEWSKI

ZAGUBIENI ROMANTYCY  
I INNI

Wybór esejów jednego z najwybitniejszych publicystów polskich, zamieszczanych w *Kulturze* i londyńskich *Wiadomościach*. Oto ich tytuły: CZ. I. SPRAWY I TROSKI: Zmartwienia pesymisty; Dwa okresy powojenne; Polska a świat katolicki; Bilans emigracji w Anglii; Francja i Polska; Kto był prorokiem: Malthus czy Marx. CZ. II. ZAGUBIENI ROMANTYCY: Polscy pisarze są bez szans; O pisarzach i redaktorach; Zagubieni romantycy. CZ. III. LUDZIE KTÓRYCH ZNAŁEM: Wspomnienie o Ksawerym Pruszyńskim; Stroński; Stanisław Mackiewicz; Sceptyk i arystokrata; 100-lecie urodzin Adama Krzyżanowskiego; Sikorski; Melchior Wańkowicz; Profesorowie U.J. w latach dwudziestych; Prof. Kot i ludowcy; Juliusz Mieroszewski; O Józefie Czapskim.

Wybór poprzedza wstęp Stefani Kossowskiej.

Str. 335

Cena F. 100,00

## Książki

### Granice literatury

Eckermann notuje, że Goethe czytywał z upodobaniem powieści Waltera Scotta niezmiernie się nimi zachwycając. Jednak w piątek 11 marca 1831 Goethe zdobył się na krytyczną uwagę: „...w Ivanhoe jest pewna scena, gdy o nocnej porze wchodzi do sali zamkowej podczas uczty jakiś obcy przybysz. Otóż jest całkowicie w porządku, że opisano wygląd górnej części ciała obcego i jego ubranie, ale błędem jest, że autor opisuje również jego nogi, buty i pończochy”.

Stefan Chwin w „Krótkiej historii pewnego żartu”<sup>1</sup> ściśle przestrzega podobnych wskazań. Równie dobrze mógł do nich dojsć dzięki swej intuicji bądź zawdzięcza je lekturze, bo jest to autor bardzo solidnie wykształcony. Opowiada w swej książce o tym, i tylko o tym, co usłyszał we wczesnym dzieciństwie o Hitlerze, Niemcach, Ameryce i wreszcie o Stalinie.

„Stalina poznałem poza domem. Właściwie powinienem go poznać w domu, bo Ojciec mógł o nim powiedzieć bardzo dużo, ale jakoś w domu o Stalinie się nie mówiło. O różnych osobach się mówiło. O Stalinie się milczało. Chociaż rodzaj tego milczenia był szczególny, niepodobny do innych milczeń, które odnosiły się na przykład do sąsiadów z góry albo z naprzeciwka... Ale samego Stalina poznałem bliżej dopiero na świeżym powietrzu”. Przyjęcie tej perspektywy dziecka pozwala Chwinowi opowiedzieć o życiu codziennym w Polsce między rokiem 52 a 55, wspomnianym teraz zazwyczaj w tonacji martyrologii bądź rewanzu, w sposób budzący trwogę, litość ale także potężny, oczyszczający śmiech. Wielokrotnie podczas tej lektury odczuwałem ochotę by odczytywać na głos duże fragmenty osobom bliskim należącym do innych pokoleń. Szczególnie lubię

rozdziały opowiadające o pochodzie pierwszomajowym: „A potem zobaczyłem potwory. Aż przestałem jeść wate. Bo oto za grupą kolejarzy z zakładów naprawczych powoli w dźwiękach marynarskiej orkiestry nadjeżdżał ku mnie na samochodzie 'Star' gigantyczny but bez sznurowadeł, kłapiący oderwaną podeszwą, z której szczyrzyły się lśniące zęby z gwoździ. Poniżej buta, na burcie samochodu, odczytałem biały napis: 'Straszny sen brakoroba'... Za Trumanem wysoki, rumiany marynarz w galowym mundurze z orderami i białej czapce niósł w jasnym słońcu południa wielki jak półmisek krakowski kapeluszek kardynałski, na którym spoczywało olbrzymie drewniane pomalowane 'srebrom' parabellum. 'Kuria — agenci Watykanu' — głosił czerwony napis migoczący na pistolecie”. Narrator ogląda to wszystko ponad głowami pochodu: „Rano, koło dziesiątej, Ojciec wchodził ze mną w gąszcz ludzi i sztandarów jakby na wszelki wypadek, żeby nikt sobie nie pomyślał, że go tu nie ma, parę razy mówił nawet dość głośno 'dzień dobry' do jakichś panów, których nie znałem, żeby zauważyli jego obecność, ale potem, jak wszystko ruszało, szliśmy w tłumie raczej sami, to znaczy niby razem z tymi panami, a właściwie jakby osobno, bo parę kroków dalej. Szliśmy dość szybko (choć było to raczej trudne, bo siedziałem na barana, dzięki czemu Ojciec miał wolne ręce, gdyż takim, co nieśli dzieci, nie wtykano chorągwi ani czegoś jeszcze cięższego), szliśmy więc szybko, bo Ojciec chciał już mieć to za sobą”. Wyrzista opowieść o natręctwach propagandy łączy się z dyskretną, opowiedzianą jakby mimochodem lecz znacznie ważniejszą opowieścią o zachowaniu normalnej, przyzwoitej polskiej rodziny w tym okresie. Jest to wreszcie prywatna historia reakcji dziecka, zawilego splątania nieufności, fascynacji i poczucia grozy. Zderzenie, przekształcanie narzuconego w przeżyte najsilniej dochodzi do głosu w części pierwszej traktującej o sprawach niemieckich, gdzie mitologia oficjalna zręcznie wykorzystuje koleiny wyobraźni dorosłych uformowanej przez doświadczenia lat 39-45. Demoniczną wizję niemieckości komplikuje i podważa jednak widoczna dookoła obecność śladów cywilizacji, którą mały narrator uznaje za niemiecką, choć pewnie należałoby ją ściślej określić jako gdańską czy hanzeatycką, wrażliwość na kształty materialnego świata. Skupiona, oszczędna opowieść Chwina stwarza zarazem w cudowny sposób poczucie obfitości, bogactwa znaczących drobiazgów. Osadzenie w realiach bliższej ojczyzny potęguje siłę tej prozy. Doświadczenia chłopca opowiedziane są przez eseistę, który nie próbuje stylizacji na język przedszkolaka, jednak dzięki dyscyplinie słowa osiąga wrażenie prawdy. Niemal nie zauważa się drobiazgów w rodzaju napomknięcia o teodycei, Owidiuszu, Hermanie i Doro-tei.

1. Stefan Chwin, „Krótka historia pewnego żartu”. (Sceny z Europy Środkowoschodniej), str. 260, Oficyna Literacka, Kraków 1991.

Najnowsza książka Chwina „Literatura i zdrada”<sup>2</sup> jest dziełem polonisty. Już na pierwszej stronie zdanie: „Mickiewicz przebywał więc w Rosji prawie pięć lat”, opatrzone jest przypisem odsyłającym aż do trzech różnych prac, jakby dla potwierdzenia tej nie dającej się przecieżyć zakwestionować informacji. Oznajmienie, że „Forma powieści poetyckiej pozwalała na zwiążanie w dziele perspektywy egzystencjalnej i politycznej w artystyczną wizję zgodną z romantycznym poczuciem piękna i romantyczną wizją człowieka”, jest przykładem formuły nie pozbawionej całkiem sensu ale tworzącej przesłonę między arcydziełami a szeroką publicznością. Wkrótce jednak cichnie Duch Uniwersytetu i Chwin okazuje się przenikliwym czytelnikiem analizującym formę, fabułę, postacie „Konrada Wallenroda”, zawikłania ich psychologii. Uważnie śledzi związki utworu z wydarzeniami historycznymi, przekształcanie przez poetę danych historycznych oraz szyfrowanie wydarzeń współczesnych. To co dawnym wielkim polonistom od Chmielowskiego do Borowego i Kleinera wydawało się niekonsekwencją czy naiwnością Konrada i rażącymi błędami Mickiewicza, Chwin tłumaczy przekonująco odwołując się do psychologii i doświadczeń ówczesnych spiskowców, od majora Łukasiewskiego do dekabrystów. Szczególnie ciekawe i ważne wydaje się obszernie omówienie mniej powszechnie znanego sporu o „Wallenroda”, najgwałtowniej krytykowanego i odrzucanego utworu Mickiewicza. Wśród krytyków utworu znalazł się w końcu sam Mickiewicz „kiedy dystansując się od idei 'Konrada Wallenroda' uznał wallenrodyczną psychologię zemsty i podstępny w równym stopniu za produkt niewoli, co czynnik niewolę utrwalający, kształtujący psychikę Polaka pogodzonego ze zniewoleniem”. Szczególnie celnie zaatakował wallenrodizm Władysław Gołombowski w pamflecie „Mickiewicz odstoniony i towiańszczyzna” ogłoszonym w Paryżu w r. 1844. „Jeśli Polak — cytuję streszczenie Chwina — wstępuje na służbę rosyjską z zamiarem przysłużenia się sprawie narodowej, to i tak niewiele będzie mógł zrobić dla Polski, bo jeśli nawet zostanie carskim feldmarszałkiem, to co najwyżej zniszczy podstępnie jeden korpus armii i powędruje na Sybir. Chyba że miał na myśli zostać Cesarzem Rosji, ażeby Rosję zniszczyć a Polskę odbudować — jest to myśl wielka i poetyczna”.

Część trzecia książki Chwina poświęcona omówieniu dzieł wietnastowiecznych trawestacji „Wallenroda” pióra Słowackiego, Kraszewskiego, Asnyka i Kazimierza Glińskiego traktuje o przemilczeniach Mickiewicza, nieuniknionych brudnych czynach Konrada, cenie jego krzyżackiej kariery. Na tym mogłaby się i

2. Stefan Chwin, „Literatura i zdrada”. Od Konrada Wallenroda do Małej Apokalipsy, str. 457, Oficyna Literacka, Kraków 1993.

powinna kończyć znakomita rozprawa Chwina. Zawiera ona jednak jeszcze część środkową, najobszerniejszą, „Literatura i zdrada”, budzącą co chwila moje i wątpliwości i opory. Tak więc bezzasadnym rozszerzeniem pojęcia wallenrodizmu wydaje mi się doszukiwanie się go w sprawie Bolesława Piaseckiego. Oczywiście Piasecki prowadził grę i zamierzał przechytrzyć ludzi Stalina. Jednak Wallenrod reprezentował litewski interes i punkt widzenia. Gdyby natomiast Piasecki odniósł pełny sukces i stanął na czele Polski pozostającej w granicach bloku sowieckiego, byłby to kraj, w którym ani Chwin, ani ja nie chcielibyśmy żyć.

Przejdźcie od „Konrada Wallenroda” do zapomnianej powieści Leopolda Tyrmanda „Filip” wymaga już ekwilibrystyki. Uwagi o dandyzmie i duchu poikarskim wydają się wykrętami a rzeczywiste sekrety powieści Tyrmanda pozostają nieodczytane. Zajmując się równocześnie utworami literackimi różnej miary, rzeczywistymi osobami, faktami rozpoznanymi i niejasnymi domysłami na ich temat, wreszcie zwykłymi zmysłami Chwin zatracą swe sprawności poważnego krytyka literackiego zdolnego rozpoznać znaczenie samych dzieł niezależnie od okoliczności, zdając się na pastwę żywiołu. Pisze na temat Józefa Mackiewicza: „W akcjach podziemia przeciw kolaborantom ginęli bowiem w jego pojęciu ludzie, którzy wallenrodzowali naprawdę. Wystarczy jeden przykład: choćby ów nadkomisarz Reszczyński, granatowy policjant, który pomagał Żydom i 'dał nawet pewne tajne instrukcje podległej mu policji, mocno ryzykując osobiście, później przeproszono jego żonę za pomyłkę — 'Nie trzeba głośno mówić' (str. 259)”. Dla Mackiewicza i Chwina, co zresztą naturalne, podziemie to tyle co AK. Otóż podinspektora (podpułkownika) Policji Państwowej Aleksandra Reszczyńskiego zamordowała 4 marca 43 bojówka komunistycznej Gwardii Ludowej — znane są nazwiska zabójców. W warunkach konspiracji było niemożliwe niezwłoczne wyjaśnienie sprawy i przywrócenie dobrego imienia zamordowanego, co może tłumaczyć drastyczną omyłkę Mackiewicza, choć też uzasadnia zacieklą niechęć środowiska AK wobec tego pisarza. Gdyby coś podobnego zdarzyło się Mickiewiczowi, Chwin oczywiście nie tylko sprostowałby fałszywą informację, sprawdzając wszelkie szczegóły choćby w Polskim Słowniku Biograficznym (zeszyt 128 z r. 1988), lecz musiałby rozważyć jej znaczenie w powieści jako dziele literackim. Chwin jednak wobec Mackiewicza a też innych autorów współczesnych postępuje nie jako historyk, ani nie jako krytyk literacki, lecz ze swobodą publicysty — to streszcza fabuły, to cytuje wypowiedzi postaci. Często bywa to bardzo inteligentne, przez umiar polityczny budzące sympatię, ale jako metoda kapryśna, zawodna, trudne do przyjęcia. Najsilniej odpycha mnie konkluzja ze str. 355:

„Jeśli więc analogia styczniowa pojawiła się w rozważaniach o decyzji z 13 grudnia, można sądzić, że przywódca stanu wojennego, podobnie jak Wielopolski — wcześniej czy później stanie się jednym z bohaterów polskiej literatury...”. Nie całkiem trafne wydaje mi się porównanie człowieka, który przyczynił się do założenia Szkoły Głównej z tym, który zalażył PRON i przywrócił rogatywki. Jeśli W.J. ma szanse stać się postacią literacką, to pierwszy projekt w tej dziedzinie zgłosił Krzysztof Kąkolewski w krakowskiej *Arce*, przedstawiając go zresztą dość niedbale i bez większego przekonania. Według Kąkolewskiego podczas wojny w miejsce zgłodzonego prawdziwego J. podstawiono rosyjskiego chłopca, starannie i cierpliwie przygotowując go do przyszłej roli. Dodam, że mogłaby za tym przemawiać informacja zawarta w sensacyjnym dziełku „Byłem gorylem”, według której J. przedstawiany jako prymus promocji w szkole oficerskiej w Riazaniu, zajął tam zaledwie siedemdziesiąt ósmą lokatę. Cokolwiek się o nim myśli, nie sposób odmówić W.J. pilności i pewnej inteligencji. Jeśli więc wtedy zajął tak dalekie miejsce, to pewnie dlatego, że musiał przede wszystkim pokonywać trudności językowe. Uderzający jest zresztą kontrast między uwagą, jaką przywiązuje do spraw języka, wielką starannością akcentów, a ostateczną niezmierną anemicznością jego prozy. Jednak informator pułkownik Gotówko okazał się ostatecznie wątpliwym źródłem, skoro zagrożony procesem przeprosił odwołując część swych rewelacji, choć nie tę o Riazaniu. Natomiast wychowanie oficera, który najpierw coś opowiada, potem to skwapliwie odwołuje nie wyciągając wobec siebie samego żadnych konsekwencji, jest jednym z dokonań W.J. W tej chwili zdałem sobie sprawę, że nie tylko Stefan Chwin porzucił literaturę i krytykę literacką wkraczając na grząski grunt, ale jeszcze ciągnie tam za sobą swego czytelnika. Być może jego zamiarem było ukazanie ostatecznych konsekwencji napisania kiedyś utworu zatytułowanego „Konrad Wallenrod”. W takim razie zamiar ten powiódł się w pełni i już najwyższy czas porzucić ten temat.

Andrzej DOBOSZ

## Nadesłane nowości wydawnicze

- ŻURAKOWSKI (Bogusław). *Znaki wodne*. Poezje. Str. 72. (Wyd. Symbol, Kraków 1993).
- PYZEL (Marian). *Bitwa o pomnik Powstania Warszawskiego 1944*. Str. 154 i 12 nlb — ilustracje. (Wyd. Joanna Pyzel, Warszawa 1992).
- Reszty nie trzeba*. Rozmowy z Josefem Brodskim zebrał i opracował Jerzy Illg. Str. 182. (Wyd. „Książnica”, Katowice 1993).
- STĘPNIAK (Klemens). *Słownik tajemnych gwar przestępczych*. Współpraca Zbigniew Podgórzec. Str. 736. (Wyd. Puls, Londyn 1993).
- MACKIEWICZ (CAT) (Stanisław). *Historia Polski od 17 września 1939r. do 5 lipca 1945r.* Str. 218 i 4 nlb. (Wydawnictwo PULS, Londyn 1993).
- KLEDZIK (Maciej). *62 dni bez porucznika „Rygla”*. Reportaż z walk w Śródmieściu. Str. 140. (Wyd. Caldra House, Hove 1993).
- My tu żyjemy jak w obozie warownym*. Listy PPS-WRN, Warszawa-Londyn 1940-1945. Opracowanie: Lidia Ciołkoszowa, Olena Zaremba-Blatonowa i Wanda Czapska-Jordan. Str. 548 i 12 nlb. (Wydawnictwo PULS, Seria: Historia, Londyn 1992).
- IWAŃSKA (Alicja). *Właśnie tu! Rzecz o dziewiętnastowiecznym Jean Marie Guyau i dwudziestowiecznej sobie samej*. Str. 162 i 6 nlb — ilustracje. (Polska Fundacja Kulturalna, Londyn 1992).
- MOSTWIN (Danuta). *Tajemnica zwyciężonych*. Str. 460 i 4 nlb. (Polska Fundacja Kulturalna, Londyn 1992).
- SZYŁEYKO (Zdzisław J.). *Lepsza strona czasu*. Str. 340. (Polska Fundacja Kulturalna, Londyn 1992).
- SZYNDLER (Bartłomiej). *Dzieje cenzury w Polsce do 1918 roku*. Str. 162 i 2 nlb. (Wyd. Krajowa Agencja Wydawnicza, Kraków 1993).
- Zbiory i prace polonijne Biblioteki Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Wrocławiu*. Informator, część I. Str. 139 i 2 nlb. (Wyd. Biblioteka Narodowa, Warszawa 1993).
- KOSZYCA (Kazimierz). *Opowieści o turystach i żołnierzach gen. Władysława Sikorskiego*. Brygada Strzelców Karpackich (1940-1942). Str. 320 i 2 nlb — errata. (Wyd. Koło Karpatczyków w Chicago 1993).
- Spór o Polskę*. Z Aleksandrem Hallem rozmawiają Ewa Polak i Mariusz Kobzdej. Str. 140 i 18 nlb — ilustracje. (Oficyna Wydawnicza RYTM, Warszawa 1993).
- WIŚNIEWSKI (Wojciech). *Lekcja polskiego*. Str. 358 i 10 nlb. (Oficyna Wydawnicza RYTM, Warszawa 1993).
- TAYLOR (Nina). *Florian Czarnyszewicz*. Zarys wstępny. Nadbitka z Wilno-Wileńszczyzna jako krajobraz i środowisko wielu kultur. Materiały I Międzynarodowej Konferencji, Białystok 21-24 IX 1989 pod red. Elżbiety Feliksiak. T. 4 *Literatura i Język* Str. 249-266. (Wyd. Towarzystwo Literackie im. Adama Mickiewicza w Białymstoku 1992).
- Biblioteka Polska w Londynie 1942-1992*. Str. 130. (Wyd. Biblioteka Polska, Polski Ośrodek Społeczno-Kulturalny, Londyn 1993).
- Pamiętnik Teatralny*. Kwartalnik poświęcony historii i krytyce teatru, rok XLI, Zeszyt 1-4 (161-164). *Teatr żydowski w Polsce do 1939*. Str. 540 i 4 nlb. (Wyd. PAN Instytut Sztuki — Wydawnictwo Krag, Warszawa 1993).
- GOMBROWICZ (Witold). *Bakakaj*. Str. 196 i 4 nlb. (Wydawnictwo



- Literackie, seria ABC, Kraków 1993).
- FIUT (Aleksander). *Moment wieczny*. O poezji Czesława Miłosza. Str. 288. (Wyd. Open, Warszawa 1993).
- LIPSKA (Ewa). *Wakacje mizantropa*. Utwory wybrane. Str. 384. (Wydawnictwo Literackie, Kraków 1993).
- SADOWSKI (Sławomir). *Krzak gorejący*. Str. 192. (Wyd. Staromiejski Dom Kultury, Warszawa 1992).
- Pożegnanie Generała*. Dokumenty. Str. 97 i 3 nlb. (Wyd. Interpress, Warszawa 1993).
- NAGRABIECKI (Jan). *Między Nim a sobą*. Wiersze. Str. 64. (Wyd. Oficyna Wydawnicza Latona, Warszawa 1992).
- NIEWIADOMSKI (Andrzej). *Panopticum i inne wiersze*. Str. 61 i 3 nlb. (Wyd. Stowarzyszenie Literackie „Kresy”, Lublin 1992).
- Londyn-Toronto-Vancouver — Rozmowy z pisarzami emigracyjnymi*. Opracował i wstępem opatrzył Andrzej Niewiadomski. Str. 157 i 3 nlb. (Wyd. Stowarzyszenie Literackie „Kresy”, Lublin 1993).
- URBANKOWSKI (Bohdan). *Głosy*. Wiersze. Str. 84. (Wyd. IV, Warszawa 1993).
- ODOJEWSKI (Włodzimierz). *Kwarantanna*. Opowiadania. Wstęp Stanisław Barć. Str. 160 i 4 nlb. (Wyd. FIS, Lublin 1993).
- SINGER (Bernard). (Regnis). *Moje Nalewki*. Str. 233 i 3 nlb. (Wyd. Czytelnik, Warszawa 1993).
- MACKIEWICZ (Józef). *Droga donikąd*. Dzieła tom 1. (Nowe wydanie). Str. 370. (Wyd. III — wyd. Kontra, Londyn 1993).
- MACKIEWICZ (Józef). *Kontra*. Dzieła tom 3. (Nowe wydanie). Str. 286 i 2 nlb. (Wyd. III — wyd. Kontra, Londyn 1993).
- MORAWSKI (Jerzy). *Głosy z Monachium*. Str. 202 i 6 nlb. (Wyd. Interpress, Warszawa 1993).
- PAŃTA (Andrzej). *Pan*. Poema synchroniczne. Str. 45 i 3 nlb. (Wyd. Miniatura, Kraków 1991).
- ZGÓRNIAK (Marian). *Europa w przededniu wojny*. Sytuacja militarna w latach 1938-1939. Str. 578, 2 nlb i mapy. (Wydawnictwo „Księgarni Akademickiej” No 7, Kraków 1993).
- Ignis ardens*. Julian Krzyżanowski — człowiek i uczoney. W stulecie urodzin. Praca zbiorowa pod red. Marii Bokszczanin. Str. 460. (Towarzystwo Literackie im. Adama Mickiewicza, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1993).
- PRÓCHNICKI (Włodzimierz). *Romantyczne światy*. Czas i przestrzeń w dramatach Słowackiego. Str. 242 i 2 nlb. (Wyd. Towarzystwo Autorów i Wydawców prac naukowych „Universitas”, Kraków 1992).
- GROSS (Natan). *Poeci i Szoah*. Obraz zagłady Żydów w poezji polskiej. Str. 192. (Wyd. OFF-MAX, Sosnowiec 1993).
- BALCEWICZ-BUKOWSKI (Jarosław). *Apokalipsa czyli żywot człowieka poczciwego*. Str. 79 i 3 nlb. (Wyd. BALFEX, Gdańsk 1993).
- Akta Towarzystwa Historyczno-Literackiego w Paryżu*. Tom II. Opracowanie — Marek Prokop. Str. 296 i 6 nlb. (Wydano nakładem Biblioteki Polskiej, Paryż 1993).
- KUSHNER (Harold S.). *Kiedy złe rzeczy zdarzają się dobrym ludziom*. Tłumaczenie Małgorzata Koraszewska. Str. 158 i 2 nlb. (Wyd. Verbinum, Warszawa 1993).
- BURGIN (Richard). *Rozmowa z Jorge Luisem Borgesem*. Przełożył Michał Kłobukowski. Str. 140 i 4 nlb. (Wyd. Marabut, Gdańsk 1993).
- SINGER (Isaac Bashevis). *Certyfikat*. Przełożyła Elżbieta Petrajtis-O'Neill. Str. 222 i 2 nlb. (Wyd. Marabut, Gdańsk 1993).
- RILKE (Rainer Maria). *Poezje*. Tekst w języku niemieckim i polskim. Wybrał, przełożył i posłowiem opatrzył Mieczysław Jastrun. Wyd. III. Str. 424. (Wydawnictwo Literackie, Kraków 1993).

## Polemiki

### Rewizja „Czarnobyla”

Dwa lata po katastrofie, dr med. Jurij Szczerbak, wówczas przewodniczący ukraińskiego stowarzyszenia ekologicznego „Zielony Świat”, a później minister Ekologii i Ochrony Środowiska Ukrainy, pisał: „...jestem przekonany, iż przed przyszłymi historykami stoi zadanie dokonania oceny znaczenia „Czarnobyla” dla przebudzenia naszego narodu, wybawienia go od strachu przed stalinizmem, wbitym od dzieciństwa w nasze dusze. „Czarnobyl” jest nazbyt groźnym i nie do końca poznany zjawiskiem, by można było przejść nad nim do porządku i puścić wszystko w niepamięć, jak tego niektórzy pragną...”

Stwierdzenia te nie straciły na aktualności, gdyż prawda o katastrofie czarnobylskiej była głęboko ukrywana, a najważniejsze fakty dotyczące przyczyn jej powstania ujawnione zostały publicznie dopiero po upływie prawie siedmiu lat. Dotąd nieznaną jest dokładna liczba śmiertelnych ofiar spośród owej blisko milionowej armii młodych ludzi — tzw. likwidatorów, poniesiona w walce z promieniotwórczym żywiołem. Nieoficjalnie wymienia się liczbę ośmiu tysięcy. Któż to jednak może zliczyć obecnie, kiedy rozjechali się oni po całym terytorium rozpadłego imperium. Zacierają się ich drogi życiowe i nikt już zapewne nie będzie w stanie stwierdzić, ilu z nich umarło „śmiercią czarnobylską”. Sowieckim władzom o to właśnie szło: zataić rozmiary tragedii i zminimalizować szok, jaki w opinii publicznej świata wywołała największa w dziejach cywilizacji katastrofa technologiczna. Jej przyczyny i przebieg zostały ukazane w sfabrykowanym z pośpiechem, obszernym referacie przedstawionym międzynarodowym ekspertom, w niespełna cztery miesiące po wybuchu reaktora.

\* Jerzy Kubowski jest pracownikiem naukowym w Ośrodku Atomowym w Świerku, gdzie od kilkudziesięciu lat zajmuje się problemami reaktorów atomowych.

Gorbaczowowskiej *pieriestrojce* należy zawdzięczać, iż ów referat w ogóle mógł ujrzeć światło dzienne. Skala katastrofy była bowiem globalna, i nie pozwalała już wówczas na obronę doktryny głoszącej: *Pri socjalizmie awarii nie bywajet*.

Zwolennicy ujawnienia, niechby nawet zdeformowanej prawdy w przygotowywanym na posiedzenie Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej (MAEA) referacie, o mało nie doznali fiaska. Jeden z referentów, tak o nim pisał: „Dokument zawiera wiadomości absolutnie tajne. Uważam, że za rozgłaszanie tajemnicy państwowej, autorów należy pociągnąć do partyjnej i sądowej odpowiedzialności”. W partii rozległy się głosy, iż prawda o awarii przyczyni się do upadku prestiżu ZSSR, „przodującego państwa w dziedzinie naukowo-technicznej”. Trzeba było aż decyzji ówczesnego premiera ZSSR, N.I. Ryzkowa, by referat — w takiej skazonej postaci — mógł być przedstawiony w MAEA.

Przyznać wszakże należy, iż wzbudził wielkie zainteresowanie i uzyskał powszechną aprobatę, nie tylko ekspertów Agencji, lecz także szerokiego kręgu specjalistów na świecie. Z referatu bowiem emanowała, jak się wówczas także nam postronnym profesjonalistom wydawało, logiczna sekwencja zdarzeń, które stały się przyczyną katastrofy. Eksperci zaś byli zauroczeni otwartością informacji, z jaką po raz pierwszy spotkali się ze strony sowieckiej. Przyjęli ją z nieklamanaą atencją. Uwiarygodniała ją także osoba referenta, wybitnego uczonego, wicedyrektora Instytutu Energii Atomowej im. Kurczatowa, akademika Walerija Legasowa, ofiarne uczestnika akcji likwidacji awarii, który dwa lata później, z nie wyjaśnionych powodów — zginął śmiercią samobójczą. Może wyraziście dostrzegane przez niego od lat deformacje w rozwoju sowieckich reaktorów atomowych, czemu dał wyraz w opublikowanym po śmierci artykule, oraz niemożność zaradzenia temu złu, wywołały poczucie współwiny i stały się powodem desperackiego czynu.

Dopiero teraz, po latach, można z całą pewnością stwierdzić, iż przygotowany przez sowieckich specjalistów referat zawierał wiele faktów nieprawdziwych, specjalnie spreparowanych w celu zmylenia fachowców i opinii publicznej. Ich wykrycie okazało się problemem niesłychanie trudnym, wymagającym wieloletniej, żmudnej pracy uczonych. Niestety, bezkrytyczne zaakceptowanie, przez międzynarodowych ekspertów, sowieckiej wersji przyczyn katastrofy — stało się powodem wielu ludzkich tragedii i przyczyniło się do zakamufłowania rzeczywistego stanu bezpieczeństwa sowieckich reaktorów. Świadome, jak dziś wiemy, przedstawienie nieprawdziwych faktów, pozwoliło zrzucić całą winę za tragedię czarnobylską na personel elektrowni, zdyskredytować go w opinii publicznej, ochronić przed odpowie-

działnością wyżej stojących w nomenklaturowej naukowo-partyjnej hierarchii, i tym samym nie dopuścić do zachwiania przekonania o prymacie sowieckiej nauki w świecie. Sfabrykowano więc oskarżenie i postawiono przed sądem wyselekcjonowaną grupę kozłów ofiarnych: dyrektora elektrowni — W. Briuchanowa, naczelnego inżyniera — N. Fomina, zastępcę naczelnego inżyniera — A. Djatłowa, kierownika zmiany elektrowni — A. Kowalenko i inspektora dozoru państwowego — J. Lauszkina. Atmosfera wokół sądu przypominała rozprawę nad kryminalistami: pryncypalną ulicę, prowadzącą do odremontowanego na tę okazję Domu Kultury, przegrodzono barierkami, zwiększono liczbę patroli. Było w tym coś z kafkowskiej ponurej scenarii: proces przy drzwiach otwartych, w ogrodzonej drutem kolczastym, o promieniu 30 km, silnie skazonej substancjami promieniotwórczymi — strefie zamkniętej. Władza działała zgodnie z duchem podjętej — po dwóch miesiącach od wybuchu reaktora — decyzji o nierozgłaszaniu szczegółów awarii, wyników leczenia ludzi i stopnia porażenia promieniowaniem osób biorących udział w likwidacji jej skutków. Na rozprawę dopuszczono 36 korespondentów sowieckich i 13 zagranicznych, lecz wyłącznie na dwie sesje: otwarcia i zamknięcia. Nie był to już wszakże okres kapturowych procesów lat trzydziestych. Pozostało jednak z owych czasów bezprawia, głęboko zakorzenione przeświadczenie o potrzebie skazywania niewinnych, gdy wymagało tego „dobro sprawy”. A „dobro sprawy” było jasne: za wszelką cenę nie dopuścić do „oskarżenia” sowieckiej nauki. W tekście z dnia 1 sierpnia 1987, autorstwa kolegium redakcyjnego *Prawdy* można było przeczytać: „Poważną nauką, srogim ostrzeżeniem przed mazgajstwem, niezdyscyplinowaniem, nieodpowiedzialnym wykonywaniem obowiązków służbowych — stał się wyrok na winnych awarii elektrowni czarnobylskiej. Przesłuchano dziesiątki świadków i ofiar, zanalizowano materiały śledztwa, wyniki pracy komisji państwowej, wnioski ekspertów i specjalistów. Wszystko to umożliwiło jeszcze raz przekonać się o właściwych przyczynach awarii, odtworzyć prawdziwy obraz zdarzenia, niezbitcie udowodnić winę podsądnych...”. Pozostanie tajemnicą, w jaki sposób udało się między innymi udowodnić „naruszenie zasad bezpieczeństwa w przedsiębiorstwie szczególnie niebezpiecznym pod względem wybuchowym”, do którego ani w owym czasie, ani teraz — elektrownie atomowe nie były i nie są zaliczane.

Oskarżeni nie przyznali się do zarzucanych im przestępstw czynów. Sąd skazał W. Briuchanowa, N. Fomina, A. Djatłowa na dziesięć, B. Rogozkina — na pięć, A. Kowalenko — na trzy, a J. Lauszkina — na dwa lata pozbawienia wolności. Skazanych wzięli, jak kryminalistów. Dyrektora Briuchanowa skie-

rowano do kolonii karnej. Siedział wspólnie z pospolitymi przestępcami i kryminalistami, w otoczonym drutem kolczastym baraku, z trzypiętrowymi pryzcami. Los inż. Fomina był jeszcze cięższy: kilka lat odbywał wyrok w psychiatrycznym szpitalu więziennym. Nie pomogła diagnoza Instytutu Ogólnej Psychiatrii Sądowej im. prof. W.P. Serbskiego, kwalifikująca skazanego do zwolnienia od odbywania kary. A i pozostałym więźniom nie powodziło się zapewne lepiej.

Później, występujący na rozprawie w charakterze eksperta, W.A. Szilcow — wypowiedział się o niej zupełnie jednoznacznie: „...Tak, jak rozumiałem, jak rozumiała większość moich kolegów, gra toczyła się do jednej bramki: udowodnić, w sposób niepodważalny, winę personelu eksploatacyjnego, i jak widać z wyroku, udało się to w pełni. Twierdzę, iż właściwi winowajcy, twórcy apokalipsy, uniknęli kary. Na ławie oskarżonych znaleźli się szeregowi wykonawcy, którzy wywołali awarię nieświadomie...”. N.A. Szejnberg, zastępca przewodniczącego Państwowego Komitetu ZSSR d/s Nadzoru nad Bezpieczeństwem Prac w Przemysle i Energetyce Jądrowej, wspominał: „...Miało się wrażenie, iż proces odbywał się w pośpiechu; wielu spraw nie udało się wyjaśnić. Do dziś nie rozumiem: po co zostałem powołany na świadka. Przesłuchanie trwało nie więcej niż 10-15 minut. Szczegółowo odpowiedzieć na pytania i zadać je oskarżonym, członkom komisji, ekspertom — nie udało się. Teraz, gdy opublikowane zostały wyniki naszych i zagranicznych prac badawczych, stało się całkowicie jasne, iż nie same błędy obsługi doprowadziły do katastrofalnych skutków. Myślę, iż najważniejszej by było przeprowadzić śledztwo dodatkowe. Prawda i sprawiedliwość powinny być przywrócone...”.

W świetle obecnego stanu wiedzy, praktycznie wszystkie zarzuty odnośnie błędnego lub niezgodnego z zasadami postępowania operatorów — zostały również zrewidowane. Większość z nich bowiem była sformułowana w sposób perfidny: na podstawie domniemanego pogwałcenia zasad, które wprowadzono do regulaminu dopiero po awarii.

Podnosił m.in. i tę kwestię Anatolij Djatłow, w emocjonalnym piśmie do MAEA, po odsiedzeniu czterech lat więzienia. Postanowił dać świadectwo prawdzie i zainicjować, aczkolwiek bezskutecznie, kampanię oczyszczania siebie, swych kolegów i podwładnych (niektórych pośmiertnie) — od zarzutu winy o spowodowanie katastrofy. Zapewne nikt lepiej od niego nie orientował się w sytuacji, jaka owej fatalnej nocy zaistniała na reaktorze. Był przecież odpowiedzialny za przebieg realizowanego wówczas eksperymentu. Gdy kierownik zmiany inż. Aleksander Akimow, polecił operatorowi wyłączyć reaktor, znajdował się odeń w odległości kilku metrów. W sterowni panowała

cisza, nie było rozmów. Obecni skupili się na obserwowaniu przyrządów. Parę sekund po naciśnięciu przez operatora przycisku awaryjnego wyłączania, rozległ się silny wybuch, a po sekundzie lub dwóch — następny, jeszcze silniejszy. Nikt z obecnych nie mógł zrozumieć tego, co się stało, tym bardziej iż postępowanie operatorów cechowało opanowanie, nie było w nim żadnych oznak zdenerwowania, a nade wszystko, z punktu widzenia zasad bezpieczeństwa, było całkowicie poprawne. Zasady mówią bowiem, iż niezależnie od jakichkolwiek okoliczności, jeśli kierownik zmiany jest przekonany o konieczności wyłączenia reaktora — może to zawsze uczynić, bez uzgodnienia swej decyzji z kimkolwiek. Jest to jego prawo, a zarazem obowiązek. I tak właśnie postąpił Akimow. W pierwszej chwili podejrzenie padło na zbiornik wody w układzie chłodzenia, a nie na reaktor. Wkrótce jednak, rozwój sytuacji radiologicznej zmusił do ustalenia innej diagnozy. Djatłow długo nie mógł pojąć przyczyny zdarzenia. W rozmowach z operatorami powracał do tej sprawy również w moskiewskim szpitalu, w którym — wskutek porażenia promieniowaniem — wraz z nimi się znalazł.

Odkrywanie prawdy było procesem mozolnym. Obalenie oficjalnej sowieckiej wersji przyczyn katastrofy wymagało ponad sześciu lat. Dopiero bowiem po tym okresie, MAEA opublikowała dokument rewidujący jej pierwotne stanowisko (Safety series No. 75-INSAG-7, IAEA, Vienna, 1992). Jak się to mogło stać, iż Międzynarodowy Zespół Doradców d/s Bezpieczeństwa (MZDB) potrzebował tylu lat, by skorygować swą pierwotną opinię o katastrofie, dodajmy — opinię, w całej rozciągłości zaakceptowaną na Zachodzie? Przecież już wkrótce po pierwszym posiedzeniu MZDB (sierpień, 1986), szef sowieckiej delegacji Legasow zauważył enigmatycznie, iż przedstawił w swym referacie jedynie połowę historii.

W związku z takim obrotem sprawy, nie brakuje obecnie wątpliwości, co do efektywności pracy MZDB, niezawisłości jego sądów i docieklivosti w poszukiwaniu prawdziwych przyczyn awarii. Dlaczego eksperci MAEA z takim uporem wzbraniali się przed bezpośrednimi rozmowami z operatorami i personelem technicznym elektrowni, obecnymi owej nocy, z 25 na 26 kwietnia 1986 r., na zmianie? Czyż nie należało poddać sprawdzeniu sowiecką informację, iż „naruszenie zatwierdzonego programu i realizacji eksperymentu, niedbalstwo przy sterowaniu reaktorem — świadczą o niedostatecznym rozumieniu przez personel specyfiki zachodzących w reaktorze jądrowym procesów technologicznych i utracie przezeń poczucia niebezpieczeństwa”.

Awaria, według sowieckich ekspertów, przybrała rozmiary katastrofalne dlatego, iż personel doprowadził reaktor do takiego — niezgodnego z przepisami — stanu, w którym nastąpił jego

samoczynny rozbieg, czyli nieustanny wzrost mocy. Gdyby nawet przyjąć, iż personel rzeczywiście doprowadził do takiego nienormalnego stanu, co w świetle nowej, zrewidowanej opinii MAEA nie miało miejsca, to dlaczego reaktor nie wyłączył się automatycznie, lecz — uprzedzając działanie automatyki — usiłował uczynić to operator. No, i pytanie najważniejsze: dlaczego, zawczasu uruchomiony przez operatora, system awaryjnego wyłączania nie spowodował wyłączenia reaktora, czyli nie spełnił swej funkcji? Już po upływie zaledwie paru miesięcy od przedstawienia przez Legasowa sowieckiej ekspertyzy — w wyniku niezależnie przeprowadzonej analizy — Departament Energetyki USA wykazał, iż podczas wyłączania reaktora (na co, w obliczu jego nieprawidłowego funkcjonowania, zdecydował się kierownik zmiany) — nastąpił niewielki wzrost mocy. Była to pierwsza publiczna wiadomość, wskazująca na fakt zdawałoby się zupełnie niewiarygodny: uruchomienie systemu wyłączającego reaktor, zamiast „wygaszania” reakcji łańcuchowej — przyspieszyło jej rozwój.

Obrazowo mówiąc, powstała sytuacja taka, jak z samochodem, który wskutek naciśnięcia pedału hamulca, doznaje nagle przyspieszenia. W ślad za Amerykanami, głębszą analizę przeprowadzili naukowcy kanadyjscy. Nie tylko potwierdzili oni diagnozę Amerykanów, lecz określili również, iż w ciągu ok. 2 sekund, od naciśnięcia przez operatora przycisku wyłączającego reaktor, moc jego wzrosła ponad stokrotnie. To zjawisko, nagłego wzrostu mocy podczas awaryjnego wyłączania reaktora — Amerykanie nazwali żargonowo: *positive scram*. Z analizy wynikał paradoksalny obraz: mianowicie, gdyby operator nie uruchomił awaryjnego systemu wyłączania, nie powstałby impuls mocy i do katastrofy by nie doszło. Niestety, ani kierownik zmiany, wydający polecenie wyłączenia reaktora, ani nawet nikt w elektrowni, nie był tego świadom. Nikt w Czarnobylu nie wiedział o tym, iż błędnie skonstruowany układ zabezpieczeń, w pewnych sprzyjających okolicznościach, mógł się stać przyczyną awarii. Mogło do niej dojść w jakiegokolwiek innej, tego typu elektrowni. Jedynie przypadkowy spłot zdarzeń sprawił, iż stało się to udziałem elektrowni czarnobylskiej.

Obecnie, na podstawie wielu niezależnych analiz, w tym także rosyjskich, można sformułować wniosek, iż naciśnięcie przez operatora o 1 godz. 23 min. 40 sek., dnia 26 kwietnia 1986 roku — przycisku awaryjnego, było logiczną, całkowicie zgodną z zasadami, próbą wyłączenia niewłaściwie się zachowującego reaktora, a stało się impulsem do powstania awarii.

Obok nienormalnego zjawiska wzrostu mocy podczas wyłączania — reaktor typu czarnobylskiego, dodatkowo odznaczał się wyjątkowo niebezpieczną charakterystyką fizyczną, z której po-

wodu nigdy nie powinien być dopuszczony do eksploatacji. Idzie bowiem o to, iż w sprzyjających warunkach, wcale nierzadko występujących, reaktor w sposób samoczynny — bez jakiegokolwiek ingerencji operatora — mógł się „rozpedzić”, tzn. zwiększyć swą moc. Zjawisko to stało się przyczyną awarii elektrowni leningradzkiej, 30 listopada 1975 r., w której wyniku doszło do uszkodzenia elementów paliwowych i skażenia substancjami promieniotwórczymi. A pięć lat później, podobne zdarzenie powstało na drugim bloku elektrowni czarnobylskiej. Natomiast groźny efekt nagłego wzrostu mocy, uwarunkowany błędem konstrukcyjnym układu zabezpieczeń, czyli tzw. *positive scram* — został zaobserwowany w 1983 r. w elektrowni litewskiej (również typu czarnobylskiego), w Ignalinie.

Specjaliści sowieccy wiedzieli więc, iż problem jest wyjątkowo poważny, na co wskazywał dokument Instytutu im. Kurczatowa, z dnia 23 grudnia 1983 r., a mimo to kroków zaradczych nie podjęto. Czy o tym wszystkim mogli nie wiedzieć akademik Legasow i towarzyszący mu w Wiedniu eksperci? Istniała również znacznie aktualniejsza — sporządzona parę dni po awarii — informacja wskazująca, iż bardzo prawdopodobną przyczyną awarii stał się wadliwie skonstruowany system awaryjnego wyłączania reaktora, a nie błędy, czy niezgodne z zasadami poczynania operatorów. Jej autorem był W.P. Wolkow, pracownik naukowy Instytutu im. Kurczatowa, zajmujący się zagadnieniami bezpieczeństwa reaktorów typu czarnobylskiego. A pod koniec maja 1986 r., w raporcie Ministerstwa Energetyki również znalazł się postulat o potencjalnej przyczynie wybuchu reaktora, tkwiącej w owym nieszczęsnym systemie awaryjnego wyłączania.

Niezaprzeczalnym dowodem tendencyjnego przedstawienia faktów stały się dwa posiedzenia (2 i 17 czerwca 1986) Międzyresortowej Rady d/s Nauki i Technologii, którym przewodniczył ówczesny prezes Akademii Nauk ZSSR, a zarazem dyrektor Instytutu im. Kurczatowa (wiodącej placówki naukowej w dziedzinie konstrukcji reaktorów typu czarnobylskiego) — akademik A.P. Aleksandrow. Zaprezentowane przez niego obliczenia, wskazujące, iż awaria powstała przede wszystkim w wyniku defektów w konstrukcji reaktora, zostały zbagatelizowane, a za wyłączną jej przyczynę uznano błędne postępowanie operatorów. W następstwie owej decyzji Rady, informacje ekspertów sowieckich przedstawione później MAEA i opinii publicznej — zostały zafałszowane.

W tym kontekście jakże inaczej wyglądała sprawa odpowiedzialności za największą awarię w energetyce atomowej USA, jaka w nocy 28 kwietnia 1979 r. wydarzyła się w elektrowni Three Mile Island. Konstruktorzy nie obarczyli winą personelu,

aczkolwiek dowody na to były ewidentne. Stali na stanowisku, iż konstruktor może poświęcić na analizę przebiegu awarii — godziny, lub nawet tygodnie, zastanawiając się spokojnie nad jej przyczyną, podczas gdy operator dokonuje tego w ciągu krótkich chwil potrzebnych na podjęcie decyzji. Eksperti amerykańscy dobrze rozumieli, iż niektórym awariom można zapobiec całkowicie przez wysoką jakość konstrukcji reaktora.

E.R. Freederick, operator z Three Mile Island, który podjął błędne decyzje, lecz nie był za to prześladowany, pisał: „...Operator nigdy nie powinien być postawiony w sytuacji, której konstruktor wcześniej nie zanalizował. Konstruktor zaś nigdy nie powinien analizować sytuacji, bez uwzględnienia reakcji operatora”.

Referat sowiecki stwarza u czytelnika wrażenie, iż personel reaktora nie posiadał odpowiedniej wiedzy o procesach fizycznych w nim zachodzących, jak gdyby obsługiwali go ludzie o niedostatecznych kwalifikacjach. Wszakże o fachowości Djatlowa, o jego wysokim profesjonalizmie świadczą dobitnie nie tylko jego publikacje, lecz również wypowiedzi współpracowników, dla których był niezaprzeczalnym autorytetem. Młody, bo zaledwie trzydziestotrzyletni, Aleksander Akimow, w dwa tygodnie po awarii zmarły wskutek choroby popromiennej — również był doskonale przygotowany do sprawowania swej funkcji. Maturę zdał z wyróżnieniem, z podobnym wynikiem ukończył Moskiewski Instytut Energetyki, w którym uzyskał dyplom inżyniera w dziedzinie automatyki układów sterowania elektrowni atomowych. Miał za sobą dziesięcioletni staż pracy w elektrowniach atomowych. Kilkakrotnie przechodził 3-4 miesięczne specjalistyczne przeszkolenie w Obnińsku — centrum szkolenia kadry dla elektrowni atomowych, gdzie uzyskiwał noty celujące i posiadał doskonałą opinię.

Wyniki analiz cech osobowych i charakterystyk socjopsychologicznych operatorów elektrowni czarnobylskiej, przeprowadzonych przed i po awarii przez Laboratorium Badań Psychologicznych przy Ministerstwie Energetyki Atomowej ZSSR, potwierdzają opinię, iż personel był zupełnie typowy, odpowiedzialny, o dostatecznych kwalifikacjach. Jednym słowem nie był ani lepszy ani gorszy od personelu innych elektrowni atomowych ZSSR, co wyklucza istnienie u niego cech nadzwyczajnych, mogących być przyczyną przypisywanych mu błędów, czy pogwałcenia zasad eksploatacji. To nie byli troglodcy, jakimi usiłował ich przedstawić „system”.

Problemy socjopsychologiczne, warunkujące bezpieczną eksploatację, wiążą się ściśle z poziomem bytu materialnego pracowników elektrowni atomowych w ogóle, operatorów zaś w szczególności. Z tego punktu widzenia można powiedzieć, iż za

pulpitem operatorskim stali ludzie, których swoboda działania była ograniczona omnipotencją systemu sowieckiego. Przejawem tego był strach przed wyrzuceniem z względnie dobrze opłacanej (aczkolwiek nieporównywalnej do standardów zachodnich) pracy, całkowita uległość wobec przełożonych, bezkrytyczny stosunek do wydawanych poleceń, brak odwagi w podejmowaniu decyzji samodzielnych. O byt materialny trzeba było toczyć uporczywą walkę... Jaskrawym przykładem może być sytuacja kierownika zmiany I. Kozaczkowa, który będąc starszym operatorem, mieszkał z pięcioosobową rodziną w jednopokojowym mieszkaniu. O odpoczynku, rzecz jasna, nie było mowy. Zwrócił się więc do dyrektora, by jakoś tę sprawę rozwiązać, wskazując przy tym, iż niedawno przyjęta do pracy sprzątaczką dostała mieszkanie trzypokojowe. „Dajcie lepiej mnie, ona przecież jest sprzątaczką, a ja odpowiadam za blok” — argumentował. W odpowiedzi usłyszał: „A czemuż ty uważasz, że jesteś więcej wart, niż sprzątaczką? Ona jest człowiekiem sowieckim, i ty jesteś człowiekiem sowieckim”. Oto dlaczego, będąc kierownikiem zmiany bał się przejawiać samodzielność, był bowiem zależny od „systemu” pod każdym względem: finansowym i moralnym. Mogli z nim — jak sam przyznawał — robić, co chcieli.

MAEA, w swej konkluzji dotyczącej przyczyn katastrofy, usilnie zwraca uwagę na ogólny brak w b. ZSSR kultury w dziedzinie bezpieczeństwa energetyki atomowej. W warunkach partokratycznego systemu i powszechnego bezprawia, zasady bezpieczeństwa były gwałcone we wszystkich etapach konstruowania i eksploatacji elektrowni atomowych. Jeśli więc katastrofę czarnobylską rozpatrywać w kategoriach odnoszących się do pojęcia: „kultura bezpieczeństwa”, to można stwierdzić, iż deprecjonowanie owej kultury było nagminne: ustawowych norm bezpieczeństwa nie przestrzegali naukowcy, konstruktorzy, ciała ministerialne i dozór nuklearny, a także personel eksploatacyjny elektrowni.

Potwierdza to, opublikowany w 1991 r., Raport Komisji, powołanej przez Państwowy Komitet ZSSR d/s Nadzoru nad Bezpieczeństwem Prac w Przemśle i Energetyce Nuklearnej na temat przyczyn katastrofy czarnobylskiej. Komisja składająca się z wybitnych ekspertów, pracująca pod przewodnictwem N.A. Szeinsterna, po wszechstronnym zanalizowaniu sowieckich i zagranicznych ocen dotyczących przyczyn awarii, doszła do następujących zasadniczych wniosków:

1. Konstrukcja reaktora nie spełniała kilkunastu podstawowych norm i zasad bezpieczeństwa, ujętych w wytycznych projektowania elektrowni atomowych, oficjalnym dokumencie prawnym obowiązującym wówczas w b. ZSSR. Aby nie epatować Czytelnika specjalistycznymi terminami i wywodami — z owych

norm przytoczmy dla ilustracji jedynie parę (w celu lepszego zrozumienia, zreformułowanych w sposób laicki) — odnoszących się do absolutnie podstawowych kanonów bezpieczeństwa.

Paragraf 3.3.1 stanowi: „Systemy kontroli i zabezpieczeń reaktora muszą gwarantować pewne sposoby kontroli mocy (reakcji łańcuchowej) i szybkiego wyłączenia reaktora”.

Paragraf 3.3.21 stanowi: „Systemy kontroli i zabezpieczeń reaktora muszą zawierać szybko działający system awaryjny, zapewniający — w sytuacji awaryjnej — automatyczne jego wyłączenie”.

Paragraf 3.3.26 stanowi m.in.: „System awaryjnego wyłączenia reaktora musi — w przypadku naciśnięcia przycisku awaryjnego — w sposób automatyczny, szybki i pewny zatrzymać rozwój reakcji łańcuchowej”.

2. Działania personelu eksploatacyjnego nie były całkowicie zgodne z instrukcją operacyjną. Niektóre odstępstwa nie miały w ogóle wpływu na rozwój awarii, inne przyczyniły się do powstania sprzyjających warunków, w których przejawily się ujemne cechy konstrukcyjne reaktora. Te nieprawidłowe działania personelu były w większości skutkiem niedostatecznej jakości dokumentacji eksploatacyjnej, nieadekwatnej do niskiej jakości konstrukcji reaktora. Personel nie był świadom istnienia owych ujemnych, groźnych cech reaktora, przeto nie zdawał sobie sprawy ze skutków ewentualnych odstępstw od niektórych przepisów eksploatacyjnych. Fakty te wskazują na ewidentny brak „kultury bezpieczeństwa” u personelu, lecz przede wszystkim także u konstruktorów i organizacji eksploatujących elektrownie jądrowe.

W konkluzji, Komisja sformułowała wniosek, iż awaria została zainicjowana przez uruchomienie przycisku awaryjnego wyłączenia reaktora. Pozwala to, za A. Djatlowem stwierdzić, iż konstrukcja reaktora czarnobylskiego nie była jedną z wielu, ani główną, lecz jedyną przyczyną awarii.

Jerzy KUBOWSKI

## KRAJ — BLOK WSCHODNI

8. 9. 93

Zmarł w Krakowie w wieku 71 lat Jerzy Broszkiewicz, prozaik i dramaturg.

15. 9. 93

Litwa i Białoruś, które podpisały już między sobą około 20 umów i porozumień, powołały obecnie specjalną komisję celem ustalenia granicy między obydwojma państwami.

20. 9. 93

Zmarł w Białymstoku w wieku 75 lat arcybp Edward Kisiel, emerytowany metropolita białostocki.

1. 10. 93

*Upadek nauki polskiej.* Przede wszystkim maleje liczba wykładowców. W ciągu ostatnich 5 lat zatrudnienie w placówkach naukowych spadło o ponad 20%. Liczba osób przechodzących z tych instytucji do innych zajęć wzrosła w latach 1989–91 do 209% w stosunku do lat ubiegłych. Niektóre specjalności przestały praktycznie istnieć. Coraz bardziej maleją nakłady na inwestycje naukowe. Do tego zmniejsza się liczba specjalistycznych bibliotek i gwałtownie spadają nakłady wydawnictw naukowych (w 1990 o 25%, w 1991 — 18,5%).

6. 10. 93

W księgarni Fundacji Pomocy Bibliotekom Polskim w Warszawie odbył się wieczór promocyjny „Pamiętnika Teatralnego” („Teatr żydowski w Polsce do 1939 r.”). Słowo wstępne wygłosił p. Michał Friedman. Wieczór został zorganizowany przez Instytut Sztuki PAN, Wydawnictwo „Krań” i Fundację Pomocy Bibliotekom Polskim.

## ZACHÓD

14. 9. 93

Ukazał się w Paryżu pierwszy numer polsko-francuskiego miesięcznika „POLONIKA”. Wg fachowego pisma *L’Echo de la Presse* z października br. — nakład pierwszych numerów ma wynosić ok. 10 tys. egz. przy cenie 18 FF.

26. 9. 93

Zmarła w Filadelfii (USA) w wieku 92 lat Nina Berberowa, literatka, dziennikarka, slawistka. ■ Zmierzch polskiego Londynu. Nieoficjalnie mówi się, że *Dziennik Polski* i *Dziennik Żołnierza* zostanie zawieszony, i że będzie utrzymany tylko *Tydzień Polski* z nadzieją, że znajdzie odbiorców w kraju. Nadzieja jest bardzo słaba, gdyż w ubiegłym roku eksperymentalnie rozprawdzano *Tydzień Polski* w Warszawie i okolicach, co zakończyło się fiaskiem. Obecnie nakład *Dziennika* wynosi 10 tys. egzemplarzy i nadal spada.

30. 9. 93

Staraniem Instytutu Polskiego w Paryżu odbył się wieczór autorski Jacka Fedorowicza.

1. 10. 93

Staraniem Towarzystwa Historyczno-Literackiego w Paryżu ukazał się drugi tom „Akt Towarzystwa Historyczno-Literackiego” pod redakcją Marka Prokopa. ■ W Presses Universitaires de Lille ukazała się książka Daniela Beauvois „La bataille de la terre en Ukraine 1863–1914. Les Polonais et les conflits socio-ethniques”.

5. 10. 93

Miała miejsce uroczysta inauguracja odnowionego z funduszy miasta Paryża pomnika Adama Mickiewicza. Pomnik ten autorstwa Emile Antoine BOURDELLE'a odsłonięto w 1928 roku. W komitecie budowy pomnika uczestniczyło wielu wybitnych Polaków i Francuzów — m.in. Paderewski, Sienkiewicz, A. Gide, A. France, M. Barres, A. Rodin.

9. 10. 93

W Domu Kombatanta w Paryżu odbył się recital Anety Łastik z udziałem p. Grażyny Dzięgielewskiej zorganizowany przez SPK we Francji.

11. 10. 93

Zmarł w Genewie w wieku 75 lat Zygmunt Estreicher, muzykolog, emerytowany profesor Uniwersytetu Genewskiego, członek jury Fundacji Kościelskich.

14. 10. 93

Ukazał się czterotysięczny numer *Russkoj Mysli*, tygodnika wychodzącego w Paryżu. Jest to pismo odgrywające wielką rolę zarówno na emigracji jak i w samej Rosji, stojące na płaszczyźnie demokratycznej, zwalczające nacjonalizm, bardzo przyjazne Polsce, z którym współpracuje cały szereg wybitnych literatów, publicystów polskich zarówno na emigracji jak i w kraju.

15. 10. 93

W Centre du Dialogue w Paryżu prof. Krzysztof Janusz Brozi wygłosił odczyt na temat „Ludzie i kryzys cywilizacji współczesnej”.

16. 10. 93

Od 8 października br. do 21 listopada br. w Polskim Muzeum Sztuki w Chicago jest otwarta wystawa „Architektura Sakralna w Stanach Zjednoczonych — Dwanaście Kościołów Jerzego Szeptyckiego”.

20. 10. 93

W 25-tą rocznicę śmierci artysty-malarza Mieczysława Tadeusza Janikowskiego (1912–1968) w lokalu Fundacji Kościuszkowskiej w Nowym Jorku, w dniu 9 listopada br. o godz. 17.30 zostanie otwarta wystawa Jego obrazów małego formatu. Wystawa będzie otwarta dwa tygodnie.

## Z ostatniej chwili

### ROZGŁOŚNIA POLSKA RWE ROZWIĄZANA?

Po wielu miesiącach podjazdowej wojny między B.I.B. (Board for International Broadcasting, kierujący Radiem Wolna Europa—Radiem Swoboda), Departamentem Stanu i Amerykańską Agencją Informacyjną w Waszyngtonie zapadły decyzje: redakcja węgierska i afgańska RWE-RS zostały zlikwidowane, natomiast wobec Rozgłośni Polskiej i Rozgłośni Czeskiej zastosowano „wariant specjalny”. Polegać ma on na tym, że zakończy się działalność obu tych Radiostacji w Monachium i zwolni cały tamtejszy personel, przy czym po piętnaście osób z serwisu polskiego i czeskiego będzie mogło przejść do pracy w Warszawie i w Pradze, gdzie Biura RWE nie zostaną zamknięte. Plan ten ujawnił odchodzący Prezydent RWE/RS, Gene Pell dopiero 18 października. Nic bliższego o tym projekcie nie wiadomo, przede wszystkim zaś nie wiadomo, jakimi funduszami będzie rozporządzało Biuro RWE w Warszawie i jaki będzie miało program. Nie wiadomo też, kto nim będzie kierował. Zorganizowanie jeszcze jednej radiostacji krajowej, pracującej w Kraju i nadającej z Polski, jest wysoce dyskusyjne. Podobnie, nie wiadomo, jaki taka radiostacja będzie miała status i czy władze polskie zgodzą się na udzielenie jej częstotliwości radiowych, szczególnie, gdy cała RWE przejdzie (co zapowiedziano) na status amerykańskiego radia rządowego. Całość planu tzw. transformacji jest nieprzygotowana ani pod względem programowym, ani organizacyjnym, ani prawnym. Należy się obawiać, że decyzje te oznaczają po prostu koniec Wolnej Europy, a wszystko inne jest już tylko przysłowiovym „listkiem figowym”. Trzeba przyznać, że jest to koordynacja czasowa wyjątkowo niekorzystna i niebezpieczna — Stany Zjednoczone zdecydowały się na takie pociągnięcie w chwili gdy Polska przeżywa ciężki okres a sytuacja w Rosji dosłownie „wisi na włosku”. W przypadku zagrożenia dla bezpieczeństwa Europy i USA — nie uda się już tych instrumentów zrekonstruować. Jest to kolejny przykład szalonego krótkowidztwa ze strony ekipy, która rządzi dziś w Białym Domu.

Byłoby w tej chwili bardzo ważne, by z procesów likwidacyjnych uratować przynajmniej archiwa Rozgłośni Polskiej RWE i Biura Studiów. Powinien je przejąć Instytut im. gen. Sikorskiego w Londynie.

## Listy do Redakcji

LIBELLA  
12, rue St. Louis-en-l'Île  
75004 PARIS

Paryż, dnia 4.X.93

Szanowny i Drogi Panie Redaktorze,

Pragnę już dzisiaj podać do Pańskiej wiadomości a za pośrednictwem *Kultury* do wiadomości naszych Przyjaciół i Klientów rozsiadanych po całym świecie, że zdecydowałem się ostatecznie zamknąć „Libellę” oraz Galerie Lambert z dniem 31 grudnia 1993.

Księgarnia będzie jeszcze działała normalnie do końca br.

Prenumeratorów *Kultury*, którzy otrzymywali pismo za naszym pośrednictwem proszę, aby prenumeratę na to pismo na rok 1994 wpłacali już bezpośrednio pod adresem *Kultury*. Prenumeratorzy, Ci którzy mają u nas opłaconą prenumeratę za rok 1994 całkowicie lub częściowo, będą przez nas przekazani administracji *Kultury*, która w swoim czasie, zawiadomi ich o konieczności wznowienia abonamentu.

Naturalnie wszystkie zobowiązania finansowe będziemy skrupulatnie regulowali, tak jak to robiliśmy przez 47 lat naszego istnienia.

Dziękując Drogiemu Panu za życzliwość, jaką nas Pan obdarzał przez wszystkie te lata, proszę o przyjęcie wyrazów mego szczerego szacunku oraz najlepsze słowa.

Kazimierz ROMANOWICZ

### JESZCZE O ELITACH

Z opóźnieniem przeczytałam tekst Szarugi „O elitach”. Trzeba powiedzieć, że autor mógłby z własnych doświadczeń napisać inny felieton. Nie chodzi mi tym razem o nagrody, ale o organizowanie imprez. Leszek Szaruga pojawił się w ostatnim roku w Szczecinie, gdzie ma zajęcia na uniwersyteckiej polonistyce. Jednocześnie zaczął brać udział w życiu kulturalnym naszego miasta. W maju był jednym z organizatorów spotkania pisarzy polskich i niemieckich. Można o tym przeczytać w miejscowej edycji *Gazety Wyborczej*. Przypnam, że jako słuchaczka tej imprezy byłam rozczarowana i dlatego zadałam sobie trud wyśledzenia, dlaczego impreza firmowana przez szczecińskie SPP, władze miejskie i Klub „13 Muz” stała się według mnie niewypałem.

Dowiedziałam się, że rozmowy na ten temat prowadzone były od dwóch lat. Na początku — i, jak się okazało, niemal do końca — współorganizatorem miała być Szczecińska Biblioteka Wojewódzka nosząca też nazwę Książnicy Szczecińskiej. Jest to placówka godna uwagi ze względu na swoje zbiory, także poniemieckie. W jej administracji pozostaje bardzo ładny zamek w Buku, gdzie właśnie miało odbyć się spotkanie. Jego termin przesunięto przez wzgląd na remont obiektu. W końcu decyzja zapadła i dyrektor biblioteki, pozostającej w gestii władz wojewódzkich, w porozumieniu z

władzami miasta podjął decyzję zorganizowania spotkania w maju. Nawiasem mówiąc ten podział obiektów kulturalnych między władze miejskie i wojewódzkie jest sam w sobie tematem na artykuł, a dzieje się tak w całym kraju.

Termin został o tyle szczęśliwie wybrany, że w tym roku Szczecin obchodził swoje 750-lecie i na obchody wyłożono sporą sumę — ok. 6 miliardów złotych. Ustalenia podjęto jeszcze w listopadzie roku ubiegłego i impreza włączona została w ramy obchodów jubileuszu. Potem szefowa rady miejskiej wyjechała na zagraniczne stypendium. W efekcie impreza z kalendarza obchodów została usunięta. Nie powiadomiono o tym zainteresowanych. Między innymi nie powiadomiono o tym Akademii der Künste z Berlina, która wzięła na siebie znaczną część kosztów (honoraria dla uczestników niemieckich i ich koszty podróży). W ostatniej chwili jednak zaproszono przedstawicieli akademii do Szczecina. Było to na dwa tygodnie przed planowanym terminem. W rozmowach potwierdzono chęć zorganizowania imprezy. Ale już wtedy przedstawiciele referatu kultury wiedzieli, że nie dysponują żadnymi funduszami.

Zaczęły się zabiegi u władz. W ich efekcie uzyskano na trzydniową imprezę sumę 20 milionów. Na tydzień przed terminem zaczęto na gwałt kompletować skład polski. W ostatniej chwili było to praktycznie niemal niemożliwe. Zdołano ściągnąć Ryszarda Krynickiego. Przypadkowo był w tym czasie w Szczecinie Egon Naganowski, wybitny tłumacz i popularyzator literatury niemieckiej. Pikantnym szczegółem jest fakt, że mimo potwierdzenia przyjazdu nie raczył się zjawić szef SPP z Poznania. Za to przyjechała z Berlina mieszkająca tam od lat pisarka polska Britta Wuttke, której udział zapewnił imprezie minimum komunikacji — Wuttke podjęła się niewdzięcznej roli tłumacza. Z Berlina przyjechała czołówka tamtejszych poetów.

Zakwaterowano ich w hoteliku sportowym, którego standard w najlepszym razie przypomina średniej klasy akademik. Zważywszy, że wśród gości byli też ludzie starsi i nie przyzwyczajeni do takiego traktowania, był to raczej nietakt. To jednak nic w porównaniu z innymi dokonaniai organizatorów, którzy nie zadbali ani o rozplakatowanie imprezy, ani nie przygotowali materiałów prasowych, ani nie wydrukowali jakichś stosownych folderów. Okazało się później, że impreza w ogóle odbyła się dzięki temu, że znalazł się ktoś, kto zechciał w ostatniej chwili w ogóle się nią zająć — był nim szef Klubu „13 Muz”, p. Gęsikowski. Stało się tak dlatego, że już po rozmowach z Niemcami, na pięć dni przed terminem, dyrektor biblioteki wojewódzkiej wycofał się z imprezy motywując to tym, że obiekt w Buku jest jeszcze nie wyremontowany. Można się spytać: czy dwa miesiące wcześniej nie wiedział o zaawansowaniu prac renowacyjnych?

Impreza odbyła się na łapu-capu. Próbowałam o przyczynach tego stanu rzeczy rozmawiać z L. Szarugą, ale jedyne, co usłyszałam, to to, że jest to pierwsza i ostatnia tego rodzaju inicjatywa, jakiej się podjął. Trochę szkoda. Szczecin jest idealnym miejscem dla takich spotkań. Fakt istnienia barier finansowych nie musi być decydujący, gdyż strona niemiecka gotowa jest w kosztach partycypować. Będzie to robić wtedy, kiedy w Polsce znajdzie odpowiedzialnego partnera. A to nie jest wcale łatwe. Świadczą o tym losy innej imprezy, która, o ile wiem, nie dojdzie do skutku. Powstał projekt organizowania co kilka miesięcy spotkań poetyckich niemiecko-polskich na Zamku Książąt Pomorskich w Szczecinie. Ten obiekt też jest administrowany przez władze wojewódzkie. Jego dyrektor na początku inicjatywę przyjął. Ze strony niemieckiej, czyli wydziału kultury Senatu Berlina, zaproponowano na-



stępujące warunki: Senat ponosi koszty podróży pisarza berlińskiego i dopłaca do honorarium wypłacanego w Polsce, a w zamian za to, co kilka miesięcy, organizuje w Berlinie wieczór autorski dla polskiego uczestnika. Byłaby to nie tylko okazja, aby zaprosić do Szczecina wybitnych autorów z całej Polski i z Berlina, ale dodatkowo promocja poezji polskiej w Niemczech. Żeby do tego doszło, konieczne by było nawiązanie bezpośrednich kontaktów między dyrektorem Zamku a Senatem. Jednak, jak się dowiedziałam, napisanie zaproszenia dla odpowiedniego urzędnika berlińskiego i omówienie z nim szczegółów przekracza możliwości strony polskiej.

**SZCZECINIANKA**  
(Nazwisko znane redakcji)

Choisy-Le Roi, 21.IX.93

Szanowny Panie Redaktorze,

Myli się p. Bogdan Czaykowski twierdząc, w swoim komentarzu do ankiety „Pisarze niedocenieni — pisarze przecenieni” (*Kultura*, nr 7-8, 1993), że można zrobić „zestawienie ze sobą nie tylko powieści Gombrowicza i Straszewicza, ale „Monizy Clavier” i „Emigrantów” Mrożka, „Pogranicza” Świdorskiej, *napisanej po angielsku powieści Pietrkiewicza „Future to Let”* (podkreślenie moje, A.D.), a nawet niektórych wierszy Miłosza, Herberta, Darowskiego, Ichnatowicza, Iwaniuka, Bursy, czy opowiadań Czerniawskiego...”. Takie zestawienie, w ramach literatury polskiej, jest możliwe jeżeli spośród w.w. utworów wykluczmy powieść Pietrkiewicza „Future to Let”. Jeżeli została ona napisana po angielsku, jest już częścią literatury angielskiej, a nie polskiej, tak samo jak utwory Conrada są zaliczane do literatury angielskiej, utwory Jerzego Kosińskiego do literatury amerykańskiej, rosyjskie utwory Nabokowa do literatury rosyjskiej, a jego utwory po angielsku do literatury amerykańskiej. To język jest głównym elementem odróżniającym jedną literaturę od drugiej i jest to potwierdzone przez bibliograficzne normy taksonomiczne, takie jak np. amerykańska Dewey Decimal Classification.

Oczywiście, zestawienie powyższych utworów, plus innych utworów w językach obcych, mogłoby być możliwe w ramach literatury światowej, ale wtedy moglibyśmy sobie zadać pytanie czy wszystkie z tych utworów możemy zaliczyć do dorobku światowego.

Z wyrazami szacunku,

Andrzej DURLIK

## APEL DO POLSKICH PARTII POLITYCZNYCH

My niżej podpisani działacze niepodległościowi w Szwecji wyrażamy zaniepokojenie w związku z rezultatami wyborów do Sejmu i Senatu w Polsce. Rezultaty te z całą pewnością nie odzwierciedlają poglądów społeczeństwa polskiego.

21% głosów na SLD odpowiada około 3 milionom wyborców, a więc zaledwie 11% całego elektoratu.

Świadomi w pełni politycznych konsekwencji wyników wyborów pragniemy zwrócić uwagę na zagrożenie bezpieczeństwa i pomyślnego rozwoju III Rzeczypospolitej, oraz jej miejsca w Europie i wolnym świecie.

Neokomunistyczny rząd w kraju to NIE dla integracji z Europą zachodnią. To także NIE dla integracji z NATO! To zaprzepaszczenie dotychczasowego dorobku społeczno-gospodarczego III Rzeczypospolitej i groźba zahamowania reform!

Zwracamy się z apelem do polskich partii politycznych mających przedstawicieli w nowym Sejmie i Senacie o stanowczą odmowę koalicji z SLD, partią skupiającą wielu skompromitowanych funkcjonariuszy PRL-owskiej nomenklatury, którym była i jest obca idea niepodległej Polski. Szczególnie ważnym jest także zapobieżenie antydemokratycznym zmianom ustroju konstytucyjnego III Rzeczypospolitej przez neokomunistów.

Stockholm, 22 września 1993

Jan BOGDAŃSKI  
Zygmunt STANKIEWICZ  
Wiesław SMOLEŃSKI  
Norbert ŻABA

## ODPOWIEDZI REDAKCJI

*Czytelników nadsyłających nam swoje artykuły i utwory prosimy o pamiętanie, że Redakcja nie zwraca rękopisów nie zamówionych. Wobec nawału pracy odpowiadać będziemy tylko w niniejszej rubryce.*

*T.I.R., Polska — Z wierszy nie skorzystamy.*

*J.B., Polska — Wybraliśmy do druku wiersze *Liryka polska, Letni pastelowy zmierzch, Majowe zakłęcie.**

*B.S.M., Polska — Z wierszy nie skorzystamy.*

*I.S.-I., Polska — Redaktor dziękuje za obszerny i sympatyczny list. Wiersze są niestety słabe, a powieść *Zapach piotunu* trudno ocenić na podstawie... dwustronicowego fragmentu.*

*I.H., Anglia — O przysłanych nam „gorzkich żalach ludzi ze wschodu” pisze Pani tak, jakby nie istniała ogromna literatura na te tematy, jakby dopiero Pani pierwsza przerwała swoją „zmoję milczenia”. Czy to nie przesada?*

*S.M., Holandia — Nie trafił nam do przekonania szkic o piarstwie Johna Bartha.*

**D.M., USA** — Pani dzienniki amerykańskie są żywo i dobrze napisane, ale wydaje nam się, że nie trzeba ich rozpraszać w odcinkach. „Jak śpiewa Ameryka” usłyszymy także i my po wydaniu całej książki. Temat pociągnie z pewnością wydawców w Polsce.

**K.B.-T., Polska** — W Pani pracach uderza wielka erudycja, są jednak bardziej zbiorem luźnych notatek i impresji, niż szkicami o pewnej kompozycji.

**J.M., USA** — Jest coś ujmującego w Pani tekście *Q i pensjonarka*, brak mu natomiast zacięcia narracyjnego.

**S.A., Stockholm** — Dziękujemy za bardzo ciekawe opowiadania. Są one dla nas bardzo pożyteczne. Prosimy o następne.

## WAWEL

### PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA w Niemczech Zachodnich

Wszystko na temat Europy Wschodniej:

- Literatura piękna i fachowa,
- Albumy, plakaty, pamiątki,
- Książki antykwaryczne.

Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne  
oraz książki w językach obcych.

Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.

Tel.: 0221/24-61-60.

Również sprzedaż wysyłkowa.  
Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30.

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI  
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE  
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Commission Paritaire N° 60789.

Dépôt légal: 4<sup>me</sup> trimestre 1993.

Photocomposition: AKTIS S.A.R.L.  
42, av. de Wagram, 75008 Paris

Imprimé en France.

N° d'imprimeur 2031-1993

# KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi

par 78600 Maisons-Laffitte — Telefon: (1) 39-62-19-04

FAX: 33-1-39-62-57-52

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
<b>Ceny na rok 1994</b>			
AFRYKA POŁUDNIOWA: Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str. New Muckleneuk, Pretoria 0181 .....	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
ARGENTYNA: «Libreria Polaca», Serrano 2076, 1425 Buenos Aires .....	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
AUSTRALIA: Księgarnia Polska VISTULA, King York House, 32, York St., 6 Floor, Suite 2, Sydney, NSW 2000. Tel.: 29 1248	\$ A. 15,00	\$ A. 90,00	\$ A. 160,00
AUSTRIA: Księgarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22. Tel.: (1) 52-63-114 .....	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BELGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury» .....	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury» .....	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
DANIA: O.T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd .....	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji «Kultury» i w księgarniach polskich w Paryżu .....	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
HOLANDIA: Barbara Malak-Minkiewicz, Reguliersgracht 46/II, 1017 LS Amsterdam. Tel.: (20) 62-61-623 .....	Fl h 20,00	Fl h 110,00	Fl h 210,00
IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., P.O.B. 29443, 61239 Tel-Aviv, tel. i FAX: (3) 5606311 .....	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5, Tel.: (514) 465-2362; Baltazar Krasuski, 8, Neilor Crsc., Etobicoke, Ont., M9C 1K4; Very rev. D.M. Malinowski, 3817 Laurel Dr., Royston, B.C., VOR 2V0. Tel.: (604) 338-80-40; Z. Micherdziński, 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel.: 545-2115; Księgarnia Polska w Ottawie, Andrzej Lifsches, 512 Rideau Street, Ottawa, ON K1N 5Z6, tel.: (613) 230 82 60, FAX (613) 235 01 63 .....	\$ can. 13,00	\$ can. 75,00	\$ can. 140,00
NIEMCY: Kubon & Sagner, Buchexport-Import, Hessestrasse 39/41, Postfach 34 01 08, D 80328 München. Tel.: (089) 52-20-27; Księgarnia Wawel, Stephanstr. 11, 5000 Köln, 1. Tel.: 0221/24-61-60	DM 17,00	DM 100,00	DM 185,00
NORWEGIA: Zb. Tyszkowski, Toppenhaugberget 14, 1353 Baerums Verk. Tel.: 51-20-55 .....	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
SZWAJCARIA: Krystyna Wasung, 4, Avenue Cardinal Mermilod, 1227 Carouge/GE, tel.: 343 05 84 .....	F.S. 15,00	F.S. 90,00	F.S. 160,00
SZWECJA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury» lub na konto pocztowe jak poniżej	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
U.S.A.: Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; St. Kwiatkowski, 4749 W. 11 St., Cleveland OH, 44109. Tel.: (216) 351-8219; Halina Kościuch, 41963 Utica Road, Sterling HTS, MI 48078; POLONIA Bookstore, 2886 Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60618. Tel.: (312) 489-2554; Jan Wójcik, 674, Farmington Avenue, New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302. Tel.: (415) 327-5590 & 851-0748; Księgarnia «Nowego Dziennika», 21, West 38th Street, New York, N.Y., 10018. Tel.: (212) 354-0492 .....	\$ US 11,00	\$ US 60,00	\$ US 116,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (01) 370 2210 .....	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
WŁOCHY: Elżbieta Zahorska, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: (06) 77-20-15-58 .....	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F. 600; półroczna — F. 320.  
Przesyłka pojedynczego numeru — F. 6,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.

INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,  
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18 228-56 W (z Francji)

lub C.C.P. PARIS 18-228-38 B (z zagranicy).

# Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 476 — SMECZ

## Z UKOSA

Wybór felietonów o Polsce od maja 1990 do sierpnia 1992.  
Str. 224 Cena F. 95



TOM 477 — ROMAN ZIMAND (Leopolda)

## MATERIAŁ DOWODOWY

Szkice drugie

Pośmiertnie wydany tom esejów znanego pisarza. Zawiera działy:  
O NARODACH, PODRÓŻ I O PODRÓŻY, MATERIAŁ DOWODOWY.

Str. 312

Cena F. 120



TOM 481 — ZESZYTY HISTORYCZNE

## ZESZYT STO PIĄTY

zawiera opracowania: Antoni Stefan Koper: *Prasa polska w Niemczech*; Mieczysław Biesiekierski: *Polska akcja opiekuńcza we Francji w okresie okupacji niemieckiej (czerwiec 1940 - wrzesień 1944)*; Józef Lewandowski: *Kwestia narodowa w Europie wschodniej na przełomie epok (moskiewskie sympozjum)*; Józef Lewandowski: *Historia i polityka (bratysławskie sympozjum)*; Michał Rogaczow: *Transporty podążały do Komi*; Zygmunt Chmielewski: *Sangorodok*; Kazimierz Groszyński: *Dwadzieścia dwa miesiące*; Krystyna Oppenauer-Śreniowska: *Lwowskie Ossolineum w latach 1939-1941*; Tadeusz Wyrwa: *Powstanie Warszawskie w oczach Francuzów* oraz LISTY DO REDAKCJI.

Str. 240.

Cena F. 90,90.

**Cena 55 F**